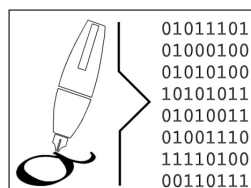


Joe Alex

Pieńo jest we mnie

1987



*Gdziekolwiek zwrócę lot, tam czekać będzie
Gniew nieskończony, nieskończona rozpacz!
Gdziekolwiek zwrócę lot, tam wszędzie piekło.
Piekło jest we mnie, a na dnie otchłani
Głębsza, ziejąca czeluść się otwarła,
Przy której piekło dręczące jest niebem.
Zmiłuj się wreszcie! Czyż nie ma już miejsca
Dla mej pokuty i dla wybaczenia?
Nie ma, zostało jedynie poddanie
I lęk przed hańbą, która mnie okryje
Wśród duchów w dole...*

John Milton, Raj utracony, księga III.

Któż mógł przypuszczać, że ów lot tak się zakończy? Miała to być podróż dla przyjemności, dwa tygodnie wypoczynku okraszonego skromną, ale mile łechcąca próżność uroczystością. Tak przynajmniej twierdził wydawca, na którego ręce przesłano zaproszenie. Utrzymane było ono w niezwykle uprzejmym, niemal serdecznym tonie i stało w nim, czarno na białym, że Klub Południowoafrykańskich Miłośników Powieści Kryminalnej będzie zaszczycony, jeśli pan Joe Alex zechce przybyć do Johannesburga, aby przyjąć doroczną nagrodę Klubu i podzielić się z jego członkami swymi doświadczeniami pisarskimi, a także — jeśli zechce, oczywiście — opowiedzieć o swoich planach na przyszłość. Prezydium Klubu będzie szczęśliwe mogąc pokryć koszty przelotu i pobytu pana Alexa w Johannesburgu, gdzie niżej podpisani dołożą wszelkich starań, aby zapoznać gościa z miastem i jego pięknymi okolicami.

Tak, zapewne próżność odegrała pewną rolę w przyjęciu tego zaproszenia, lecz nie tylko. Działo się to w latach pięćdziesiątych, gdy bardzo młody Joe Alex, wciąż jeszcze nie dowierzający swej nagłej popularności, gotów był spełnić niejedno życzenie wydawcy tak szybko i sprawnie wypuszczającego na światło dzienne jego kolejne książki.

Wszystko to działo się w przededniu rewolucji, jaką spowodowało wprowadzenie silnika odrzutowego w lotnictwie pasażerskim, i lot z Londynu do Południowej Afryki trwał przeszło dobę. Lecz minął szybko, równie szybko, jak dwa tygodnie, które po nim nastąpiły.

I oto Joe znalazł się ponownie w porcie lotniczym Jan Smuts, gotów do odlotu. Był zmęczony. Przyjęcie pożegnalne ciągnęło się aż do zmroku i trwałoby zapewne jeszcze, gdyby nie to, że godzina odlotu zbliżała się nieuchronnie i gość musiał opuścić zebra-
nie.

Ale teraz było już po wszystkim. Joe wszedł do wielkiej oszklonej poczekalni, wskazał tragarzowi najbliższy stolik i opadł na fotel. Tragarz postawił obie jego walizki obok fotela, zerknął na banknot trzymany przez Alexa, wyjął mu go delikatnie z ręki, błysnął nieprawdopodobnie białymi zębami, kontrastującymi z jego czarną twarzą, zsalutował i odszedł mówiąc, że powróci, kiedy zapowiedzą samolot do Londynu.

Joe zerknął na zegarek, westchnął i wyciągnął z bocznej kieszeni marynarki lokalną gazetę, którą kupił przy wejściu. Przez dłuższą chwilę przesuwając wzrokiem po szpalach, lecz pomimo rozpaczliwych wysiłków nie znalazł ani jednej wiadomości, która mogła go zainteresować choćby w najmniejszym stopniu. Przymknął oczy i westchnął ponownie. Fala zmęczenia powracała, bardziej natrętna niż przed chwilą. Gdzieś daleko, za rozległą, cicho podzwaniającą taflą olbrzymiej szyby, zajmującej prawie całą ścianę poczekalni, nierówno grzmiały zapuszczone silniki wielkiego samolotu pasażerskiego. Noc rozciągnęła się już nad lotniskiem, za szybą migotały kolorowe światełka, a z lewej strony wpadał wielki blask zapalonych reflektorów na wieżę kontrolnej.

— Za wiele było tego wina... — mruknął Alex cicho. Wydawało mu się, że przytłumiona wibracja silników wprawia w dygotanie wszystkie komórki znużonego mózgu. A mózg ten był już dostatecznie udręczony dwoma tygodniami nie przemijającego upału, setkami zdawkowych rozmów z nieznanymi ludźmi, a nade wszystko mowami w czasie dzisiejszego pożegnalnego bankietu.

Na szczęście port lotniczy leżał dostatecznie daleko od miasta i udało mu się pozbyć wszystkich, którzy chcieli go odprowadzić, niemal wszystkich, gdyż Prezes Klubu Południowoafrykańskich Miłośników Powieści Kryminalnej odwiózł go wprost z przyjęcia na lotnisko. Prezes był producentem regionalnych pamiątek, sprzedawanych przez rozrzuconą po całym kraju gęstą sieć sklepów. W drzwiach portu lotniczego zdążył jeszcze wsunąć Alexowi pięknie zapakowane pudełeczko i zniknął, przeprasząc, że nie będzie towarzyszył gościowi do chwili odlotu. Wypił nieco zbyt wiele i chciał powrócić do miasta, zanim ruch samochodowy zmniejszy się. Prawo w Południowej Afryce było niestety nieubłagane dla niezupełnie trzeźwych kierowców. Więc niech drogi miśster Alex zechce mu wybaczyć...

Joe oczywiście zechciał wybaczyć i uściśnął wylewnie jego rękę, dziękując za gościnę, a kiedy prezes Klubu zniknął wreszcie, wsunął paczuszkę do kieszeni i ruszył ku poczekalni. Teraz sięgnął po pudełeczko, rozwinął papier i otworzył je. Wewnątrz była papierośnica obciągnięta szarą, chropowatą skórą słonia, a na niej wytłoczony złotymi literami napis: „JOE ALEXOWI — KPAMPK”.

Przez chwilę patrzył ze zdumieniem, nie mogąc pojąć, kim jest ów Kpampk, i starając się przypomnieć sobie nazwisko prezesa. Nagle spłynęło nań objawienie. Były to pierwsze litery nazwy Klubu. Obrócił papierośnicę w palcach, pomyślał z żalem o owym słoniu i wsunął ją do kieszeni.

Podeszła kelnerka, zamówił kawę i coca-colę i z nadzieją zaczął wsłuchiwać się w słowa, które spłynęły łagodnie z megafonu wypowiedane miękkim, kobiecym głosem. Ale głos zapowiedział samolot do Cape Town.

Minuty mijały. Kawa nie wróciła umysłowi świeżości, a lodowata coca nie przyniosła ciału ulgi. Nadal było gorąco, chociaż klimatyzowane wnętrza poczekalni wy-

dawało się o wiele chłodniejsze niż świat na zewnątrz. Spojrzał na zegarek. Do odlotu brakowało jeszcze czterdziestu minut, ale kontrola paszportowa i celna w Unii Południowoafrykańskiej była dość dokładna. Do tego dojść musiał jeszcze czas potrzebny do zważenia i przetransportowania bagażu podróżnych do samolotu. Megafon przemówił ponownie. Jeszcze jedna grupka pasażerów uniosła się z miejsc. Poczekalnia pustoszała. Być może samolot do Londynu był ostatnim startującym tego wieczora?

Joe ziewnął, zasłaniając usta trzymaną w ręce gazetą.

— Uwaga! — powiedział megafon. — Start samolotu do Nairobi–Addis Abeby–Kairu–Zurychu i Londynu będzie opóźniony, za co pragniemy przeprosić wszystkich udających się w tym kierunku. Gdy maszyna będzie gotowa do startu, pasażerowie zostaną natychmiast powiadomieni. — Głos był beznamiętny, uprzejmy i spokojny.

Alex, który uniósł się nieco, słysząc pierwsze słowa komunikatu, opadł z wolna na fotel i rozejrzał się leniwie.

Przy najbliższym stoliku, na wprost okna, siedziała zwrócona do niego profilem młoda, czarnowłosa i bardzo ładna kobieta, ubrana w prześliczny lekki kostium podróżny, który Alexowi nie spodobał się już na pierwszy rzut oka, tak jak nie spodobał mu się modny, maleńki czerwony kapelusik nasunięty, nieco na bakier, na małą kształtną główkę. Kapelusik ten był odrobinę zbyt czerwony, a kostium nieco zbyt obcisły, jak gdyby właścicielce jego zależało przede wszystkim na niezwłocznym ukazaniu każdemu, kto zechce spojrzeć, tego, czego dokładne określenie wymaga zwykle odrobinę wyobraźni. Joe pomyślał w duchu, że nigdy jeszcze nie widział dziewczyny, która wydawałaby się niemal naga, będąc tak dokładnie zakryta. Przy fotelu siedzącej, która pięknymi długimi palcami opalonej dłoni przewracała leniwie kartki kolorowego ilustrowanego magazynu, stała niewielka elegancka walizka z czerwonej skóry, a Joe, choć przyznał w duchu, że przygląda się nieznajomej zbyt długo, pomyślał, że czerwona walizka także nie może uchodzić za przedmiot odwracający uwagę od swej właścicielki. Obok walizki spoczywał potężny jak sarkofag, okuty kufer–szafa, którego przewóz samolotem musiał kosztować co najmniej tyle, ile przewóz pasażera. Na kufrze leżała parasolka, cienka i lśniąca jak szpada. Przyglądając się czerwonym pantofelkom Alex zastanawiał się przez chwilę, jaki może być zawód tej dziewczyny. Było w niej coś, co już na pierwszy rzut oka mówiło, że jest osobą samodzielną. Ale do tego niepotrzebny był zawód, wystarczyło mieć dość pieniędzy. Mimo to uznał, że najprawdopodobniej jest początkującą gwiazdeczką filmową albo śpiewaczką występującą w music–hallu. Dziewczyny te były w nieustannym ruchu, gdyż sam rodzaj ich pracy zakładał ograniczoną ilość występów w jednym miejscu. Raz jeszcze przesunął z przyjemnością spojrzeniem po długich, smukłych nogach, zerknął niechętnie na czerwoną walizkę i przeniósł wzrok ku następnemu stolikowi.

Siedzący przy nim dwaj mężczyźni byli niemal równie interesujący jak młoda dama

w czerwonym kapeluszu, co prawda żadnego z nich, przy najlepszych nawet chęciach, nie można było posądzić o nadmiar agresywnej urody, ale zdumiewające dysproporcje fizyczne pomiędzy nimi przedstawiały widok godny zaciekawienia każdego przygodnego obserwatora. Zwrócony twarzą do Joe'go drzemał z głową odchyloną do tyłu i ciężko wspartą o tylną poręcz fotela, wygodnie rozwalony ogorzały młody człowiek o barach Herkulesa i czole kretyna. Musiał być ogromnego wzrostu, gdyż jego wyciągnięte nogi zdawały się sięgać prawie do następnego stolika. Krótkie jasne włosy, ostrzyżone najeża, podkreślały geometryczną nieomal kulistość zaskakująco małej głowy osadzonej na potężnej, muskularnej szyi, wynurzającej się z kołnierzyka rozpiętej koszuli. Siedzący po jego lewej ręce człowieczek był ruchliwy jak jaszczurka, a jego bystre oczy, osadzone pod wypukłym czołem, nad którym przeświecała łysina sięgająca szczytu głowy, poruszały się czujnie, omiatając poczekalnię, jak gdyby ich posiadacz nie wiedział dokładnie, co spodziewa się zobaczyć, ale był zdecydowany nie przepuścić niczego, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie. Od czasu do czasu oczy te zwracały się ku śpiącemu olbrzymowi. W pewnej chwili mały człowieczek sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął szybkim ruchem wielką barwną chustkę i pochyliwszy się, wytarł z nieskończoną delikatnością pot z czoła drzemiącego wielkoluda, który nie drgnął nawet, jak gdyby był przyzwyczajony do tego rodzaju opieki i przyjmował ją jako coś najnaturalniejszego w świecie.

Joe uśmiechnął się mimowolnie. Jakiś atleta, zapaśnik albo, co było bardziej prawdopodobne, bokser. I jego trener oczywiście.

Przyglądał się jeszcze przez chwilę dwóm ogromnym dłoniom opartym bezwładnie na poręczach fotela. I pomyśleć, że są tacy, którzy bez zmrużenia oka wytrzymują uderzenia tak potężnych pięści, oddając cios za cios.

Przeniósł spojrzenie na lewo, ku bardziej odległemu stolikowi, gdzie siedział samotnie spokojny, spokojnie ubrany pan w nieokreślonym wieku, mogący mieć równie dobrze pięćdziesiąt, jak trzydzieści pięć lat. Anglik — pomyślał Joe. Nie mógł się mylić. Najprawdopodobniej ma ukończony uniwersytet.. Oxford albo Cambridge... nienaganne buciki... nienaganne życie, żadnych żartów z losem, umie odróżnić dobro od zła, może jest nawet dyrektorem szkoły dla chłopców? Ale równie dobrze mógł być właścicielem solidnego antykwariatu albo uczone.

Wzrok Alexa prześliznął się po nim obojętnie, rejestrując jedynie ciekawy szczegół tej postaci: niezwykle silnie powiększające okulary w czarnej rogowej oprawie. Człowiek z wolna odwrócił głowę i spojrzenia ich zetknęły się na króciutką chwilę. Alex dostrzegł ogromne, powiększone do zdumiewających rozmiarów wypukłością szkielec, jasnoniebieskie, niemal bezbarwne oczy. Później oczy te spojrzwały na stolik, na którym leżał niewielki okrągły, czarny nesoser, podobny do pudła na kapelusze używanego przez elegantki na początku naszego wieku. Prawa dłoń siedzącego uniosła się i odruchowo od-

sunęła neseser od krawędzi stolika.

Odwracając wzrok Joe pomyślał z rozbawieniem, że w pudle tym mogłaby się swobodnie pomieścić odcięta głowa ludzka. Czy człowiek o takim wyglądzie mógłby być mordercą? Ależ tak, oczywiście! Świat nie znał powierzchowności, która wykluczałaby zbrodnię. Piękne, delikatne, kruche dziewczęta, poczciwe staruszki, jowialni oberżyci, duchowni o złożonych dłoniach i opuszczonych skromnie oczach. Nie było charakteru, zawodu, usposobienia ani powołania, które wykluczałyby możliwość zakiełkowania tej najczarniejszej z myśli: zmuszenia innej istoty ludzkiej, aby opuściła przed czasem ten najsympatyczniejszy ze światów.

Poczekalnia była już niemal pusta. W wielkiej, cichej przestrzeni niknęły nieliczne niewyraźne sylwetki drzemiących podróżnych. Kelnerka w pomarańczowym kitlu opasanym białym fartuszkim rozmawiała półgłosem z barmanką przy wąskiej lśniącej ladzie, za którą widać było półki z szeregami różnokolorowych butelek. Wahadłowe oszklone drzwi obok baru otworzyły się i zajrzało dwu czarnych tragarzy, a za nimi trzeci. Rozejrzeli się, sprawdzając najwyraźniej, czy w poczekalni pozostali jeszcze podróżni z większym bagażem i wycofali się na powrót.

Joe odwrócił głowę. Po prawej stronie, niemal pod ścianą, na której lekko podświetlone ogromne półkule ukazywały znajome kształty oblanych jasnoblękitną wodą kontynentów, siedziała kobieta mniej więcej pięćdziesięcioletnia. Była tak nieruchoma, że Joe, którego uwagę przyciągnęły kolorowe świetlne punkciki na wielkiej mapie, dostrzegł ją dopiero wówczas, gdy wzrok jego powędrował ku Biegunowi Południowemu, znajdującemu się tuż nad jej głową. Była chyba Angielką: schludna, ubrana w prosty szary, dobrze skrojony kostium podróżny, zdawała się być jedną z owych dam w nieokreślonym wieku, które można zawsze napotkać na pokładach transatlantyków i, ostatnio coraz częściej, w kabinach międzykontynentalnych samolotów pasażerskich. Damy te — wdowy, stare panny albo matki dorosłych dzieci, mieszkających na krańcach świata — podróżują z odwagą, przedsiębiorczością i orientacją, o której nie śniło się ich matkom, dając widomy dowód, że kobieta jest stworzeniem, o które nie należy przesadnie dbać, gdyż świetnie potrafi sobie radzić w życiu, jeśli się jej na to pozwoli.

Joe przypatrywał się jej przez chwilę dyskretnie, zastanawiając się, co widzi niezwykłego w tej tak bardzo zwykłej sylwetce. Coś było nie w porządku. Nagle zrozumiał. Jej bezruch! Siedziała zupełnie nieruchomo, w postawie, w której zwykłemu człowiekowi bardzo trudno wytrzymać dłużej niż przez chwilę. Była wyprostowana, głowę miała uniesioną i spoglądała w przestrzeń. Patrzył czekając i wierząc, że musi wreszcie zmienić pozycję, ale trwała tak nadal, jak gdyby nie była żywą kobietą, ale modelem podróźnej wykonanym z wosku i posadzonym tu przez kogoś, kto chciał sobie zażartować z braku spostrzegawczości czekających w poczekalni podróżnych.

Wreszcie dał za wygraną i odwrócił głowę. To byli wszyscy. Raz jeszcze przesunął po

nich z wolna wzrokiem i nie znajdując w sobie żadnej już, najmniejszej nawet potrzeby dodatkowych obserwacji, westchnął po raz nie wiadomo który i spojrzął na trzymaną nadal w ręce gazetę. Przewrócił kilka stron i powrócił do tytułowej. Nagle dostrzegł u dołu kolumny znajomą twarz, a obok niej notatkę rozpoczynającą się od słów:

„Klub Południowoafrykańskich Miłośników Powieści Kryminalnej będzie dziś podejmował pożegnalnym obiadem powracającego do Anglii po dwutygodniowym pobycie w naszym kraju pana Joe Alexa, znanego autora książek kryminalnych, współpracującego równocześnie ze Scotland Yardem na polu nieustępliwej walki z przestępcami, zapewne obdarzonymi nieco mniejszą inwencją niż jego fikcyjni negatywni bohaterowie, lecz za to o dłoniach splamionych prawdziwą krwią niewinnych ofiar..”

Joe przymknął oczy i zaklął w duchu. W tej samej chwili megafon przemówił, tym razem stanowczym, męskim głosem:

— Prosimy o uwagę! Samolot do Nairobi–Addis Abeby–Kairu–Zurychu i Londynu, który miał wystartować z naszego lotniska o godzinie dwudziestej drugiej czterdzięści pięć, odleci najprawdopodobniej z godzinnym opóźnieniem, za które jeszcze raz pragniemy przeprosić oczekujących pasażerów. Przyczyną opóźnienia jest gwałtowna burza i niezwykle silne, wiejące na dużych wysokościach wiatry na trasie lotu. Te zaburzenia atmosferyczne przesuwają się dość szybko w kierunku wschodnim i istnieje realna nadzieja, że w ciągu najbliższych kilkunastu minut sytuacja zostanie wyjaśniona ostatecznie i samolot będzie mógł wystartować. Dziękuję.

Megafon ucichł.

Joe przymknął zmęczone powieki. Nagle pożałował, że leci do Anglii samolotem. Był przecież wolnym człowiekiem i mógł popłynąć statkiem, choć zabrałoby mu to wiele dni. Może stałby wreszcie teraz na pokładzie, wpatrując się w ledwie widoczne pośród mroku wybrzeża Afryki?... Wiatr niośłby od lądu woń dżungli zmieszana z nieuchwytnym, a tak charakterystycznym zapachem podzwrotnikowego ciepłego morza. Blask lamp padałby z iluminatorów na ciemny pokład. Z głębi statku dobiegałyby przytłumione dźwięki orkiestry, niosąc się po łagodnych, oleistych, oświetlonych księżycem falach...

Wzruszył ramionami. Nie miał nigdy czasu na to, by używać innych środków komunikacji niż najszybsze. W końcu godzinne opóźnienie nic nie znaczyło. Samolot nadrobi je z łatwością w czasie tak długiego lotu.

W tej samej chwili wielkie wahadłowe drzwi prowadzące z głównego hallu dworca drgnęły i ukazał się w nich tęgi, wysoki człowiek z parasolem w ręce i płaszczem przerzuconym przez ramię. Za nim, pchając lśniący, aluminiowy wózek, wsunął się czarny tragarz w białej bluzie. Na wózku leżała duża lotnicza walizka z płótna. Joe przymknął oczy. Otoczenie przestało go w ogóle interesować. Po chwili, tuż obok siebie, usłyszał tubalny głos:

— Proszę postawić tutaj!

Otworzył oczy. Tragarz manewrował zręcznie wózkiem, wprowadzając go między stoliki, i zatrzymał się przy fotelu stojącym na wprost Alexa, gdzie tęgi podróżny zdążył już rzucić płaszcz i oprzeć parasol.

— Proszę tu wrócić, kiedy ogłoszą odlot samolotu do Londynu! — głos podróżnego był zdyszany, jak gdyby po dużym niedawnym wysiłku.

— Dobrze, proszę pana.

Tragarz zdjął walizkę z wózka i pchając go przed sobą skierował się ku drzwiom, a otyły człowiek, nie siadając, ruszył w kierunku baru.

— Dobry wieczór, panno Rose! — powiedział, nadal nie zniżając głosu. — Podwójną whisky! Szkocką! Nic innego mnie nie uspokoi! Taksówka miała defekt już za miastem. Proszę sobie wyobrazić coś podobnego! Byłem niemal pewien, że się spóźnię! Wpadam tu i pędzę prosto do kontroli paszportów, „Prędko, na miłość boską!” wołam do młodego człowieka w mundurze, a on na to: „Dokąd się pan tak spieszy?” „Samolot!” mówię mu na to, „Samolot do Londynu! Za chwilę odlot, spóźniłem się, bo miałem defekt auta, ale jeszcze chyba zdążę, jeżeli przestanie mi pan zadawać nonsensowne pytania! „A on na to: „Samolot jest opóźniony. Wezwą pana przez megafon razem z innymi pasażerami, kiedy przyjdzie czas. Niepotrzebnie się pan denerwuje. Myślałem, że ducha wyzionę z wściekłości. Biegłem do niego przez całą halę, wlokąc za sobą walizkę, bo nie chciałem tracić czasu na wzywanie tragarza. Zresztą żaden z nich nie podejdzie z własnej inicjatywy! Dopiero kiedy odwróciłem się i zacząłem ocierać pot z czoła, znalazł się któryś z wózkami. Są już za delikatni, żeby wziąć walizkę do ręki! A ten goguś w mundurze powiada mi: „Niepotrzebnie się pan spieszył!” Jak gdybym mógł z góry wiedzieć, że ten przeklęty samolot nie ma zamiaru odlecieć w oznaczonym czasie?!

— Pańska whisky, panie Knox! — powiedziała barmanka z uśmiechem, podsuwając mu szklaneczkę. — To naprawdę paskudna przygoda. Całe szczęście, że teraz już nie musi się pan spieszyć. Czy dać coś zimnego? Pepsi albo wodę sodową?

— Nie, nic. Dziękuję, kochanie!

Alex znowu przymknął oczy. Usłyszał odległy brzęk monety padającej na ladę i prawie równocześnie ciche „Dziękuję bardzo!” barmanki, a później nastąpiła cisza, w której wyraźnie rozległy się coraz bliższe, powolne kroki człowieka posuwającego się w jego stronę. Uniósł powieki. Otyły pan szedł w kierunku swej walizy, niosąc ostrożnie whisky w wyciągniętej ręce. Zbliżywszy się, postawił płyn na stoliku, opadł ciężko na krzesło, znów ujął szklanke i uniósłszy ją ku wargom, wypił całą zawartość duszkiem, nie odrywając szkła od ust. Później odetchnął głęboko i uniósł oczy. A wtedy spojrzenia jego i Alexa spotkały się.

— Nic tak dobrze nie robi w chwilach zdenerwowania! — powiedział grubas niemal przepaszająco i dotknął końcami palców krawędzi pustej szklanki, jak gdyby chcąc

wyjaśnić, co ma na myśli.

— Zapewne — powiedział Joe, żeby coś odpowiedzieć. Był przekonany, że nieznamy zajmie się teraz swoimi sprawami, ale omylił się. Choć grubas nie usiadł przy jego stoliku, jednak znajdowali się naprzeciw siebie tak blisko, że trudno było go nie dostrzec, jeśli chciał być widzianym, a co gorsza słyszonym.

— Cóż za upał! — powiedział z wyraźnym, godnym lepszej sprawy przejęciem pan Knox, wyciągając z kieszeni wielką, nieco już zmiętą zieloną chustkę. Otarł nią szyję i twarz szybkim ruchem, jak gdyby była ręcznikiem, po który sięgnął po wyjściu z kąpieli. Joe, który żywił ciche, wyniesione z domu przekonanie, że mężczyzna powinien używać tylko białych, niezbyt wielkich chustek, przyglądał mu się z pewną niechęcią. Była to już druga, ogromna, kolorowa chustka, którą dano mu zobaczyć w ciągu ostatnich pięciu minut. Niechęć jego była spowodowana dodatkowo tym, że otyły pan sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego z życia, a podwójna whisky usunęła, jak można było sądzić, jego chwilową niechęć do funkcjonariuszy paszportowych i tragarzy. Palce trzymające chustkę były wypielęgnowane, nieco zanadto wypielęgnowane, co dla Alexa, mającego dość zdecydowany pogląd na temat mężczyzn o ostentacyjnie wymanicurowanych paznokciach, było równoznaczne z zakwalifikowaniem grubasa do innego gatunku stworzeń ludzkich niż ten, do którego on sam należał. Lecz będąc człowiekiem sprawiedliwym, postanowił natychmiast, że należy stłumić tego rodzaju, nawet nie zademonstrowane, bezsensowne odruchy niechęci. Na szczęście zielona płachta zniknęła w bocznej kieszeni marynarki. Joe, który przyglądał się panu Knoxowi spod przymrużonych powiek, dostrzegł, że wraz z parasolem i płaszczem rzucił on na fotel teczkę, którą teraz uniósł i położył przed sobą na stoliku. Miała ona wielki, lśniący, fantazyjny monogram „RK” i nie była zanadto wypchana. Nad nią zakołysały się dwie maleńkie paczuszki zawieszane u środkowego guzika marynarki. Pan Knox zaczął odwiązywać je z mozołem i wreszcie położył obok teczki. Były zawinięte w kolorowy papier.

Zrobił już wszystko, co miał do zrobienia... — pomyślał Joe. — Oby tylko nie zaczął mówić. Niestety, wygląda na takiego, który musi mówić, jeżeli ma naprzeciw ofiarę, którą zmusi do słuchania. Kim on może być z zawodu? Rzeźnikiem? Komiwojażerem?

— Nie notowana od lat fala upałów... — powiedział Knox, powtarzając zapewne nagłówek notatki którejś z dzisiejszych gazet i zwracając się wprost ku niemu. Alex otworzył szerzej oczy, klnąc w duchu innych pasażerów, którzy siedzieli tak daleko, że trudno byłoby nie wziąć tych słów do siebie. — Taka temperatura może wyprawić człowieka mojej tuszy do grobu, prędzej niż kat i jego dziesięciu pomocników. — Wydawało się, że podkreślenie słów stosownym gestem należy do niezwalczonych nawyków pana Knoxa, gdyż równocześnie rozluźnił krawat i przeciągnął dłonią po szyi.

— Rzeczywiście jest bardzo ciepło... — mruknął Joe i szybko skierował spojrzenie na gazetę, ale było już za późno.

— W dodatku zupełnie niepotrzebnie się spieszyłem. Taksówka, wie pan. Huk, opona usiadła. Wskoczyłem, mijały nas inne auta, ale trudno byłoby zabrać się z bagażem. Zresztą ten człowiek upewniał mnie, że to potrwa minutę. Trwało piętnaście minut! No, ale teraz wszystko jest już w porządku. Czy mamy duże opóźnienie, nie wie pan? Czy pan także leci w kierunku Londynu?

— Tak, chyba dość poważne... — Joe skinął głową z pozornym roztargnieniem, nie odpowiadając na ostatnie pytanie i starając się znaleźć na stronie gazety coś, co byłoby wiadomością, której oczekiwał od dnia narodzin. Nie znalazł niczego, ale zmarszczył brwi i pochylił się, jak gdyby uderzony nagłą, zdumiewającą wieścią. — Około godziny, zdaje się, jeśli dobrze usłyszałem. — Uniósł gazetę nieco wyżej.

— Więc jednak! — Pan Knox pokiwał głową z wyraźną satysfakcją, jak gdyby wszelkie uchybienia napotykanne na tym lotnisku sprawiały mu przyjemność. Najwyraźniej nie chciał przyjąć do wiadomości, że siedzący naprzeciw niego nieznajomy człowiek nie chce mówić z nim o pogodzie i opóźnieniach samolotów. Minę miał przy tym tak dobroduszną, że Alex nagle poczuł się bezsilny. Gdyby teraz uniósł gazetę i odgrodził się nią od tego grubasa, byłby to akt niemal brutalny.

— Ale to nic strasznego — pocieszył go pan Knox. — Co miesiąc latam do Londynu i z powrotem. Zawsze na którymś odcinku trasy dzieje się coś nieprzewidzianego: huragany, mgła, czekanie na inne maszyny, z których ludzie będą przesiadali się do naszej. Ale w końcu nie pamiętam, żeby któryś z nich przyleciał do Londynu z opóźnieniem. Są bardzo punktualni. A zresztą, nawet gdyby nie byli, samolot zawsze był, jest i będzie sto razy lepszym środkiem komunikacji niż statek.

— Być może... — mruknął Joe. — W każdym razie szybszym.

Przymknął oczy. Miał już naprawdę dosyć tej poczekalni, tego grubasa i oczekiwania. Marzył o tym, żeby wyciągnąć się wygodnie w fotelu i usnąć przy cichym wtórze silników. Z wysiłkiem uniósł powieki i nie spoglądając już przed siebie, próbował przestudiować stronę obliczeń giełdowych, które nie obchodziły go w ogóle i których absolutnie nie rozumiał, wierząc, że skryje się za kolumnami drobniateńskich cyfr przed obecnością i ciężkim oddechem siedzącego naprzeciw człowieka. Ale tamten ciągnął z nieuchronnością przeznaczenia:

— Tak, samolot jest szybki, to pewne! A w moim zawodzie szybkość jest często równa powodzeniu. Minęły już owe cudowne lata, gdy świat kupował na pniu wszystko, co tylko wydobyliśmy tutaj.

Teraz grubas potrafił w rozmowie o swój zawód i być może należało go zapytać, co właściwie wydobywają tutaj. Ale tym razem Joe miał już naprawdę dość. Zasłonił się gazetą jak fechtmistrz klingą i zniknął z pola widzenia atakującego przeciwnika. Po chwili, przerzucając strony, dostrzegł, że tamten dał za wygraną i wyjmując z kieszeni tę samą gazetę. Alex odetchnął. To przynajmniej gwarantowało spokój do chwili odlotu. Nagle

zauważył, że oczy tamtego szybko wędrują ku jego twarzy, powracają do gazety i znowu patrzą na niego, jak gdyby porównując. Zalśnił w nich nagły błysk zrozumienia.

Boże! — pomyślał Joe. — Moja fotografia!

I nie omylił się. Pan Knox jeszcze raz zerknął ku gazetce, a później uśmiechnął się szeroko.

— Coś podobnego! — powiedział rozkładając ręce. — A ja potraktowałem pana jak każdego innego towarzysza podróży! Zupełnie, jak gdyby był pan kimś, powiedzmy, takim jak ja! A to zabawne! Więc to pan jest tym Joe Alexem od zagadek z mordercami! Nie należę do najważniejszych czytelników, bo zawsze mam w głowie co innego i trudno mi skupić uwagę, ale pana książki czytam uważnie i nigdy sam nie odkryłem, kto zabił. Zawsze wydaje mi się, że to ten inny. No, kto by to powiedział! — Raz jeszcze rzucił okiem na gazetę, a później na twarz siedzącego przed nim człowieka. — No tak! Nie może być omyłki! I wraca pan przecież do Londynu! Piszą tu o tym!

Joe, po przejściu fali paniki, uśmiechnął się niespodziewanie dla samego siebie.

— Tak, proszę pana, to ja. Ale jeśli mógłbym prosić...

— Och, rozumiem doskonale. Ale przecież nie przedstawił mi się pan. Sam pana poznałem, kiedy tylko spojrzałem na tę fotografię. Zresztą nikomu nie powiem ani słowa! Incognito, tak się to nazywa, prawda? Nie chce pan, żeby ktoś jeszcze pana rozpoznał? Oczywiście, w pana zawodzie to nie jest przyjemne: ludzie zadają takie mnóstwo krępujących pytań. Mój Boże, jak to przyjemnie poznać kogoś, kto zachowuje prawdziwe incognito!

Uniósł się i przesiadł zdumiewająco lekko, jak na człowieka obdarzonego tak wielką tuszą. Siedział teraz przy stoliku Alexa. Wyciągnął rękę.

— Pozwoli pan, że się przedstawię. Nazywam się Knox. Jestem przedstawicielem kopalni diamentów. Wie pan oczywiście, że mamy tu kopalnie diamentów? No tak, niepotrzebnie pana pytam. To jasne, że pan wie. Drogie kamienie zawsze pojawiają się w pobliżu zbrodni, a raczej, chciałem powiedzieć, że zbrodnia często pojawia się tam, gdzie są drogie kamienie. Ale to chyba wszystko jedno, prawda?

— No, niezupełnie... — Alex uśmiechnął się.

— Co? Ach, tak, co ja mówiłem? Otóż jestem przedstawicielem kopalni diamentów i co miesiąc, a czasem nawet co dwa tygodnie odbywam loty do Londynu i Amsterdamu, żeby zaoferować nasz towar domom jubilerskim. Wydobywanie diamentów jest jak loteria, nigdy nie wiadomo, co jutro przyniesie. Stąd trudno o długoletnie umowy. Oczywiście, dla najwspanialszych okazów najłatwiej, zabezpieczyć zbyt, ale istnieje druga i trzecia sorta, którą nie tak łatwo kupują, a jeśli chcą kupić, to dobra sprzedaż wymaga wytrawnego przedstawiciela. Człowiek ten musi wiedzieć wszystko o rynku i jego potrzebach i znać wszystkich ewentualnych nabywców, którzy z kolei mają do niego zaufanie. Dlatego przedstawicielem nie zostaje się od razu. Na to trzeba lat. Diamenty to

nie fasola: nikt ich nie sprzeda ani nie kupi w worku! Właśnie dlatego spotkałem pana dzisiaj. Jestem, jak by to powiedzieć, komiwojażerem od drogich kamieni, i to latającym komiwojażerem, który już przebył... Muszę to kiedyś zliczyć... ale zapewne przebyłem już przestrzeń, która wystarczyłaby, żeby się stąd dostać na Księżyc! Gdybym leciał w odpowiednim kierunku i bez przerwy, oczywiście! — Roześmiał się, ukazując zęby tak piękne, równe i białe, że Joe natychmiast zwątpił w ich autentyczność.

Kilka głów odwróciło się ku nim od sąsiednich stolików, a młody, śpiący w fotelu wielkolud poruszył się niespokojnie i ponownie znieruchomiał.

Joe znowu poczuł znużenie. Był już naprawdę śpiący. Wino, tasiemcowe mowy pożegnalne i gorący, ciągnący się w nieskończoność dzień zrobiły swoje. Chwilowe rozbawienie zniknęło. Za oknem, daleko, gdzieś na pasach runwayu, zagrzmiały i przygasły silniki wielkiego samolotu. W poczekalni było cicho.

Przyglądając się tłustej, lśniącej twarzy swego natrętnego rozmówcy, Alex nie wiedział jeszcze, że przeznaczenie rozpoczęło nieuchronny marsz, a on sam został już wplątany w zdarzenie najbardziej ponure i zdumiewające spośród tych, z jakimi zetknął się dotąd.

Ale Joe Alex nie miał daru czytania przyszłości. Czując, że nie odczepi się od pana Knoxa do chwili, gdy rozkaz z megafonu uniesie ich z krzeseł, postanowił wykorzystać, choćby pobieżnie, jego doświadczenia. Mógł mu się może kiedyś przydać taki człowiek handlujący diamentami w imieniu wielkiego koncernu kopalnianego.

— I jeździ pan tak, zupełnie sam, przewożąc z sobą te wszystkie kamienie do zaofiarowania? — zapytał udając zaciekawienie, co niezupełnie mu się udało, gdyż ziewnął i zaledwie zdążył zasłonić ręką usta. Ale pan Knox nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Wzrok, który utkwił w swym rozmówcy, świadczył wyraźnie, że każde jego zachowanie gotów jest bez wahania uznać za słuszne i jedynie właściwe. W tej chwili był zresztą najwyraźniej przejęty nie tylko osobą rozmówcy, ale i tematem, który był mu najbliższy.

— Ach, nie! — odpowiedział z lekkim uśmiechem, jak gdyby chcąc dać do zrozumienia, że pojmuje doskonale tak ogromną nieznaną sprawę dostępną jedynie wąskiemu kręgowi branżowych specjalistów. — Po pierwsze, nie byłoby to przecież bezpieczne, a raczej, powiedzmy sobie szczerze, byłoby to prowokowaniem opryszków z całego świata, którzy zapewne nie marzą o niczym innym, tylko o jak największej ilości samotnych ludzi, kręcących się z walizczkami pełnymi surowych diamentów i brylantów po dworcach lotniczych i postojach taksówek. Nikt z nas nie podjąłby się takiego ryzyka. Po drugie, jestem w stanie, nie mając kamieni przy sobie, określić je jak najdokładniej ewentualnemu nabywcy. Między fachowcami nie jest to wcale takie trudne, wystarczy często kilka słów. A zresztą nie wolno bez wielkiego cła protekcyjnego wywozić kamieni wydobytych w naszym kraju: ani oszlifowanych, ani surowych. Mamy największe kopalnie na świecie i nic dziwnego, że rząd nasz pilnuje swoich in-

teresów i także pragnie mieć udział w zyskach. Oczywiście, mam przy sobie dokładnie spisane dane o ciężarze, odcieniu, jakości i innych cechach oferowanych przez nas kamieni. W pewnych wypadkach dysponuję także odlewami gipsowymi i fotografiami. Nie dotyczy to oczywiście kamieni zupełnie wyjątkowych. Jeśli znajdzie się jakiś fenomenalny okaz, goście zjeżdżają tu sami, nie czekając, aż im się go zaoferuje. Wtedy urządzamy aukcję na miejscu. Ale jeśli chodzi o zwykłe wydobywanie kopalni, to jest ono duże i stałe. Trzeba oferować je w hurcie firmom jubilerskim i handlarzom, którzy wiedzą, co komu w danej chwili jest potrzebne, a często sami skupują poważne rezerwy kamieni, jeśli przeczuwają hossę. Wszystko także zależy od...

Alex, który słuchał go z umiarkowanym zaciekawieniem, błędząc myślami po twarzy oczekującej w Londynie dziewczyny o imieniu Karolina, poznanej niedawno i pozostawionej tak niechętnie, przez chwilę nie pojmował zmiany, jaka nastąpiła nagle w zachowaniu pana Knoxa, który umilkł i znieruchomiał, wpatrując się szeroko otwartymi oczyma w przestrzeń. W oczach tych tyle było zdumienia i prawdziwego zaskoczenia, że Joe mimowolnie odwrócił głowę, żeby odnaleźć przyczynę tej nagłej zmiany.

Ale w poczekalni było cicho i spokojnie. Barmanka i kelnerka nadal rozmawiały przy barze. Kraniec sali, w który wpatrywał się pan Knox, był niemal pusty. Siedziała tam jedynie owa nieruchoma dama w średnim wieku, wyprostowana i nie zwracająca najmniejszej uwagi na otoczenie. Alex gotów był nawet przysiąc, że nie zmieniła pozycji od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy przed pół godziną. Nadal patrzyła w przestrzeń kamiennym, nie widzącym spojrzeniem.

Knox jeszcze przez chwilę nie poruszał się, wreszcie potrząsnął głową i spróbował się uśmiechnąć. Ale próba ta nie wypadła najlepiej, mimo że ukazał znów pełen garnitur swych nieporównanych zębów.

— Coś podobnego — szepnął, jak gdyby zapominając o siedzącym przed nim człowieku. — Nie do wiary. — Dopiero teraz spojrzął na Alexa i uśmiechnął się raz jeszcze z rozpaczliwą i nadmierną swobodą. Najwyraźniej opanował się już. — Bardzo tu duszno. — Znów uśmiechnął się przepraszająco. — Mało spałem w ciągu ostatnich dwu dni... Moc pracy przed wyjazdem... I po prostu organizm odmawia posłuszeństwa. Wszystko nagle zatrzymuje się w człowieku i popada się w sny na jawie... Dobrze, że takie rzeczy nie zdarzają mi się za kierownicą na zatłoczonej jezdni... ha, ha! — I znów śmiech jego zabrzmiał nieszczerze, Joe przyglądał mu się z dyskretnym zaciekawieniem. Nadal nie mógł pojąć, co się stało. Ale może jego rozmówca przypomniał sobie o czymś, czego nie załatwił? W końcu mógł być rzeczywiście przemęczony.

— O czym to ja mówiłem? — Pan Knox przesunął dłonią po czole i roz pogodził się ostatecznie. — Ach tak! O diamentach oczywiście. Wiedziałem, że to pana zaciekawi. Mówiłem o skupie rezerw w przewidywaniu zwyżki... Zrozumiałe, że w takim wypadku nie tylko nasi odbiorcy powinni być przewidujący, ale i my także. Jeśli ma na-

dejsć zwyczajka, trzeba szybko reagować, inaczej traci się wiele. Ceny często podnoszą się albo spadają, to znaczy także ceny, które my im proponujemy. Dlatego trzeba trzymać rękę na pulsie...

Uniosł pulchną dłoń i zacisnął ją na niewidzialnym tętnie rynku sprzedaży i skupu drogich kamieni.

— Tak... na pulsie... — I znów, choć najwyraźniej chciał zwalczyć ten odruch, spojrzenie jego poszybowało ponad prawym ramieniem Alexa ku samotnej damie pod ścianą. Ale równie szybko powróciło. — A... a jak się panu podobał nasz kraj? Niektórym cudzoziemcom przypada on do serca natychmiast, innym nie. Czy jest pan u nas po raz pierwszy?

Joe milczał przez krótką chwilę, zanim nie uświadomił sobie, że zadano mu pytanie.

— Tak, jestem tu pierwszy raz — odpowiedział szybko. — Wydaje mi się, że to bardzo piękny kraj, ale jest tak rozległy i zróżnicowany, że w ciągu kilkunastu dni nie mogłem go oczywiście poznać, nawet powierzchownie. Byłem tylko w Johannesburgu i okolicy, a poza tym zajmowałem się tysiącem spraw nie związanych z Południową Afryką. Jak pan już wie z tej notatki, byłem tu gościem moich czytelników, więc to raczej oni dyktowali, chcąc nie chcąc, przebieg mojej wizyty. Ale wydaje mi się, że krajo-brazy tu są niezwykle malownicze... — dodał, żeby zakończyć jak najuprzejmie.

— Tak, to zupełnie niezwykła sprawa! — powiedział gorąco pan Knox, który zdawał się już nie pamiętać o swoim zachowaniu sprzed kilku minut. — Weźmy Johannesburg, człowiek czuje się tu zupełnie jak w każdym dużym europejskim mieście, a wystarczy przejechać kilkadziesiąt kilometrów i nagle znajduje się pan w Afryce takiej, o jakiej, będąc chłopcem, czytał pan w dawnych pełnych przygód powieściach o Czarnym Lądzie! Dla mnie to najpiękniejszy kraj na świecie i przysięgam, że nigdy nie mógłbym stąd na stałe wyjechać...

Urwał, bo megafon odezwał się melodyjnym, spokojnym głosem:

— Pasażerów samolotu odlatującego do Nairobi–Addis Abeby–Kairu–Zurychu i Londynu prosimy uprzejmie, aby udali się do wyjścia numer 3 dla dokonania odprawy celnej i paszportowej. Raz jeszcze przepraszamy za wynikłe z niesprzyjających warunków atmosferycznych opóźnienie i życzymy państwu spokojnego i miłego lotu!

Megafon umilkł i równocześnie w drzwiach prowadzących z głównego hallu dworca pojawiła się uśmiechnięta, wysoka, młoda dziewczyna w mundurze stewardesy. Była jasnowłosa, ładna i tak sympatyczna już na pierwszy rzut oka, że Alex mimowolnie oddał jej uśmiech, choć wiedział, że nie mogła tego zauważyć. Za dziewczyną wsunęli się taragarze z wózkami.

Dziewczyna zaszalutowała, przykładając palce do swojej zgrabnej czapeczki, i powiedziała jasnym, dźwięcznym głosem:

— Dobry wieczór, panie i panowie! Jestem gospodynią na pokładzie samolotu, któ-

rym odleciecie państwo w kierunku Londynu. Ponieważ opóźnienie jest dość znaczne i mamy jeszcze kilka minut czasu, chciałam zapytać, czy już teraz nie mogę być komuś z państwa w czymś pomocna? Na liście pasażerów nie mamy małych dzieci, ale być może ktoś z dzieckiem przybył w ostatniej chwili?

Rozejrzała się z tym samym miłym, wzbudzającym zaufanie uśmiechem.

— A czy ktoś z państwa nie ma jakiegoś specjalnego życzenia, które moglibyśmy uwzględnić już tu, na lotnisku?

Uśmiechała się dalej, przesuwając oczyma po garstce pasażerów, którzy z wolna podnosili się z miejsc. Odpowiedź, którą otrzymała, była zaskakująca i przyszła tak niespodziewanie, że Alex z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

Mały łysy człowieczek, który przed chwilą zaczął budzić śpiącego w fotelu olbrzyma, wstał szybko i wycelował w stewardesę palec, wyprostowany i tępo zakończony jak lufa pistoletu.

— Czy ma pani zanotowane, panienko, to, co podałem w biurze podróży? Polędwica na śniadanie, dwufuntowy surowy befsztyk, ale zupełnie surowy, posiekany drobniutko i przyprawiony pieprzem i solą, z dziesięcioma jajkami, też surowymi, wbitymi do środka i wymieszanymi dokładnie z sześcioma uncjami oliwy?

Bez najmniejszego wahania dziewczyna odpowiedziała:

— Tak, proszę pana. Otrzymałam kopię specjalnego zamówienia, które pan złożył. Zwróciłam na nie uwagę, oczywiście. Wszystko jest przygotowane.

— A czy to będzie absolutnie świeże? Kiedy mówię absolutnie, mam na myśli absolutnie świeże! Inaczej może być tragedia. On jest naprawdę delikatny... — Palec zatchył mały łuk i zatrzymał się przed piersią siedzącego wciąż jeszcze olbrzyma, który roześmiał się dobrodusznie i pokiwał głową. — Każda, najmniejsza afera z żołądkiem to dla nas tragedia! — dodał mały człowieczek. — Nawet drobiazg, jedno nieswieże żółtko, może zrujnować kondycję i wybić nas z rytmu przygotowań. Niech pani o tym pamięta!

— Jesteśmy odpowiedzialni za apetyt i dobre samopoczucie naszych pasażerów w tym samym stopniu, w jakim chcemy odpowiadać za ich bezpieczeństwo! — powiedziała stewardesa, nadal uśmiechając się. — Na pokładzie samolotów naszej linii pasażerowie muszą otrzymywać posiłki jedynie najwyższej jakości! Sama przyrządzę wszystko, ściśle według pana recepty. Proszę mi zaufać.

— Tak się tylko mówi... — mruknął mały człowieczek. — Tak się tylko mówi. Nikomu nie wolno ufać... — Ale opuścił wycelowany palec.

Megafon chrząknął cicho i powtórzył:

— Podróżni udający się w kierunku Nairobi–Addis Abeby–Kairu–Zurychu i Londynu proszeni są o udanie się do wyjścia numer 3 dla odbycia odprawy celnej i paszportowej. Dziękuję.

Joe wstał, to samo uczynił pan Knox.

— Czy wie pan, kim jest ten duży chłopak pod opieką tego małego człowieczka?! — I nie czekając odpowiedzi, dodał szybko. — To Fighter Jack! Teraz poznaję go. Widziałem dwie jego walki. Leci do Europy, bo za trzy tygodnie będzie walczył w Londynie z drugim pretendentem, a ten z nich, który zwycięży, zmierzy się z samym mistrzem... jak mu tam?... tym przekłętym Murzynem... Tu nie może walczyć, bo u nas czarnych jeszcze nie rozpuścili tak, jak gdzie indziej i białym chłopcom nie wolno bić się z nimi. I słusznie zresztą! Gdzież ten czarny błazen podział mój parasol? Zdaje się, że wziął go razem z walizką...

Byli już niemal przy drzwiach. Joe obejrzał się mimo woli. Jeżeli coś naprawdę nie podobało mu się podczas ostatnich dwu tygodni, to stosunek tych, skądinąd sympatycznych ludzi do ich czarnych współmieszkańców.

— Zdaje się, że zostawił pan coś na stoliku... — mruknął ruszając przodem i odrywając się od pana Knoxa, który zawrócił ze słowami:

— Co? Gdzie?

Lecz uśmiechnięta stewardesa zauważyła jedną z małych paczuszek pozostawionych na stoliku i szła już w ich stronę młodzieńczym, sprężystym krokiem, postukując równo obcasami lśniących jak szkło pantofelków. Alex także zatrzymał się, aby przytrzymać wahadłowe drzwi przed nadchodzącą damą, która straciła już swą niezwykle nieruchomość, ale szła wyprostowana, nie spoglądając w lewo ani w prawo. Jej spojrzenie nadal było skierowane w jakiś niewidzialny, nie istniejący punkt, znajdujący się daleko przed nią, jak gdyby otaczający świat w ogóle nie istniał. Musiała jednak dostrzegać to, co się dzieje naokół, gdyż mijając przytrzymywane przez Alexa drzwi, rzuciła krótko:

— Dziękuję!

Joe skłonił się w milczeniu. Mister Knoxa, który także zatrzymał się i stał z wyciągniętą ręką czekając na nadchodzącą stewardesę, przechodząca dama nie obdarzyła nawet cieniem uwagi i Joe pomyślał przelotnie, że jeśli to jej widok wywołał tak wielkie poruszenie jego nowego znajomego, to musiało być ono zupełnie jednostronne. Najwyraźniej nie znała go zupełnie.

Stewardesa nadeszła trzymając w jednej ręce paczuszkę pozostawioną przez pana Knoxa, a w drugiej czerwoną damską parasolkę, którą Alex zdążył już wcześniej zauważyć.

— To, zdaje się, należy do pana... — podała Knoxowi paczuszkę. — A która z pań pozostawiła tę parasolkę? — Wymawiając ostatnie słowa, zbliżyła się do młodej kobiety idącej obok wózka, na którym tragarz popychał jej potężny kufer-szafę.

— Och, dziękuję pani! Taka jestem roztrzępana! — Młoda kobieta w nazbyt obcisłym kostiumie wzięła parasolkę i przyjrzała się jej, jak gdyby obawiając się, że ktoś mógł uszkodzić ten bezcenny i tak dopasowany kolorystycznie do reszty jej stroju

przedmiot.

Tragarze podjechali do wagi, gdzie szybko ważono bagaż, przyczepiając do rączek waliz kolorowe tekturki z nazwiskami pasażerów i lotniskiem przeznaczenia.

Jeden wózek po drugim wjeżdżał w drzwi oznaczone wielką czarną cyfrą „3”, skąd, po okazaniu paszportów znudzonemu młodemu człowiekowi w mundurze, poszli dalej szerokim korytarzem.

Joe dopełnił formalności i ruszył za panem Knoxem. Walizy czekały już uszeregowane na lśniącej, niklowej ladzie, za którą stało czterech, najwyraźniej sennych, celników.

— Czy ktoś z państwa ma do zadeklarowania jakieś przedmioty podlegające opłacie celnej? — zapytał jeden z funkcjonariuszy. Pytanie było swobodne, ale Joe, który lubił przyglądać się małym wydarzeniom, dostrzegł nieznaczną zmianę w zachowaniu celników. Zauważył, że oczy ich wędrują od niechcienia po twarzach pasażerów stojących po przeciwnej stronie ludy.

Na pytanie zadane przez celnika odpowiedziało milczenie. Najwyraźniej nikt z odlatujących nie wierzył, aby w jego bagażu mogło znajdować się coś, co Unia Południowoafrykańska chciałaby uznać za godne obłożenia cłem.

— Czy nikt z państwa nie ma w bagażu lub przy sobie zakupionych lub otrzymanych w podarunku diamentów w stanie surowym, pochodzących z naszego kraju?

Znowu milczenie.

— ... lub brylantów oszlifowanych o wadze powyżej jednego karata?

Młody olbrzym mruknął coś pod nosem.

— Słucham? — celnik zwrócił się ku niemu.

— Och, nic — Fighter Jack machnął dłonią, która przypominała wielki bochen chleba. — Czy nie dosyć, że musimy godzinami przesiadywać, czekając na waszym lotnisku, żeby teraz czekać jeszcze dłużej, póki nie znudzą się wam te głupie pytania?! Kto nie ma brylantów, nic wam nie powie, bo nie ma nic do powiedzenia, a kto je ma, też nie rzuci ich wam na ladę, jeżeli zdecydował się zaryzykować.

Celnik otworzył usta, spojrzął groźnie na stojącego przed nim człowieka, któremu, choć sam nie był ułomkiem, sięgał głową do ramienia, ale nic nie odpowiedział. Dodał tylko, nie spuszczać z niego oczu:

— Przypominam jedynie wszystkim, że odkrycie drogich kamieni podczas kontroli celnej spowoduje ich konfiskatę i pociągnięcie do odpowiedzialności karnej osoby, która je chciała przewieźć.

Ponieważ i teraz nikt nie odpowiedział, zwrócił się do stojącej naprzeciw niego, pierwszej w szeregu pasażerów, sztywnej, wyprostowanej damy, która stała nieruchomo, wpatrzona w ścianę, zdając się w ogóle nie zwracać uwagi na jego słowa:

— Czy to pani walizka?

— Tak.

Nadal nie zwróciła głowy ku niemu.

— Czy ma pani w niej wyłącznie osobiste rzeczy?

— Nie.

Odpowiedź najwyraźniej zaskoczyła nie tylko jego, ale i innych celników, którzy tymczasem zbliżyli się do lady, chcąc rozpocząć odprawę następnych pasażerów.

Alex poszedł oczyma za spojrzeniem nieruchomej kobiety. Wbite ono było w wiszący na ścianie barwny plakat, na którym człowiek stojący na ciele zabitego lwa i wsparty na długiej strzelbie myśliwskiej proponował wszystkim spędzenie najbardziej uroczych i podniecających wakacji w Kenii, krainie dziewiczego buszu.

— Co pani tam ma w takim razie?

— Oprócz rzeczy osobistych mam także materiały naukowe z kongresu, na który zostałam tu zaproszona.

— Naukowe? — W głosie celnika zabrzmiało wahanie. Alex zrozumiał je. On także nigdy nie przypuściłby, że owa dama jest uczonym, zaproszonym tu na międzynarodowy kongres. Było w niej coś niesamowitego, jak gdyby owa nieruchomość nie była znamieniem doprowadzonej do absurdu powściągliwości, ale oznaką straszliwego napięcia, utrzymywanego z najwyższym wysiłkiem na wodzy i grożącego w każdej chwili wybuchem.

— Tak. Naukowe. — Nadal mówiła spokojnie i nadal patrzyła na plakat.

— Czy można wiedzieć, jakie?

— Są to notatki i sprawozdania ze Światowego Kongresu Unii Teozofów Wyzwolonych, który odbył się w tym tygodniu na terenie waszego miasta.

— Teozofów? — powiedział celnik niepewnie. — Tak, proszę pani. — I szybko zrobił kredą krzyżyk na jej walizce. — Rozumiem, proszę pani. Dziękuję bardzo.

Stojący obok wyprostowanej damy tragarz wziął walizkę i złożył na sunącej bezgłośnie taśmie transportera, który uniósł ją ku ciemnemu otworowi w ścianie.

Patrząc za oddalającą się walizką Joe pomyślał, że jeśli celnik rozumie, jakiej nauki dama ta jest przedstawicielką, rozumie znacznie więcej niż on sam. Przez chwilę zastanawiał się nad kwestią wyzwolenia w teozofii i nad tym, co różni wyznawców tej ostatniej, od teozofów nie wyzwolonych, jeśli tacy w ogóle istnieją?

— A pani? — zapytał celnik, najwyraźniej także jeszcze pod wrażeniem dopiero co odbytego dialogu. Pytanie zwrócone było do młodej osoby w czerwonym kapelusiku, która stała opierając się jedną ręką o ladę, a drugą ściskając parasolkę, jak gdyby nie chciała jej ponownie utracić. Celnik dotknął ręką piętrzącego się przed nim ogromnego kufra: — Czy i tu są wyłącznie pani rzeczy osobiste?

— Tak! — głos miała niski i miły. — Moje kostiumy, przede wszystkim.

— Jakie kostiumy?

— Służące mi do występów na scenie.

— Jest pani artystką?

— Jestem piosenkarką i tancerką.

Celnik uśmiechnął się lekko i skinął głową.

— To bardzo piękny zawód, proszę pani. Czy można rzucić okiem na te kostiumy?

Pomógł jej otworzyć kufer i po pobieżnym sprawdzeniu jego zawartości, którą Alex i stojący przed nim pan w rogowych okularach także musieli, chcąc nie chcąc, obejrzeć, zasalutował.

— Dziękuję pani bardzo. Klejnotów nie wywozi pani żadnych z naszego kraju, prawda?

— Żadnych, poza tymi, które tu przywiozłam. — Roześmiała się. — Widocznie byłam tu za krótko.

— Rozumiem, proszę pani. — Celnik także się uśmiechnął, ale zaraz spoważniał. — Dziękuję bardzo.

— Zrobił krzyżyk na bocznej ściance kufra, który po chwili podążył w ślad za niewidoczną już walizką.

— Teraz pan, prawda? — uderzył lekko palcem w następną walizkę, zwracając się przy tym do pana w rogowych okularach.

— Tak, to moja własność. Znajdują się tam tylko moje rzeczy osobiste i kilka książek.

Akcent, którym wymówił te słowa, był tak specyficzny i nienaganny, że Joe mimowolnie uśmiechnął się i powiedział w duchu: „Oxford”.

— A co pan ma w tym neseserze? — celnik wskazał palcem okrągłe, ciemne pudło, które pan w okularach trzymał pieczołowicie pod pachą, jak gdyby nie chcąc zawierzyć uchwytności.

— W opakowaniu tym znajduje się pewna czaszka — powiedział spokojnie pan w okularach.

— Mój wielki Boże... — mruknął stojący za Alexem pan Knox. — Tylko tyle? Mówi, jakby wiozł nowy kapelusz dla żony!

— A więc czaszka... — celnik skinął głową, jak gdyby odnajdywanie czaszek w bagażu podróżnych było zwykłym fragmentem jego codziennych, monottonnych zajęć. — Chciałbym ją zobaczyć. Proszę otworzyć to pudło.

— Proszę bardzo. — Pan w okularach ostrożnie postawił neseser na ladzie i z wolna odsunął biegnący kolisty błyskawiczny zamek. Skórzany pokrowiec rozchylił się, ukazując okrągłe pudełko z grubej tektury. Z jeszcze większą ostrożnością została zdjęta pokrywa i oczom patrzących ukazał się kłęb śnieżnobiałej waty.

Końcami palców właściciel nesesera rozchylił watę i stojący tuż obok niego Joe dostrzegł szarą, brudną, sklepioną półkolistą masę, która zdawała się zlepkiem gliny i ska-

mielin.

Celnik wyciągnął rękę w kierunku pudła, chcąc zapewne odgarnąć watę nieco bardziej, ale pan w okularach szybko osłonił je dłonią.

— Proszę tego nie dotykać! — zawołał ostrzegawczo.

Funkcjonariusz cofnął rękę, ale zmarszczył przy tym brwi. Jeden z jego stojących pod ścianą kolegów zbliżył się szybko.

— Jest to prawdopodobnie najcenniejsza czaszka świata! — powiedział spokojnie pan w okularach, nie przestając osłaniać dłonią pudełka. — Najmniejsza nieuwaga mogłaby ją uszkodzić, a wtedy straty byłyby nieobliczalne, niepowetowane wprost.

— Najcenniejsza? — Drugi celnik także pochylił się i obaj nieufnym spojrzeniem taksowali neseser i jego właściciela. — A któż to jest? Napoleon? — W głosie funkcjonariusza była lekka drwina. — Zresztą bez względu na to, co to za czaszka, wywóz szczątków ludzkich bez specjalnego zezwolenia władz sanitarnych jest zabroniony!

— To nie Napoleon. — Pan w okularach ani na chwilę nie stracił spokoju. Głos jego nadal był cichy i uprzejmy, pełen dobrotliwej ironii, jak gdyby mówił do dziecka. — Czaszka Napoleona nie może interesować nikogo prócz ekscentrycznych zbieraczy. Poza tym, jak wszyscy dobrze wiemy, znajduje się ona wraz z resztą jego szczątków w kościele Inwalidów w Paryżu. Sklepienie czaszki i część żuchwy, które znajdują się tutaj, są nieskończenie ważniejsze dla historii i, choć może się to panu wydać nieprawdopodobne, czaszka ta, z pewnego punktu widzenia, jest znacznie więcej warta niż największe nie oszlifowane diamenty z waszych kopalni, na których, jak się wydaje, tak bardzo wam zależy.

Obaj celnicy wyprostowali się, patrząc nadal nieufnie na pudełko. Ale w głosie tego, który zadał kolejne pytanie, nie było już drwiny.

— Więc cóż... któż to jest, proszę pana?

— *Australopithecus Africanus*. Wykopano go przed miesiącem w Transvaalu, w pańskiej ojczyźnie, która daje światu od kilkudziesięciu lat najwspanialsze okazy szczątków najwcześniejszego przodka naszego gatunku.

— Czy ma pan zezwolenie na jej wywóz?

— Oczywiście. Nie sądzi pan chyba, że trudnię się nielegalnym wywozem skarbów antropoarcheologicznych z pańskiego kraju. Przyleciałem tu wyłącznie po tę czaszkę nie mając żadnych spraw w Unii Południowoafrykańskiej i odwożę ją do Muzeum Brytyjskiego, gdzie zostanie poddana specjalnym badaniom po gruntownym oczyszczeniu i zabiegach konserwacyjnych. Jest niezwykle krucha pomimo skamielin, które cementują jej poszczególne części.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął czarny, płaski portfel, otoczony grubą gumką, którą zdjął powoli i położył na ladzie. Przez chwilę jego smukłe, niemal kobiece palce grzebały w portfelu, wreszcie wyciągnął z niego małą kopertę, a z niej złożony we

czworo papier. Rozwinął go i podał celnikowi, który szybko odczytał pismo, zasalutował i zwracając mu papier, powiedział:

— Proszę nam wybaczyć, panie profesorze. Nasza natarczywość mogła się panu wydać przesadna, ale my tutaj nie jesteśmy ekspertami od czaszek, a tego rodzaju postępowanie, które chroni rozmaite eksponaty przed nielegalnym opuszczeniem granic naszego kraju, na pewno chroni je przede wszystkim dla nauki, prawda?

— Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości! — Pan w rogowych okularach uśmiechnął się lekko. — Gdybyście panowie wiedzieli, jak wiele bezcennych wykopalisk wpada w ręce pokątnych handlarzy, a w konsekwencji w ręce tak zwanych zbieraczy amatorów, żeby zniknąć na długie lata z pola widzenia nauki albo ulec częściowemu zniszczeniu ze względu na nieumiejętne obchodzenie się z nimi, byłibyście zapewne jeszcze dokładniejsi w swoich poszukiwaniach. Czy mogę uważać formalności z zakończone?

— Oczywiście, panie profesorze. Nie mamy żadnych zastrzeżeń. Dziękuję bardzo.

Powoli wsunął papier do portfela, który ponownie okręcił gumką. Później zaczął z największą ostrożnością nakładać pokrywę na tekturowe pudełko, mieszczące to wszystko, co zostało z doczesnej powłoki *Australopithecusa*.

— Czy widział pan kiedyś większe paskudztwo niż ten jego bezcenny skarb? — zapytał szeptem pan Knox, pochylając się do ucha Alexa.

Ale profesor, który właśnie zamknął neseser i gotował się do odejścia, musiał go usłyszeć, bo odwrócił się nagle na pięcie i wpatrując się w pana Knoxa ogromnymi, powiększonymi wypukłościami szkieł oczyma, powiedział:

— „Paskudztwo” to dość ryzykowne określenie, drogi panie, zważywszy prosty fakt, że czaszka ta mogła należeć do pańskiego bezpośredniego przodka. Bo cóż możemy wiedzieć na ten temat, jeśli przeciętny Europejczyk w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto nie zna imion i pochodzenia swych prapradziadków, którzy żyli mniej więcej półtora stulecia przed nim? A ten człowiek, jeśli był już pełnym człowiekiem oczywiście, bo zdania co do tego są podzielone, żył ponad pół miliona lat temu. Dlatego pewna rezerwa w określeniach i odrobina szacunku mogą okazać się po prostu szacunkiem dla własnych przodków, czyli dla samego siebie! — Uśmiechnął się uprzejmie i odszedł, piastując pieczołowicie pod pachą swój neseser.

Pan Knox zaczerwienił się gwałtownie i zrobił krok ku przodowi, co nie dało żadnego rezultatu, gdyż przypomniał sobie natychmiast o stojącym na ladzie bagażu. Zatrzymał się więc ze słowami:

— A cóż to za arogancja! — Patrzył przez chwilę za oddalającym się człowiekiem, którego pochłonęły następne wahadłowe drzwi. W wyrazie jego twarzy walczyły z sobą gniew, pogarda i mimowolny szacunek.

— Mój bezpośredni przodek! Raczej jego własny! Podobny nawet do niego! I to ma

być profesor? Pomyśleć, że ludzie tego rodzaju jeżdżą po świecie i wyrzucają spokojnie pieniądze podatników, udając, że każdy wykopany z ziemi gnat jest więcej wart niż tona diamentów. Gdyby zamiast tego chcieli sobie co niedziela poczytać Biblię, wiedzieliby, skąd się wziął człowiek na ziemi i jak go Pan Bóg stworzył. Przestaliby wtedy badać, kto, z kim i dlaczego żył pół miliona lat temu! Jutro następny taki szarlatan ogłosi w gazetach, że znalazł żebro Adama albo pałkę Kaina i wtedy...

Stojący naprzeciw niego celnik chrząknął uśmiechając się.

— Dobry wieczór, panie Knox! Zapewne wielu ludzi myśli tak jak pan, ale ten angielski profesor miał zezwolenie na wywóz swojej czaszki, a reszta jest jego prywatną sprawą, prawda? A jeśli chodzi o pana, to przecież widzieliśmy się niedawno. Zaledwie pan wrócił i znowu wybiera się pan w świat?

— Znowu? — Pan Knox zwrócił się ku niemu i skinął głową. Oburzenie jego przysgąło nagle. — Jak zawsze. Cóż robić? Jedni żyją z tego, że muszą nieustannie pakować walizki, a inni z tego, że do nich zagląдают i przetrząsają ich wnętrza.

— Właśnie — celnik westchnął. — Zapewne ci pierwsi mają więcej z życia, bo cóż może być przyjemniejszego niż dalekie podróże? Ale obowiązek nade wszystko, więc może zechce pan otworzyć swoją walizkę?

— Och, oczywiście. — Pan Knox wzruszył ramionami, z wyraźną niechęcią sam otworzył zatraski walizki i unióś jej wieko. — Czy nie mogłoby się choć raz obejść bez tego? Zarówno pan, jak i ja wiemy, że niczego nigdy pan tu nie znajdzie. Ale, jak widać, niejeden uczciwy obywatel tego kraju musi jeszcze długo czekać na to, aby nie traktowano go nieustannie jak przestępcy!

— Żaden obywatel tego kraju nigdy nie jest traktowany jak przestępca, o ile jest uczciwy — odpowiedział celnik spokojnie, przeglądając szybko i sprawnie wnętrze walizki. — A jeśli chodzi o pewne dodatkowe formalności, które stosujemy zwykle, gdy udaje się pan za granicę, to chciałbym panu przypomnieć, że dzieje się tak dlatego, ponieważ przed kilku miesiącami...

— Och, wiem, wiem! — Knox machnął ręką. — Przed kilku miesiącami znaleziono u mnie kilka drobnych, bezwartościowych niemal kamyków, które nosiłem z sobą od lat i uważałem za talizman przynoszący szczęście. Uznaliście to za próbę przemytu, bo za cóż by innego! Choć sami przyznaliście, że mała wartość kamieni wyklucza cechy przestępstwa!

Celnik unióś głowę i spojrział na pana Knoxa, ale jego sprawne ręce nadal poruszały się w głębi walizki, nie powodując niemal żadnego nieładu pośród leżących w niej przedmiotów i bielizny osobistej.

— Pamiętam to doskonale, proszę pana. I, o ile sobie przypominam, nie skonfiskowano ich panu nawet, ale zatrzymano w depozycie i zwrócono panu je po powrocie z zagranicy. Nie uznaliśmy więc próby ich przewiezienia za chęć przemytu. Człowiek

taki jak pan, który z zawodu jest znawcą drogich kamieni, nie mógłby przecież przewozić, w celu osiągnięcia nielegalnego zysku, kamieni wartości stu czy dwustu dolarów. Jednak dopuścił się pan wykroczenia wobec obowiązujących ustaw i dlatego... — rozłożył ręce. — Pańskie upodobanie do tego rodzaju talizmanów zmusza nas do zaostrzenia kontroli wobec pana. Czy można wiedzieć, co pan wiezie w tej teczce i w tych małych paczuszkach?

— W teczce są moje notatki, listy i skatalogowane prospekty kopalni, której jestem przedstawicielem. W paczuszkach znajdują się najwyklesze zabawki, mechaniczne zwierzątka dla dzieci moich znajomych. Kupiłem je przed odlotem, bo spotkam się z nimi natychmiast po przyjeździe. Jeśli pana interesują szczegóły — dodał ze źle ukrywaną ironią — jest to malutka żyrafa i nosorożec.

Celnik skinął głową z wyszukaną uprzejmością, ale wyciągnął rękę nad ladą.

— Może pozwoli pan łaskawie najpierw tę teczkę.

Dokładnie przeszukał jej zawartość, zerkając nawet chwilami na nagłówki niektórych papierów. Później wsunął je wszystkie na powrót. Z kolei wziął do ręki oba pakieciki, które Knox położył przed nim na ladzie. Szybko rozsypał kolorowy sznurek i wyjął z pierwszego pakiecika malutkie pudełeczko. Otworzył je. Wewnątrz leżał blaszany nosorożec. Celnik obejrzał go dokładnie ze wszystkich stron, potrząsnął nim, a później nakręcił zwierzątko kluczykiem tkwiącym w jego boku. Puścił je na ladę. Nosorożec powolnym krokiem ruszył przed siebie warcząc cichutko mechanizmem. Zatrzymał się, uderzywszy rogiem o ścianę walizki stojącej na drodze i został tak warcząc coraz ciszej. Celnik raz jeszcze podniósł go, znów potrząsnął nim koło ucha, zważył w dłoni i wsunął na powrót do pudełeczka, które podał koledze, a gdy tamten zajął się zręcznie zawinięciem zabawki w papier i owiązaniem jej sznurkiem, sam wziął drugie pudełeczko.

Pan Knox stał spokojnie, wsparty pulchnymi dłońmi o powierzchnię lady, wpatrując się w czynności obu celników. Na twarzy miał wyraz bardzo chyba zbliżony do tego, z jakim pierwsi chrześcijanie oczekiwali przed bramą areny znaku, że za chwilę otworzy się ona i zostaną rzućeni na pożarcie lwom przed oczyma bezlitosnego, rozbawionego tłumu. Celnik otworzył drugie pudełeczko i wyjął z niego tłustego, ciemnobraunatnego, także wykonanego z blachy, hipopotama. Cały proceder powtórzył się z tą różnicą, że drugie zwierzątko maszerowało nieco prędzej i wyminawszy walizkę byłoby spadło z lady na podłogę, gdyby drugi funkcjonariusz nie pochwycił go na krawędzi.

— Tak — powiedział celnik. — To już niemal wszystko. Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, panie Knox, może będzie pan łaskaw zająć wraz z walizką na chwilę tam...

— Uniósł fragment lady i usunął się, robiąc miejsce i wskazując równocześnie niewielkie drzwi w ścianie komory celnej, opatrzone napisem: „Osobom nie upoważnionym wstęp wzbroniony”.

— Frank, weź walizkę pana... — zwrócił się do drugiego celnika.

Pan Knox spojrzął na Alexa i uniósł oczy ku niebu, jednak bez słowa sprzeciwu ruszył za młodym celnikiem niosącym jego walizkę. Po chwili obaj zniknęli za drzwiami. Tymczasem odprawa dobiegała już końca.

— Poznając pana, Mr. Alex — urzędnik rozpogodził się. — Przed chwilą widziałem pana fotografię w gazecie. Wydawało mi się, że człowiek tak zapracowany jak pan nie odpłynie statkiem, a skoro miał pan dziś opuścić Johannesburg, pomyślałem, że najprawdopodobniej tu pana zobaczę.

Zrobił szybki znak kredą na walizce.

— Dziękuję bardzo i szczęśliwej podróży!

Sam zdjął walizkę z lady i złożył ją na taśmie transportera.

Joe skinął mu ręką i obejrzał się. Prócz niego pozostał w komorze tylko młody olbrzym nazwany Fighter Jackiem i dziewczyna, której nie widział uprzednio w poczekalni.

— To nasz wspólny bagaż — powiedział mały człowieczek wskazując dwie walizy. — Sprzęt treningowy nadaliśmy wcześniej. Nie ma tu nic, co mogłoby was zaciekawić. Jedziemy walczyć i nie interesuje nas nic innego.

— Wiemy o tym. Nazwisko i twarz Fighter Jacka znane są każdemu dziecku w tym kraju! — powiedział celnik. Zrobił znak kredą na obu walizkach i próbował dźwignąć jedną z nich z wyraźnym wysiłkiem, gdy młody bokser powiedział:

— Może pomóc?

I lekko, jak gdyby nie odczuwał w ogóle swojej niezwyklej wagi, przeskoczył przez ladę, a później, chwyciwszy obie walizy, uniósł je i złożył na transporterze, jak gdyby były wypełnione powietrzem. Drugi lekki skok i oto stał dokładnie w tym samym miejscu, z którego wystartował.

— Kondycja dopisuje, jak widać! Życzymy szczęśliwego powrotu!

Mały człowieczek bez słowa uniósł dwa palce rozchylone na znak spodziewanej wiktarii.

Joe ruszył za nimi. W tej samej chwili małe drzwi w ścianie komory celnej otworzyły się i ukazał się w nich pan Knox zapinając marynarkę.

— I po cóż to wszystko? — mruknął. — Czy naprawdę sądzicie, że jestem dzieckiem?

— Nigdy nie sądziliśmy, że jest pan dzieckiem, Mr. Knox. — Urzędnik zasalutował przyjaźnie. — Nie ja wydaję tego rodzaju dyspozycje. Jesteśmy jedynie wykonawcami zarządzeń naszych przełożonych. Jeśli chce pan zaprotestować przeciwko formie kontroli, którą przeprowadziliśmy w stosunku do pana, musi pan to zrobić wyżej. — Uniósł palec wskazując sufit.

Ale pan Knox wzruszył tylko ramionami i nie słuchając już ruszył za Alexem w kierunku wyjścia, wyminął go i popędził dalej mamrocząc do siebie ze złością.

Wchodząc po stopniach samolotu osrebrzonego smugami silnych reflektorów umieszczonych na dachu dworca i wieży kontrolnej, Joe dostrzegł, że od podbrzusza maszyny odrywa się żółty, pękaty samochód–cysterna i odjeżdża w półmrok migający różnobarwnymi lampkami, uciekającymi daleko w zupełną ciemność na widnokręgu. Nie opodal samolotu przechadzał się człowiek w kombinezonie trzymający dwie opuszczone ku ziemi chorągiewki. Obok stało kilku mechaników.

Alex wchodził powoli, patrząc na dalekie, wydobyte blaskiem reflektorów zmroku hangary. Jak zwykle wspomnienia urosły natychmiast: wspomnienia wszystkich nocy, kiedy dostrzegał w mroku kształt swojej maszyny, zbliżał się ku niej i siadał za sterami. Wstąpił do lotnictwa mając siedemnaście lat, w dwa miesiące po ukończeniu szkoły. Była wojna, minął rok szkolenia, a później nadeszły cztery nieskończone długie lata, gdy prowadził ciężką maszynę z ładunkiem ośmiu ton bomb nad Niemcy. Ale to było bardzo dawno. Co prawda nie tak dawno, żeby nie przenikała go nadal dziwna, niczym przecież nie uzasadniona tęsknota, ilekroć znajdował się na lotnisku albo leżąc nocą w łóżku słyszał silniki samolotu sunącego w górze, pośród ogromnej napowietrznej ciemności.

Stewardesa stała na pomoście przed drzwiami i uśmiechnęła się w odpowiedzi na jego: „Dobry wieczór!” — Była to ta sama dziewczyna, którą widział już w poczekalni. Chciał ją minąć, kiedy zatrzymała go zapytaniem:

— Czy ma pan bilet pierwszej klasy?

— Tak.

— Szalenie mi przykro... — rozłożyła ręce. — Fatalny dzień dzisiaj: najpierw opóźnienie, a teraz ta historia. Otóż ze względu na fatalne warunki kilka samolotów w ogóle nie doleciało. Ta Superconstellation należy do charterowej rezerwy naszej linii i nie ma pierwszej klasy, gdyż służy w lecie zbiorowym wycieczkom do Europy. Oczywiście na lotnisku w Londynie wszystkim państwu natychmiast zostanie zwrócona różnica ceny biletu, a ja postaram się, żeby warunki były jak najlepsze. Wszystkie fotele są przystosowane do spania, a zresztą mamy dziś bardzo niewielu pasażerów, więc będzie niemal komfortowo i nie ma mowy o wspólnym siedzeniu. Miejsca będzie aż nazbyt wiele.

— Nic nie szkodzi — powiedział Joe. — Doskonale obejdziemy się bez pierwszej klasy. Byłem przez cztery lata pilotem i sypiam w samolocie lepiej niż w domu.

Uśmiechnął się raz jeszcze i wszedł do wnętrza maszyny. Kabinę wypełniały dwa podwójne rzędy foteli convertibli, z których żaden nie był jeszcze opuszczony, więc Joe nie mógł dostrzec pasażerów siedzących w przodzie, gdyż wysokie oparcia zasłaniały ich przed jego wzrokiem. Zajął miejsce niemal na końcu kabiny i dopiero wtedy zauważył, zerknąwszy w lewo, że po drugiej stronie, w tym samym rzędzie, usiadł już pan Knox, oddzielony od niego jedynie przejściem. Alex stłumił nagłe pragnienie ucieczki i usiadł.

Wyjął z podróżnego neseseru nocne pantofle, które, zdjawszy buty, wsunął szybko na nogi. Oparł głowę o miękką poduszkę oparcia i przymknął oczy. Miał pragnienie i marzył o tym, żeby puścić sobie na plecy strumień zimnej wody, ale na to przyjdzie czas, kiedy samolot oderwie się od ziemi. Start musiał wkrótce nastąpić. A później spać! Wiedział, że wyśpi się doskonale w czasie lotu. Przez maszynę przebiegło lekkie drzenie i przygasto. Próba zapłonu któregoś z silników.

Joe pomyślał o tym, co w tej chwili robią piloci. Zaczął odtwarzać sobie w myśli ich krótkie uwagi, jakiś rzucony mimochodem żart i uważne spojrzenia przesuwane się po oświetlonych zegarach na tablicy. Przed startem zawsze chce się jeszcze raz wszystko sprawdzić, chociaż pozornie nikogo nic specjalnie nie obchodzi, bo wszystko zostało już wielokrotnie sprawdzone. No i oczywiście nocny start... Ale przecież teraz nocny start niczym nie różni się od dziennego. Wtedy, przed laty, reflektory na pasie startowym zapalały się tylko na chwilę, a hangary i pozostałe budynki były tak zaciemnione, że personel lotniska często błędził wśród nich po omacku, nie mogąc znaleźć drzwi do własnego baraku albo kantyny.

Pan Knox, nadal pomrukując cicho jak rozjuszony niedźwiedź, zdjął z podręcznej półki swoją teczkę i zaczął wyjmować z niej papiery, które wkrótce wsunął z powrotem. W przodzie zabrzmiał basowy głos Fighter Jacka i odpowiedź jego maleńkiego impresaria. Wnętrze kabiny było ciche i senne. Najwyraźniej długie oczekiwanie odebrało pasażerom samolotu do Londynu całą niemal energię.

Joe zerknął przez okienko. Schodki odsunęły się i ruszyły własnym mechanicznym napędem w stronę budynku dworca lotniczego.

Usłyszał za sobą odgłos zamykanych drzwi. Stewardesa wynurzyła się z pomieszczenia w tyle samolotu i ruszyła pomiędzy fotelami w kierunku znajdujących się w przodzie drzwi do pomieszczenia pilotów. Idąc rozglądała się gospodarskim okiem, jak gdyby chciała odgadnąć, kim są ci wszyscy ludzie, z którymi musi wejść już wkrótce w osobisty kontakt i spełnić tak wiele najrozmaitszych ich życzeń, jakże różnych, a często zaskakujących. Kiedy minęła Alexa i Knoxa, ten ostatni uniósł się z fotela i złożył swą teczkę na podręcznej półce. Choć wszystkie górne światła paliły się jeszcze, dopiero teraz dostrzegł Joe'ego i uśmiechnął się do niego szeroko, a później opadł na bliższy z dwu foteli, tuż obok przejścia. Wychylił się ku Alexowi.

— Nie uwierzyłyby pan, gdyby nie widział pan tego na własne oczy, prawda? I to ma być republika, kraj wolnych ludzi, posiadających jednakowe prawa! Czy wie pan, że od pół roku prześwietlają mnie każdorazowo aparatem rentgenowskim? Mnie i walizkę! Prawdopodobnie jakiś idiota w tym przeklętym urzędzie celnym wierzy głęboko, że któregoś dnia zdobędzie wymarzony awans zobaczywszy na ekranie rentgena brylant wielkości śliwki w moim żołądku! Czy naprawdę sądzą, że poważny przedstawiciel wielkiej kopalni może choćby przez sen pomyśleć o przewiezieniu drogiego kamienia

w brzuchu do Anglii? Wydaje im się zapewne, że człowiek mający co dnia do czynienia z tak ogromnymi skarbami nie może być tak samo drobiazgowo uczciwy jak pastor, lekarz albo ten arogancki facet z czaszką swojego pradziadka mały w pudełku! Sam pan słyszał: „Przepraszamy, panie profesorze! Dziękujemy, panie profesorze! Życzymy szczęśliwej drogi, panie profesorze!” Ciekaw jestem, dlaczego mnie nigdy nie życzyli szczęśliwej drogi i nie przeprosili, chociaż jestem równie niewinny i uczciwy jak on?

Joe rozłożył ręce. Z jednego z foteli, mniej więcej pośrodku kabiny, wstała młoda dziewczyna, zbliżyła się ku nim i rozejrzała, a później zajęła miejsce przed panem Knoxem i usiadła znikając z pola widzenia Alexa. Była to ta sama osoba, którą dostrzegł dopiero w komorze celnej. Nie było jej w poczekalni, więc albo przybyła w ostatniej chwili, co było dość nieprawdopodobne, gdyż samolot miał już zbyt wielkie opóźnienie, albo może jadła kolację w restauracji dworca lotniczego i nadeszła wprost stamtąd. Gdy zbliżyła się, dostrzegł wyraźnie jej twarz. Nie była brzydka, ale nie nazwałby jej bardzo ładną. Jedną z takich twarzy, które zapomina się natychmiast, gdy przestaje się je widywać, uczciwa, spokojna, podobna do tysiąca innych.

Samolot przebiegło lekkie drżenie. Później z wolna wtargnął z zewnątrz rosnący szum, który przemienił się w ryk, cichnący i wznoszący się w miarę jak pilot zapuszczał silniki i zmieniał kolejno wysokość ich obrotów. Górne światła przygasły na chwilę i znów zapłonęły jasno. Na przedniej ścianie kabiny, ponad drzwiami prowadzącymi do pomieszczenia pilotów, ukazał się napis:

PROSZĘ ZAPIĄĆ PASY I ZGASIĆ PAPIEROSY!

SAMOLOT STARTUJE!

Napis trwał przez chwilę, zamigotał i zgasł. Ryk silników także ucichł, a wraz z nim lekkie drżenie kabiny.

— Już ponad półtorej godziny opóźnienia i nadal nie mogą ruszyć! — powiedział pan Knox z cichą satysfakcją.

Joe przetarł firaneczką zamglone okienko i wyjrzał. Od budynku dworca oderwał się mały jeep i mknął po rozjaśnionym reflektorami asfalcie ku stojącej nieruchomo maszynie. Stewardesa ukazała się w drzwiach pomieszczenia pilotów, szybko przeszła całą długość kabiny i zniknęła w tyle, zamykając drzwi za sobą.

Z mroku wyłoniły się znów nadjeżdżające schodki trapu. Z samochodziku kierowanego przez człowieka w błękitnej mundurowej bluzie i białej czapce wysiadła wysoka postać w jasnym rozpiętym płaszczu deszczowym i stanęła, najwyraźniej czekając na przysunięcie trapu.

— Jeszcze jeden pasażer, spóźniony nawet bardziej niż samolot, którym chce odlecieć! — powiedział Joe i cofnął się od okna opadając plecami na fotel.

Usłyszeli odgłos zatraskiwanych drzwiczek, później drzwi kabiny otworzyły się i spóźniony pasażer ukazał się oczom pozostałych. Za nim szła stewardesa.

Joe był jednym z tych, którzy spojrzeli na niego. Pan Knox także, być może dlatego, że siedząc w tyle kabiny mogli go obaj widzieć najdłużej, gdy wszedł i zatrzymał się niezdecydowanie, a później ruszył ku przodowi.

Był młody i, co niemal zdumiało Alexa, przyzwyczajonego do odruchowego rejestrowania niecodziennych szczegółów w otaczającym świecie, ubrany był w nieprzemakalny płaszcz z podszewką zapięty na wszystkie niemal guziki, prócz dwu najwyższych, ukazujących gołą szyję, wyłaniającą się z rozpiętej miękkiej białej koszuli.

Po przejściu kilku kroków nowo przybyły znowu zatrzymał się na chwilę. Był teraz blisko i światło spływające z sufitu kabiny oświetliło dokładnie jego twarz. Joe drgnął: człowiek ten był blady, ale nie była to bladłość wynikająca ze zmęczenia albo gwałtownego przeżycia psychicznego. Po prostu sprawiał wrażenie, jak gdyby od bardzo długiego czasu nie wystawiał twarzy na działanie słońca. Było w tym odcieniu skóry coś tak znajomego, że Joe przyjrzał mu się uważniej. Oczywiście, nieznajomy mógł powracać ze szpitala, w którym spędził kilka miesięcy, ale...

W tej chwili usłyszał dobiegający od strony sąsiednich foteli cichy dźwięk, który nie był westchnieniem i nie był również gwałtownym zaczerpnięciem powietrza, ale jak gdyby jednym i drugim równocześnie. Nie musiał odwracać spojrzenia od twarzy nieznajomego, żeby stwierdzić, że dźwięk ten wyrwał się z piersi pana Knoxa.

— Na szczęście zdążył pan w ostatniej chwili, dzięki nieprzewidzianemu opóźnieniu! — powiedziała stewardesa, która zatrzymała się tuż za nowo przybyłym, a później precyzyjnie obok niego ku przodowi i odwróciła się ku niemu. — Proszę za mną, to będzie pan mógł wybrać sobie miejsce. Mamy na razie bardzo niewielu pasażerów na pokładzie. Czy nie zapomniał pan podręcznego bagażu w samochodzie?

— Nie mam żadnego bagażu! — powiedział młody człowiek spokojnie i opadł na miejsce daleko w przodzie.

— Żadnego, proszę pana? — Nie brzmiało to nawet jak zapytanie. W głosie dziewczyny nie było najmniejszego zdziwienia, jak gdyby fakt, że pasażer wsiadający w Johannesburgu do transkontynentalnej maszyny nie ma ze sobą nawet własnej szczotki do zębów i maszynki do golenia, należał do zjawisk codziennych i najzupełniej oczywistych.

— Nic! — powiedział głośno młody człowiek. — Nie mam z sobą niczego! Czy zaspokoilem już pani ciekawość?

— Tak, proszę pana, choć nie była to kwestia ciekawości, ale chęć usłużenia panu. Chciałam tylko dodać, że ma pan bilet pierwszej klasy, a ponieważ samolot ten dysponuje jedynie klasą turystyczną, więc różnica w cenie biletu zostanie panu zwrócona natychmiast na lotnisku docelowym albo przesłana do domu, jeśli zechce pan podać adres.

— Dziękuję pani.

— Gdyby miał pan jakieś życzenie, będę tu za chwilę.

Ruszyła ku pomieszczeniu pilotów. Ponownie zapłonął napis na przedniej ścianie kabiny. Joe pociągnął lekko za małą dźwignię przy poręczy fotela i obniżył nieco oparcie. Dotknął palcami pasa, wysunął go nawet i położył na kolanach, ale nie zapiał klamry. Nigdy tego nie robił. Być może uchroniłoby to siedzącego, gdyby maszyna przekoziółkowała przy starcie albo natrafiła na niespodziewaną przeszkodę. Ale gdyby samolot zapalił się...? Śniło mu się kiedyś, że siedzi sam w płonącym samolocie, jest ranny w rękę i nie może rozluźnić pasa...

Spojrzał w okienko. Samolot zaczął toczyć się wolno, zakręcił i światła dworca ruszyły powoli, cofając się, z miejsca, ku tyłowi. Rytm silników opadł. Wzdłuż alejki błyskających w wysokiej trawie lampek, wyznaczających tory startowe, ciężka Superconstellation toczyła się niespiesznie w mroku. Trwało to dość długo, wreszcie samolot zakręcił z wolna i stanął. Nagle silniki zagrały głębokim, potężnym głosem. Maszyna ruszyła nabierając rozpędu.

Joe widział teraz kępę świateł dworca, odległą już i przesuwaną się coraz bardziej w lewo. Jeden lekki podskok na asfalcie, drugi, trzeci, i dygotanie kół ustało. Ziemia była w dole. Na zewnątrz pozostała już tylko zupełna ciemność i daleka, zawieszona w przestrzeni, wielka łuna świateł milionowego miasta na niewidzialnym widnokregu.

Przez chwilę patrzył zmęczonymi oczyma w mrok. Gdzieś na krańcach nieba wybuchła krótka czerwona zorza i zniknęła. Maszyna szła ciągle w górę, ale powietrze było niespokojne, raz czy dwa razy przyszedł przechył, a później niewielka dziura powietrzna, w którą opadli i unieśli się znowu.

Chyba błyskawica?... — pomyślał Joe sennie. Jedna z owych burz, o których wspominał megafon w poczekalni dworca lotniczego, musiała wędrować gdzieś w pobliżu. Ale samolot wznosił się ciągle, a tam wyżej na pewno będzie spokojniej...

Górne lampy przygasły. Joe nacisnął guzik na małej tablicy tuż obok wysuwanej tacy–stoliczka, którą miał przed sobą. Zapłonęła lampka do czytania. Ustawił ją tak, żeby nie świeciła w oczy, i otworzył rurkę wentylatora: wąski strumyk powietrza owiał mu twarz i przywrócił jasność myśli.

Napis na przedzie kabiny zgasł. A więc samolot był już na kursie. W tej samej chwili z ukrytego megafonu popłynął męski głos:

— Dobry wieczór państwu, nazywam się Howard Grant i jestem kapitanem tego statku powietrznego. Wraz z moimi kolegami będę miał zaszczyt pilotować was aż do Londynu, gdzie zakończymy lot. Życzę wszystkim, w imieniu naszego towarzystwa lotniczego i całej załogi, miłej i pogodnej podróży. Gdyby ktokolwiek z państwa miał jakieś życzenie albo dostrzegł jakieś niedopatrzanie, prosimy o zakomunikowanie swoich uwag panie Barbarze Slope, która pełni obowiązki gospodyni na pokładzie i tak jak pozostali członkowie załogi będzie szczęśliwa, mogąc zrobić wszystko, co w jej mocy,

aby zastosować się do waszych wskazówek. A teraz dziękuję państwu, raz jeszcze życzę miłego spędzenia czasu na pokładzie naszego samolotu i dobranoc państwu!

Joe ziewnął. Nad wyjściem awaryjnym czerwona lampka zamigotała i rozjaśniła się. Znowu ogarnęła go senność. Ta purpurowa żaróweczka przypomniała mu nagle wnętrze jakiegoś kościoła, w którym był przed laty... Przez chwilę siedział zupełnie nieruchomo, starając się przypomnieć sobie, co to był za kościół... Wreszcie uśmiechnął się do siebie. Wiedział, że jego na pół uśpiony i ukołyszany cichym szumem silników umysł nie jest już w stanie przypomnieć sobie niczego, co nie leżało w bezpośrednim zasięgu pamięci i nie dotyczyło niedawno minionych dni. Zabawny był ten klub miłośników książki kryminalnej: niemal sami kupcy i przemysłowcy, jak gdyby wypełniali w ten sposób lukę w swoim solidnym, zrównoważonym istnieniu. A w ogóle, to dlaczego ludzie na całym świecie tak chętnie kupują książki, których jedyną wartością jest zręczne ukrycie przez autora jednej czarnej owieczki pośród kilku lub kilkunastu innych, białych jak śnieg?

Znowu ziewnął. Drzwi otworzyły się. Stewardesa, panna Barbara Slope, tak, zdaje się, nazwał ją niewidzialny pierwszy pilot?... Szła teraz od fotela do fotela z notesem w ręce. Była już niedaleko. Pochyliła się i zadała półgłosem pytanie. Do uszu Alexa dobiegł słyszany już dziś nienaganny akcent oxfordzki.

— Coś lekkiego, wie pani... Po prostu, jedna kanapka. A co można otrzymać?

— Kawa, herbata, soki owocowe, coca-cola. Mogą być parówki z musztardą, sałatka, szynka, dżem, sery... — mówiła teraz wyraźniej i znacznie głośniej, gdyż samolot zdawał się znowu nabierać wysokości i silniki zagrały głębiej.

— Będę wdzięczny za filiżankę mocnej herbaty, jeśli to nie sprawi pani kłopotu, i może poproszę o jakąś kanapkę? Z szynką, powiedzmy.

— Oczywiście, proszę pana, za chwilę.

Szybko zapisała w notesie i przesunęła się bliżej ku dziewczynie siedzącej przed panem Knoxem.

Wymieniły kilka słów, dziewczyna prosiła o szklankę zimnego mleka i nic więcej.

Stewardesa zatrzymała się przed Alexem.

— A czy panu będzie można podać coś przed snem? Ponad kręgiem lampki Joe za ledwie dostrzegął jej sylwetkę. Była naprawdę ładna i najprawdopodobniej prześlicznie zbudowana. Obcisły kostium z wyszytym nad lewą piersią emblematem linii lotniczych leżał na niej znakomicie. Światło żarówki padało na dłoń trzymającą notes. Były doskonale utrzymane, ale lakier na paznokciach nie miał prawie połysku, był przezroczysty i bezbarwny.

— Jeżeli można prosić, chciałbym po prostu filiżankę herbaty i kieliszek rumu. Nie będę nic jadł.

— Tak, proszę pana. — Pochyliła głowę notując. Włosy miała gładko zaczesane

i upięte na tyle głowy. To także musiało wynikać z ogólnej instrukcji. Zapewne towarzystwo lotnicze chciało, żeby wyglądały jak najestetyczniej, ale nie prowokująco. W pamięci podróżnych powinno pozostać zachowanie stewardesy, nie jej wygląd.

— Umywalnie są z tyłu, prawda? — zapytał Joe, gdy wyprostowała się.

— Tak, proszę pana, po lewej i po prawej stronie. Tu także ma pan wtyczkę do maszyny do golenia — wskazała palcem miejsce na tablicy — jeżeli będzie się pan chciał rano golić nie wstając z fotela... to jest wygodniejsze, jeśli powietrze jest niespokojne i samolot kołysze. Oczywiście wtyczki są także w umywalniach: 110 wolt, proszę pana.

— Dziękuję bardzo.

— Mydełka i ręczniki podają automaty w umywalni. Proszę nacisnąć guzik obok lustra, a mydło wyskoczy.

Joe skinął głową i kiedy stewardesa odwróciła się do pana Knoxa, sięgnął jednak po swoją podręczną torbę z przyborami, gdyż lubił wycierać się włochatym ręcznikiem.

Zanim zdążyła zadać swoje sakramentalne pytanie, pan Knox odpowiedział szybko:

— Niech Bóg uchwala! Nie będę nic jadł. Proszę tylko o filiżankę herbaty, to wszystko.

Alexowi wydało się, że jego sąsiad wypowiedział to zbyt głośno, jak gdyby nadal był zdenerwowany.

— Tak, proszę pana. Za chwilę przyniosę.

Ponieważ za nimi były jeszcze tylko dwa rzędy pustych foteli, ruszyła ku drzwiom w tyle kabiny i zniknęła za nimi. Idąc zamknęła notes i wsunęła go do kieszeni. Alex wstał trzymając w ręce ręcznik i skórzany płaski neseserek z przyborami do mycia.

— Proszę pana!

Knox mówił szeptem, ale w głosie jego było wyraźne napięcie. Uniósł się nieco w fotelu i gwałtownymi ruchami ręki przyzywał Joe'ego, wskazując mu fotel obok siebie.

— Proszę pana, na chwilę tylko! — wypowiedziane to było niemal błagalnie.

Joe westchnął w duszy i osunął się na wskazany fotel. Chłodny strumień wody, radość dla ciała umęczonego upalnym, długim dniem, zdawał się odsuwać w nieskończoność.

— Proszę pana! Ja muszę, muszę powiedzieć panu coś... Właśnie panu!

Przysunął twarz niemal do twarzy Alexa, którego owionął jego gorący, szybki oddech.

— Coś, co może być dla mnie ważne... teraz właśnie... Ten człowiek...

Drzwi za nimi otworzyły się i weszła stewardesa niosąc wielką tacę, na której w przegródkach klekotały cicho naczynia. Obcasem pantofelka zręcznie zamknęła drzwi i po chwili zatrzymała się obok siedzących.

Knox zamilkł z otwartymi ustami.

— Dla pana herbata i rum, a dla pana tylko herbata, prawda? — powiedziała. Szybko

postawiła tacę na wolnym fotelu i wysunęła przed miejscem Alexa stół-tacę. Joe skorzystał z tego i wstał.

— Zaraz wróć do pana — powiedział do pana Knoxa i przesiadł się szybko na swoje miejsce.

— Czy wlać panu rum do herbaty? — zapytała panna Slope.

— Tak, jeśli pani taka uprzejma...

Szybko odmierzyła kieliszek, napełniając go niemal po brzegi, nachyliła ostrożnie nad filiżanką i wlała do niej zawartość. Później wyprostowała się, uśmiechnęła i zwróciła w kierunku pana Knoxa, przed którym postawiła herbatę. Wziąwszy z wolnego fotela swą wielką tacę, ruszyła ku przodowi kabiny.

Alex postanowił wykorzystać tę chwilę i wysłiznąć się do umywalni. Teraz tylko umyć się błyskawicznie, a kiedy wróci, herbata będzie jeszcze gorąca. Ale Knox nie był łatwym przeciwnikiem. Chwycił swoją filiżankę wraz z tacą i po chwili siedział już obok niego.

— Ja... zdaję sobie sprawę, że jestem natrętny, ale niech pan posłucha! — szept jego był dramatyczny. — Czy wie pan, że ten... ten młody człowiek, który wsiadł ostatni, to przestępca!? Chciałem od razu panu to powiedzieć, ale ona chodziła od fotela do fotela i nie chciałem ściągać na siebie uwagi. On mógłby zauważyć!

Ręce, którymi ujął filiżankę, drżały tak wyraźnie, że zadzwoniła ona cicho o talerzyk, kiedy usiłował ją podnieść.

— Tak... — powiedział Joe spokojnie, również nie podnosząc głosu. — Domyśliłem się tego, kiedy tylko wszedł tutaj. Ale nie rozumiem, dlaczego musi nas to obchodzić, i to właśnie od tej porze, kiedy gotujemy się do snu? — Chrząknął przy tym lekko.

— Jak to? — Knox był tak zdumiony, że mimowolnie wypowiedział ostatnie słowa na głos, ale natychmiast powrócił do szeptu. — Więc jego pobyt na pokładzie tego samolotu nie obchodzi pana?

— Dokumenty musi mieć w porządku... — powiedział Joe, wypiwszy łyk herbaty. — Zapewne odbył już karę. Inaczej trudno sobie wyobrazić, aby mógł legalnie wsiąść na pokład samolotu. A jeśli policja tego kraju nie ma zastrzeżeń, aby mógł podróżować razem ze mną, dlaczego ja miałbym je mieć? Albo pan? W końcu to ich sprawa i ich odpowiedzialność... A teraz, jeśli pan pozwoli... — znowu wypił łyk herbaty — chciałbym się umyć przed snem i... — chrząknął znowu. — Miałem dziś bardzo męczący dzień... — Uniósł się i opadł znowu na fotel, gdyż pan Knox zagradzał mu przejście.

Knox zdawał się absolutnie nie pojmować aluzji w słowach Alexa. Może po prostu nie usłyszał.

— Błagam pana, on może być niebezpieczny! Bardzo niebezpieczny!

— Drogi panie... — Joe westchnął, tym razem niemal ostentacyjnie. — Wie pan chyba, że przestępcy nie są dla mnie najbardziej egzotycznym zjawiskiem, a szczerze

mówiąc, mam z nimi do czynienia niemal tak wiele, jak z uczciwymi ludźmi, jeśli nie więcej. Ten człowiek ma cerę kogoś, kto długo nie był na świeżym powietrzu i długo tkwił za murami. Nawet jeśli wychodził na półgodzinny spacer, owe pozostałe dwadzieścia trzy i pół godziny zamknięcia w celi zapewniły mu ten rzadki koloryt skóry, który w gwarze przestępców nazywa się „Opalenizną Pana Boga”. Ale fakt, że ja o tym wiem, nie jest dla mnie ani niezwykły, ani interesujący. Pozostaje tu tylko jedno jeszcze pytanie: skąd pan o tym wie i dlaczego jego obecność tutaj wzbudziła w panu taki niepokój? A jest to niepokój prawdziwy, bo nie wrzucił pan cukru do herbaty i pije pan gorzką. Zresztą, zdaje się, że ta miła panienka zapomniała go panu dać. Mam jeszcze dwie kostki, czy chce pan jedną?

Podał mu mały prostokącik, opakowany w białą bibułkę, na której widać było literki BOAC, a pod nimi samolocik.

— Nigdy nie pijam z cukrem. — Pan Knox przesunął ręką po czole. — Pan mnie nie rozumie, mister Alex, on pracował u nas!

— W kopalni?

— Tak.

— Czy popełnił jakieś przestępstwo na terenie miejsca pracy?

— Tak. I chyba właśnie dziś go wypuścili po odsiedzeniu kary. Gdyby wyszedł wcześniej, słyszałbym zapewne o tym. Prawdopodobnie wysiedlili go od razu i wraca do swoich prosto z więzienia. Oni często tak postępują: po odbyciu kary każą cudzoziemcowi natychmiast opuścić Unię Południowej Afryki. Ale on jest niebezpieczny! — znowu głos jego przeszedł w ledwie dosłyszalny szept. — Nie zna go pan jeszcze!

— Dla kogo niebezpieczny?

Joe wypił herbatę i wyprostował się, biorąc do ręki ręcznik, który przedtem przerzucił przez oparcie fotela w przedzie.

— Dla kogo?! Dla społeczeństwa! Dla mnie! Przede wszystkim dla mnie! Proszę pana... Mister Alex, pan jest przecież ekspertem Scotland Yardu, jest pan niemal urzędową osobą... właściwie niemal urzędową, bo to angielski samolot... Niech go pan ma na oku! Błagam pana! — Znowu głos jego urósł na chwilę i opadł szybko. — On może być zdolny do najgorszych czynów, nawet teraz, dziś jeszcze, jeśli dowie się, że tu jestem!... A może już wie?... Nie spojrział na mnie... ale... przecież jutro rano musi mnie zobaczyć, prawda? A wtedy może rzucić się na mnie!

— Zdolny do najgorszych czynów wobec pana? — Alex uniósł brwi. Pan Knox wychylił ostatnie krople herbaty i odstawił filiżankę. — Nie odpowiedział mi pan jeszcze, dlaczego właśnie panu mógłby chcieć wyrządzić krzywdę.

W półmroku wpatrywał się w Knoxa. Ten człowiek był naprawdę przestraszony, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości.

Grubas spojrział na niego i otworzył usta, ale nadal nie odpowiadał. Joe pomyślał

o zdumieniu, z jakim pan Knox zaczął wpatrywać się w poczekalni dworca lotniczego w ową wyzwoloną teozofkę, która zajmowała teraz miejsce gdzieś daleko w przodzie kabiny. Wówczas także sprawiał wrażenie przestraszonego. Może więc był po prostu nieszkodliwym wariatem, którego mózg odbierał sobie tylko znane halucynacje, tak jak umysły innych ludzi odbierają obiektywną prawdę otaczającego świata? Ale przeczył temu jego zawód i zachowanie celników. Przedstawiciel handlowy kopalni drogich kamieni musiał mieć wszystko aż nazbyt dokładnie poukładane w głowie, inaczej nie trzymano by go nawet przez tydzień na tak odpowiedzialnej posadzie. Handel drogimi kamieniami nie mógł spoczywać w rękach maniaka. Istniała jeszcze jedna możliwość: być może, przeczytawszy w gazecie ową nieszczęsną notatkę i rozpoznawszy Joe Alexa, pan Knox wpadł na pomysł żartu, którym później mógłby się pochwalić kolegom przy szklance piwa. Mógł go chcieć wywieść w pole w jakiś bliżej jeszcze nie znany sposób... Ale i to chyba nie mogło być prawdą. Knox musiałby być niemal genialnym aktorem, aby zagrać przestach w ten sposób. W jego zachowaniu nie było ani jednej fałszywej nutki. Lecz genialnego aktora i genialnego improwizatora tłusty przedstawiciel kopalni drogich kamieni nie przypominał na pewno. A więc bał się naprawdę. Dlaczego? Odpowiedź na to dał wreszcie sam Knox, zanim Joe zdążył zadać pytanie.

— On... on może sądzić, że to ja przyczyniłem się do jego uwięzienia. Okoliczności były tego rodzaju, że on chyba musi tak myśleć.

Odstawił tackę i otarł chustką czoło.

— Dlaczego musi tak myśleć? — zapytał Alex i mimowolnie uniósł się nieco na siedzeniu. Ale w przedniej części kabiny był półmrok rozświetlony jedynie małym światełkiem żarówki awaryjnego wyjścia i gdzieś tam nikłym odbłaskiem lampek przy fotelach. Młodego człowieka, który wywołał tyle obaw pana Knoxa, nie było w ogóle widać. Może usnął już, nie zdejmując swego zbyt ciepłego płaszcza i nie opuszczając fotela?

— On... on może sądzić, że to jak odkryłem jego przestępstwo i zameldowałem o nim. On wie, że tak się stało! — Szept Knoxa stał się jeszcze cichszy i ochrypliwy, tak że Joe z trudem pojmował sens jego słów. Grube palce odruchowo mięły leżącą na kolanach chustkę. — Ale przecież sam sobie to zawdzięcza, nie mnie! Tacy ludzie wpadają do więzienia dlatego, że sami pracowali na swój upadek. Zresztą nie mogą odczuwać żadnych wyrzutów sumienia. Było moim obowiązkiem donieść o tym, co zauważyłem. Żaden uczciwy człowiek nie postąpiłby inaczej w mojej sytuacji. A on jest po prostu zbrodniarzem i niczym więcej! Dlatego właśnie... boję się... On może być zdolny do każdego nieodpowiedzialnego czynu, kiedy mnie zobaczy. Tacy ludzie mszczą się...

— Drogi panie, nawet gdyby był najbardziej krwiożerczym dzikusiem, nie może przecież w samolocie zrobić panu najmniejszej krzywdy. Miałby nas wszystkich przeciwko sobie i żadnej możliwości ucieczki. Pod tym względem samolot jest jednym z najbezpieczniejszych miejsc w świecie. A zresztą, nie sądzę, żeby musiał się go pan obawiać

także w Londynie. Jeżeli sprawy wyglądają tak, jak pan je przedstawia, to raczej on powinien obawiać się, a co najmniej wstydzić, powtórnego spotkania z panem, a nie odwrotnie. Sądzę, że prędko będzie chciał się ulotnić z miejsca, w którym przypadkowo natknie się na pana. Nie jest przyjemnie spotykać świadków własnego upadku nawet o tysiące kilometrów od miejsca, w którym on nastąpił.

Pan Knox przetarł czoło dłonią.

— Może ma pan słuszość? — powiedział cicho. — Jestem chyba przewrażliwiony. Ale kiedy wszedł tu niespodziewanie, było to dla mnie wstrząsem. W dodatku wiem przecież, kim pan jest, i wydawało mi się, że jest pan jedyną osobą zdolną do zaradzenia złu, gdyby nadeszło... — ziewnął nagle. — Tak, to pewnie dlatego, że pana spotkałem i zacząłem myśleć o tych zbrodniach, które pan opisuje. Może to dlatego?... — Zapatrzył się w mrok za oknem i po chwili z wysiłkiem uniósł głowę. — Ale zwróci pan na niego uwagę, prawda?

— Oczywiście — Joe uśmiechnął się. Wydawało się, że pana Knoxa opuściła nagle cała burzliwa energia witalna, którą tryskał od chwili ich poznania.

— Trzeba przespać się trochę — Knox ziewnął ponownie — ...i nie przejmować niczym. Bo w końcu przecież ma pan słuszość... Cóż on może mi tu zrobić? Nic... absolutnie nic... — Ziewnął po raz trzeci. — Żyjemy przecież w cywilizowanym świecie...

— Właśnie... — Joe na pół dźwignął się z fotela i znowu usiadł, bo pan Knox przetarł ręką oczy i uniósł dłoń, jak gdyby przypominając sobie coś nagle.

— Ale będzie pan miał go na oku? — powtórzył.

— Oczywiście. Jeśli nie zechce pana udusić we śnie. — Alex był rozbawiony. — Jestem tak zmęczony, że kiedy usnę, nic mnie nie będzie w stanie obudzić. Radzę panu położyć się i przestać o tym myśleć. Rano wszystko będzie wyglądało inaczej, kiedy się pan wyśpi.

— Na pewno, na pewno... — Knox kiwnął głową i uniósł się z fotela na widok stewardesy, która ukazała się z naręczem koców na ramieniu. Przeszedł na swoje miejsce.

— Zaraz przyniosę poduszeczki — powiedziała do Alexa. — Czy umie pan opuścić fotel do pozycji horyzontalnej, czy mam panu pomóc?

— Dziękuję, sam to zrobię. Proszę tylko łaskawie zostawić tu koc i poduszkę, panno Barbaro.

Zauważył, że uśmiechnęła się. Zapewne milej było obsługiwać pasażera, który zapamiętał jej imię. Zabrała jego tacę i tacę pana Knoxa, któremu obniżyła fotel. Alex wstał i ruszył do maleńkiej łazienki samolotu.

Kiedy wrócił, fotel był już opuszczony i leżał na nim równo złożony koc, a w głowach płaska podłużna biała poduszka. Knox spał już. Joe położył się i patrząc na widoczny wysoko w rogu okienka biały sierp księżyca, wsłuchał się w miękkie, ciche szum silników przerywany głośnym, równym oddechem pana Knoxa.

Samolot zakołysał się kilka razy nieznacznie, trafiając na niewielkie podmuchy wiatru. Joe usnął niemal natychmiast.

Cała kabina była uśpiona, pogasły wszystkie lampki przy fotelach i jedynie czerwona żarówka nad wyjściem awaryjnym płonęła nikłym blaskiem, rozgarniającym ciemność na niewielkiej przestrzeni w jej pobliżu.

Po pewnym czasie ciężka, czarna chmura zakryła księżyc. Silniki pracowały równo, spokojnie, lecz piloci nie opuszczali swych miejsc przy sterach, choć automatyczny pilot przejął ich rolę, prowadząc samolot ponad nieskończoną równiną podzwrotnikowej dżungli. Nie była to bowiem spokojna noc, a w dali nad widnokregiem nieustannie pojawiały się krótkie błyski w różnych stronach nieba. Nocy tej nad południową i środkową Afryką, aż po równik, wędrowało wiele lokalnych burz, kłębiących się nisko nad ziemią i strzelających zygzakami piorunów, widocznych z odległości wielu mil.

Minęła godzina. Pan Knox spał spokojnie z na pół rozchyłonymi ustami, oddychając ciężko, jak wielu ludzi o nieco zbyt wielkiej tuszy. Po przeciwnej stronie, oddzielony od niego przejściem i dwoma pustymi fotelami, spał Joe Alex głębokim snem, nie przerywanym żadnymi majakami wyobraźni.

W kabinie było zupełnie cicho, a przytłumiony jednostajny głos silników tłumił ciche oddechy śpiących. Ale nawet gdyby ktoś z pasażerów nie spał w owej chwili, ucho jego nie uловиłoby odgłosu lekkich, skradających się kroków.

W pewnej chwili kroki zatrzymały się. Osoba, która nadeszła, stała przez długą chwilę nadsłuchując. Ale nikt nie poruszył się. Wreszcie cień stojący przy fotelu pana Knoxa pochylił się. Nad piersią śpiącego zawisło długie, wąskie ostrze sztyletu.

Przez chwilę trwało zawieszony w powietrzu. Nadal było zupełnie cicho.

Nagle ostrze uniosło się wyżej i opadło w dół.

Skurcz ściągnął rysy leżącego człowieka. Otworzył oczy, a usta chrapliwie zaczerpnęły powietrza dla wydania okrzyku. Ale druga ręka mordercy nasunęła mu na twarz krawędź koca i zdławiła głos. Po kilku sekundach wyprężone ciało pana Knoxa rozluźniło się.

I oto leżał zupełnie w tej samej pozycji, w jakiej znajdował się poprzednio, ale nie słychać już było jego ciężkiego, równego oddechu, a oczy, przedtem zamknięte, były teraz szeroko otwarte i zupełnie nieruchome.

Alex przekręcił się na drugi bok.

Ręka okryta cienką rękawiczką wsunęła broń pod koc na piersi pana Knoxa.

Joe spał dalej spokojnie. Śnił teraz o Karolinie, o wojnie, o mordercach, których pochwycił w rzeczywistości, i o tych, których wymyślił wraz z ich ofiarami, by kazać im żyć krótko i burzliwie na kartach swoich niezliczonych książek. A później znowu zapadł w sen głęboki jak śmierć, bez żadnych obrazów. Był bardzo zmęczony dwoma tygodniami pobytu pośród nonsensownych Miłośników nonsensownych Książek

Kryminalnych. Spał jak zabity.

Kiedy obudził się po czterech godzinach, fiołkowo–czerwony blask przedświtę stał nad niezmiernym rozciągniętym w dole światem. W kabinie był jeszcze półmrok. Joe zerknął w lewo, ale pan Knox spał najwyraźniej, otulony kocem aż po oczy. Alex odwrócił twarz do szyby. Uniósł się na łokciu. W samolocie nadal było cicho. Zapewne wszyscy spali jeszcze. W każdym razie nikt nie poruszał się. Zapalił papierosa i przysięgając sobie po raz stutysięczny, że nigdy już nie zapali na czczo, patrzył na zdumiewający obraz rozciągający się pod skrzydłami samolotu i wyrastający ponad nim wysoko w niebo. Nisko, oświetlone niewidocznym jeszcze słońcem, którego promienie z trudem przedzierały się przez nie na wschodniej granicy widnokregu, leżało morze skłębionych chmur. Wyrastały z niego fantastyczne baszty i koszmarnie, gigantyczne grzyby, mroczne pomimo sączącego się przez nie światła wstającego poranka.

Nie opuściliśmy jeszcze obszaru burz... — pomyślał Joe, a później, dostrzegłszy ziemię w szerokiej rozpadlinie, która utworzyła się między dwoma spiętrzonymi obłokami: Lecimy na piętnastu tysiącach stóp mniej więcej, a tam w dole pada deszcz, dlatego pewnie będziemy się trzymali wysoko aż do samego Nairobi... to już pewnie niedaleko, zresztą... Ale jeżeli te chmury przed nami urosną i zamkną się w którymś miejscu, wybuja nas porządnie przed lądowaniem...

Jakby na potwierdzenie jego myśli samolot zakołysał się lekko, uderzony nagłym, mocniejszym powiewem wiatru.

Joe złożył koc, rzucił poduszkę na wolne siedzenie obok siebie i naciśnięciem dźwigni podniósł fotel do pozycji „dzień”. Obejrzał się mimowolnie. Marzył o filiżance kawy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie odszukać stewardesy w jej pomieszczeniu i nie poprosić o kawę. Ale zapewne śniadanie miała zaplanowane na określoną godzinę i należało poczekać. W takim razie może najsensowniej byłoby wstać i umyć się, zanim inni o tym nie pomyślą.

W tej samej chwili usłyszał za sobą skrzypnięcie drzwi. Panna Barbara Slope weszła niosąc tacę, na której stały puste filiżanki, dwa porcelanowe, dymiące małymi obłoczkami pary imbryki, zapewne z kawą i herbatą, i wysokie szklanki z sokami owocowymi.

Zauważywszy, że nie śpi, uśmiechnęła się do niego.

— Dzień dobry! — powiedział półgłosem i mimowolnie potarł nie ogolony podbródek. — Marzyłem o pani! I o odrobinie mocnej kawy oczywiście!

Skinęła głową, nadal uśmiechając się.

— Czy może pan wyciągnąć swój stoliczek? — Obie ręce miała zajęte. Postawiła wielką tacę na wolnym fotelu obok niego. Później uniosła jeden z imbryków i ostrożnie, żeby nie rozlać ani kropli, bo samolot znowu zaczął lekko przetaczać się po powietrzu

nych wybojach, wlała czarny, pachnący płyn do filiżanki.

— Czy jesteśmy jeszcze daleko od Nairobi? — zapytał Joe, któremu wydało się, że milczenie w tej sytuacji jest trochę krępujące.

— Według rozkładu lotów powinniśmy tam być za pół godziny. Ale wyruszyliśmy z opóźnieniem, a w nocy zrobiliśmy wielki łuk, żeby ominąć burzę na trasie. O tej porze roku to zwykle zjawisko. Dlatego nie udało się nam nadrobić strat w czasie. Ale sądzę, że uda się to po południu, zanim opuścimy Egipt. Kiedy rozdram napoje i obudzę pozostałych pasażerów, poproszę pilota, żeby zakomunikował państwu, jak się mają sprawy. Co pan będzie jadł na śniadanie?

Wyjęła notes z bocznej kieszonki.

— Może jajka na bekonie, bułka, trochę dżemu i jeszcze jedną kawę? — Joe uśmiechnął się do niej. — W samolocie mam zawsze większy apetyt niż na ziemi.

— Ja także... — oddała mu uśmiech, wzięła z fotela wielką tacę i zwróciła się ku panu Knoxowi, który leżał nieruchomo, otulony kocem.

— Dzień dobry panu... — powiedziała pochylając się. Później wyprostowała się i szybko odstawiła tacę na fotel obok Joe'ego.

— On... — powiedziała cicho i spojrzała na Alexa, który zerwał się z miejsca. — On ma otwarte oczy... — Zbladła nagle. — Wygląda, jak gdyby... One się nie poruszają...

Joe odsunął ją łagodnie i pochylił się.

Pan Knox leżał nakryty kocem, który sięgał mu po nasadę nosa. Tuż ponad krawędź koca widać było nieruchome, szeroko otwarte, spokojnie patrzące oczy.

Alex powoli opuścił rękę i dotknął czoła leżącego. Później cofnął dłoń i wyprostował się.

— Obawiam się, że on nie żyje już od kilku godzin... — powiedział. Przetarł oczy. Czy śnił jeszcze? Wczoraj wieczorem ten otyły człowiek siedział obok niego przerażony, lękając się śmierci, a oto teraz...

Joe pochylił się ponownie i uniósł ostrożnie krawędź koca. Od razu dostrzegł obciągniętą skórą rękojeść sztyletu, a może był to duży nóż myśliwski, jeden z tych, które sprzedają w całej Afryce Południowej w sklepach z pamiątkami, długi, niezwykle ostry, o klindze pokrytej lśniącem niklem? Safari souvenir, niezbędnym w buszu, przebijesz nim nawet skórę zabitego słonia... — Tak, widział podobne na wielu wystawach sklepowych w Johannesburgu. Jeden z nich leżał na piersi umarłego.

Znowu przetarł oczy i uniósł kilka cali koca. Wtedy dopiero dostrzegł krew. Nie było jej wiele, zastygła na koszuli ciemną okrągłą plamą wokół podłużnej wąskiej dziury na wysokości serca, tam gdzie weszło ostrze. Opuścił koc i dostrzegł dopiero teraz rozdarcie, na którym nie było nawet śladów krwi, a tylko wąska, ciemna obwódka.

Usłyszał za plecami spazmatyczne westchnienie. Stewardesa stała za nim i musiała dostrzec ranę, bo kiedy odwrócił się, uniósłszy raz jeszcze koc nieco wyżej i opuściw-

szy go delikatnie tak, aby przysłonił twarz zabitego, zobaczył jej oczy szeroko otwarte i pełne przerażenia.

— On... on jest... — nie dokończyła, zakrywając dłonią usta.

— Tak — powiedział Alex półgłosem. — Zdaje się, że ktoś przebił go sztyletem. Sam nie mógłby tego zrobić w ten sposób. Zresztą sztylet jest tam. Morderca wsunął go później pod koc. Nie może być żadnej wątpliwości, że to morderstwo... Niech się pani uspokoi! — dodał szybko szeptem. — Przede wszystkim nie wolno spowodować paniki wśród pasażerów!

Nie odpowiedziała i nie poruszyła się. Nadal stała nieruchomo, wpatrując się przerażonymi oczyma w zakryty kocem kształt ludzki. Widząc, że jest bliska załamania, Joe dodał niemal ostro:

— Proszę natychmiast zawiadomić pierwszego pilota! Ja tu zaczekam.

— Tak, proszę pana...

Jak mu się wydało, jego autorytatywny ton przywrócił dziewczynie równowagę, a w każdym razie powstrzymał rosnącą w niej panikę. To na pewno było konieczne. Gdyby zaczęła krzyczeć, ludzie zerwaliby się z foteli, półprzytomni, senni, nie wiedząc, co się stało, myśląc instynktownie, że samolot jest w niebezpieczeństwie. Jeżeli istniały gdzieś na pokładzie jakieś ślady morderstwa, znikłyby wówczas w jednej chwili.

Nadal przyciskając dłoń do ust, ruszyła szybko ku pomieszczeniu pilotów i po chwili zniknęła za drzwiami w przodzie kabiny, nie zamykając ich za sobą.

Joe odwrócił się wolno od ciała pana Knoxa i rozejrzał się, próbując zebrać myśli. Nadal miał uczucie, że śni, i pragnął rozpaczliwie przebudzić się wreszcie i otrząsnąć z tego groteskowego koszmaru. Przecież to nie mogła być prawda: jowialny, tłusty pan Knox, zamordowany, leżący spokojnie tuż obok.

Ale równocześnie wiedział, że to nie sen, i urosła w nim nagła wściekłość. Zabito w jego obecności człowieka, a zabójca musiał dokonać swego czynu, będąc tak blisko, że wyciągnawszy rękę, mógłby go nawet dotknąć. Zabito człowieka w obecności jego, Joe Alexa, i morderca odszedł spokojnie, pozostawiając narzędzie zbrodni przy umarłym. Jak gdyby nie znajdował się w zamkniętym samolocie, z którego nie było ucieczki, zawieszony wraz ze swoją ofiarą tysiące stóp nad ziemią, ale na ludnej ulicy, gdzie można uderzyć z nienacka i rozpląnąć się w tłumie tysięcy przechodniów nie zwracających na siebie nawzajem uwagi. To było szaleństwo. A może jednak nie?

Joe zacisnął usta. Chociaż wydawało się to nonsensowne, pojął nagle, że morderca ten wcale nie był szalony, a czyn jego nie był czynem bardziej ryzykownym niż inne morderstwa. Może nawet zawierał mniej elementów ryzyka, niż gdyby dokonano go na ziemi?

Potrząsnął głową. Nie, tak nie mogło być! A jednak...

Wzdrygnął się i odetchnął głęboko. Stojąca nadal na fotelu taca niosła ku nozdrzom

zapach kawy. Znowu zagryzł usta. Niczego bardziej nie pragnął w tej chwili niż filiżanki kawy. Rozjaśniłaby umysł, w którym zaczynała z wolna formować się koszmarna prawda, urągająca elementarnej logice.

Otóż, wbrew pozorom, zabójstwo na pokładzie samolotu, jeśli nikt nie widział mordercy w czasie popełniania zbrodni i jeśli nie wyjdą na jaw jakieś dodatkowe okoliczności, nie było szaleństwem. Było natomiast stokroć bezpieczniejsze i dawało mordercy większe szansę nieujawnienia niż zbrodnia dokonana w innych warunkach. A choć rozumowanie tego rodzaju także wydawało się szaleństwem, jednak prawda była prosta: właśnie dlatego, że nie można było nikogo wyeliminować, że nikt z tych ludzi nie mógł mieć żadnego alibi, każdy ze znajdujących się w kabinie pasażerów, a nawet pilot, stewardesa i radiotelegrafista... każdy z nich mógł być mordercą. Do popełnienia tej zbrodni wystarczył jeden prosty warunek. Morderca musiał tylko zbliżyć się niepostrzeżenie do fotela, do którego wszyscy mieli swobodny, niczym nie skrzepowany dostęp. To było wszystko. Nic więcej.

A on, Joe Alex, spał obok i nie tylko że nie mógł temu zapobiec, ale być może nigdy nie zbliżył się do prawdy, jeśli morderca nie pozostawił innych śladów.

Stało to przed nim jasno w całej swej przerażającej prostocie, zanim stewardesa doszła do drzwi pomieszczenia pilotów.

Sięgnął szybko ku filiżance. Z niejasnym uczuciem, że zachowuje się niestosownie, wypił szybko, parząc sobie usta. Odstawił filiżankę i wolno ruszył wzdłuż kabiny. Było już niemal widno. Tuż przed panem Knoxem leżała z zamkniętymi oczyma młoda dziewczyna, którą ujrzał po raz pierwszy w komorze celnej. Spała chyba, gdyż koc na jej piersi unosił się regularnie. Twarz jej była spokojna i cicha. Usta miała lekko rozchyłone. Dalej, po przeciwnej stronie, leżał profesor. I on spał jeszcze, a wyglądająca spod koca ręka obejmowała czarny neseser zawierający czaszkę afrykańskiego pracźłowika, jak gdyby to była głowa ukochanej kobiety.

Jeszcze dwa fotele. Tu spała młoda gwiazdka music-hallów. Czerwony kapelusik i parasolka leżały nad nią na półce. Jej uśpiona twarz lśniła lekko, posmarowana na noc warstwą kremu.

Fighter Jack i mały człowieczek, zwany przez niego Samuelem, znajdowali się przed nią, mniej więcej pośrodku kabiny i spali po obu stronach przejścia w jednym rzędzie. Gdy Joe zbliżył się do nich, idąc wolno i nie robiąc najmniejszego hałasu, młody olbrzym nie drgnął nawet, ale jego towarzysz natychmiast otworzył oczy i obrzucił nadchodzącego bystrym, zupełnie przytomnym spojrzeniem, zanim zamknął je ponownie.

Dama powracająca z Kongresu Unii Teozofów Wyzwolonych leżała na wznak, zupełnie nieruchomo, z dłońmi na kocu, złożonymi razem i stykającymi się czubkami palców, jak postać z gotyckiego sarkofagu. Jej woskowe rysy nie nosiły żadnych śladów

życia. Joe zamarł na chwilę. Wolno, wstrzymując oddech, pochylił się nad nią. Patrzył uważnie na koc, który zdawał się nie poruszać. Ale nagle powierzchnia koca drgnęła: wdech, przerwa, wydech, przerwa przedłużająca się i znów wdech. Jak gdyby ta najprostsza i najkonieczniejsza z czynności ludzkiego organizmu podzielona była u niej na trzy nie korespondujące z sobą, zupełnie niezależne fazy. Joe także odetchnął — z ulgą. Dwa trupy na pokładzie tego samolotu byłoby to za wiele nawet dla niego.

Dalej ciągnęło się kilka pustych rzędów foteli i wreszcie w pierwszym, tuż naprzeciw drzwi prowadzących do pomieszczenia pilotów, leżał ostatni pasażer. Był na pół okryty kocem. Płaszcz, w którym wszedł na pokład maszyny, wisiał obok, pomiędzy okienkami, za którymi urosły teraz gęste skłębione chmury tuż poniżej linii lotu. Twarz młodego człowieka była tak blada, że i on sprawiał wrażenie umarłego. Ale oczy były szeroko otwarte. Wpatrywał się w ścianę kabiny, odległą o kilka cali od jego twarzy. Oczy te, jasnoniebieskie i młode, były zupełnie przytomne.

Kiedy Alex zatrzymał się w przejściu tuż obok jego fotela, nie odwrócił początkowo głowy, ale po chwili dźwignął się na łokciu i uniósłszy powieki, rzucił mu szybkie, niechętnie spojrzenie, czujne i, jak wydało się Alexowi, pełne obawy.

W tej samej chwili nie domknięte drzwi otworzyły się i Joe dostrzegł w nich stewardesę, a za nią wysokiego mężczyznę dopinającego piaskową marynarkę z emblematami BOAC-u. Panna Slope była bardzo blada, ale najwyraźniej opanowała się już. Za to pierwszy pilot sprawiał wrażenie człowieka zupełnie wytraconego z równowagi. Najprawdopodobniej wiadomość o zabójstwie na pokładzie maszyny, za której los odpowiadał, zaskoczyła go w czasie drzemki. Wchodząc przyglądał dłonią zwichrzone nieco włosy.

— Co się stało? — zapytał Alexa zniżając mimowolnie głos.

— Nie można tego osądzić z całą pewnością... — powiedział Joe spokojnie — ale jeden z pasażerów, przedstawiciel kopalni diamentów, nazwiskiem Richard Knox, o ile się nie mylę, został najprawdopodobniej zamordowany w czasie snu uderzeniem sztyletu. Dlatego pozwoliłem sobie poprosić stewardesę, żeby powiadomiła pana o tym. O ile wiem, jest pan odpowiedzialny za nas wszystkich i wszystko, co się dzieje na pokładzie w czasie lotu, do chwili kiedy samolot wylądaje.

— Gdzie on jest? — pilot rozejrzał się szybko.

— Tam... w ostatnim rzędzie... — powiedziała cicho panna Slope.

Pilot wyminął Alexa i szybko ruszył w tamtym kierunku, a Joe, przepuściwszy przed sobą stewardesę, chciał ruszyć za nim, ale najpierw odwrócił głowę. Był pewien, że młody człowiek znajdujący się tuż obok nich musiał dokładnie wszystko słyszeć.

Nie mylił się. Dostrzegł, że nie leżał już, ale usiadł gwałtownie i teraz wpatrywał się w Alexa wzrokiem, w którym było tyleż niedowierzania, co przerażenia.

— Zamordowany... — powiedział cicho. — Jak to, zamordowany?

Joe uniósł ostrzegawczo rękę i położył palec na ustach.

— Po prostu: zamordowany... — odrzekł zmęczonym głosem. — Proszę zachowywać się spokojnie. Za chwilę będziemy musieli obudzić pozostałych pasażerów i porozmawiać o tym, kto go zabił. Wszczywanie alarmu jest zupełnie niepotrzebne. Morderca z całą pewnością nie opuścił miejsca zbrodni. To jedno jest pewne!

Nie oglądając się więcej, pozostawił za sobą oniemiałego rozmówcę i ruszył za pilotem i stewardesą, którzy doszli już do miejsca zajmowanego przez Knoxa i stanęli wpatrując się przerażonymi oczyma w leżące ciało.

Joe stanął za nimi i chrząknął cicho.

Kapitan samolotu szybko odwrócił głowę i spojrzał na niego.

— Kto zajmuje to miejsce? — zapytał wskazując pusty fotel — Czy pan?

— Tak... — Joe skinął głową.

— I nie słyszał pan niczego? Nie widział pan niczego? Przecież tuż obok pana zamordowano człowieka!

— Chociaż wydaje się to panu dziwne, kapitanie, nie widziałem ani nie słyszałem niczego. Gdybym słyszał, wówczas zapewne pan Knox żyłby jeszcze i nie stałby przed nami bardzo trudny i nieprzyjemny problem stwierdzenia, kto z nas go zabił.

— Wiemy, że znał pan nazwisko zmarłego, ale czy znał pan jego samego?

— I tak, i nie. Poznałem go w poczekalni dworca lotniczego w Johannesburgu. Był to bardzo towarzyski człowiek, jeśli mogę osądzić z tak krótkiej znajomości. Zauważył moją fotografię w gazecie i przysiadł się do mnie. Zdaje się, że zainteresowały go moje związki ze zbrodnią...

— Ze zbrodnią? — kapitan zmarszczył brwi. Joe dostrzegł, że panna Slope stojąca za nim i starająca się nie patrzeć w stronę fotela, na którym rysował się wyraźnie nakryty kocem nieruchomy kształt ludzki, także spojrzała na niego. — Kim pan jest?

— Nazywam się Joe Alex i jestem ekspertem Scotland Yardu... czymś w rodzaju pół-oficjalnego policjanta... — Joe uśmiechnął się lekko, ale zaraz spoważniał. — Prócz tego zajmuję się tworzeniem książek opisujących fikcyjne zbrodnie i wyolbrzymiających moje, jakże skromne, zdolności w wykrywaniu ich sprawców.

— Jak to? — zawołał Grant. — Więc pan jest Joe Alex! I w pańskiej obecności, tuż obok pana, popełniono zbrodnię, a pan... pan...

— No właśnie. Wbrew temu, co mogą myśleć czytelnicy moich książeczek, nie obudziłem się tknięty przemożnym przecuciem, ale spałem. Cóż mogę dodać na swoje usprawiedliwienie prócz tego, że byłem bardzo zmęczony i nie mogłem nawet przypuszczać, że coś podobnego może zdarzyć się właśnie dziś i na pokładzie tego samolotu.

— To prawda... — kapitan skinął głową. Twarz miał posepną. — Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym. Straszne, że musiało to trafić właśnie na naszą załogę... — spojrzał

na Alexa. — Oczywiście słyszałem o panu. I jeśli jest pan ekspertem Scotland Yardu czy też ma pan inne związki z policją, może spróbuje mi pan pomóc?... Sam nie wiem, co mam robić w podobnej sytuacji?... Mniej więcej za godzinę wylądujemy w Nairobi. Nie wydałem jeszcze radiotelegraficznie polecenia, aby skomunikował się z policją na lotnisku, ponieważ chciałem najpierw sam sprawdzić, co tu się stało.

— Niech pan wyda to polecenie. — Joe wydawał się zupełnie spokojny. — A ja, za pańskim pozwoleniem, postaram się przeprowadzić wstępne dochodzenie, zanim wylądujemy. Później wiele, pozornie błahych, faktów może się zatrzeć w pamięci pasażerów, a często takie drobnostki bywają decydujące i stanowią ważne wskazówki dla śledztwa. Dlatego sądzę, że nie będzie źle, jeśli spróbuję pomóc policji w Nairobi, zanim tam wylądujemy. W najgorszym razie nie posuniemy sprawy naprzód, a zawsze jest szansa, że uda się nam coś odkryć. Zresztą rozumie pan chyba, że sam mam powody, aby przyczynić się do wyjaśnienia tej koszarnej zagadki. Oczywiście, zgodnie z prawem międzynarodowym, to właśnie pan musi udzielić mi zezwolenia na najmniejsze nawet działanie w tej sprawie.

Pilot spojrzął na niego niepewnie, ale po chwili skinął głową.

— Proszę... — powiedział. — Znam pana przecież dobrze ze słyszenia, a skoro policja londyńska ma do pana zaufanie, dlaczego ja miałbym go nie mieć? Co pan chce zrobić?

Joe zerknął na zegarek i zwrócił się do stewardesy:

— Proszę obudzić wszystkich pasażerów, ale nie gwałtownie i nie mówiąc oczywiście ani słowa o tym, co się stało. Na szczęście jest nas na pokładzie tylko garstka. Proszę powiedzieć, że pan kapitan ma im coś ważnego do zakomunikowania.

Panna Slope spojrzała na pilota, który bez słowa skinął głową. Ruszyła więc od fotela do fotela, pochylając się nad leżącymi i przemawiając półgłosem. Kolejno zaczęły unosić się nad siedzeniami foteli zaspane głowy. Joe dostrzegł, że młody człowiek siedzący w pierwszym rzędzie wstał, zanim stewardesa podeszła do niego, i odwróciwszy się ku tyłowi kabiny, zaczął wpatrywać się w niego i pilota stojącego obok fotela pana Knoxa.

— Proszę państwa... — Grant odetchnął głęboko i przez chwilę najwyraźniej szukał stosownych słów. Widać było, że z trudem radzi sobie z powstałą sytuacją. Był wyraźnie zdenerwowany. — Mam do zakomunikowania bardzo nieprzyjemną wiadomość. Na pokładzie samolotu zdarzył się tragiczny wypadek. A ponieważ sprawa ta musi dojść do wiadomości wszystkich uczestników tego lotu, więc już przed wylądowaniem w Nairobi chcielibyśmy państwu zadać kilka pytań, co może skrócić nasz przymusowy postój na tym lotnisku. Otóż istnieje uzasadnione podejrzenie, że jeden z pasażerów padł ofiarą... — zawahał się — ... że, być może, na pokładzie popełniono morderstwo...

Urwał. Ale nikt z pasażerów nie poruszył się i nikt nie powiedział słowa.

Joe przesunął po nich wzrokiem: młody człowiek, który opuścił więzienie... mały

trener... jego podopieczny... profesor z czaszką i jedna, dwie... trzy kobiety. Siedziało ich przed nim siedmioro. Kobiety zachowały się spokojnie. Jedna tylko zareagowała: piosenkarka w czerwonym kostiumie. Uniosła wolno ręce do policzków i zamarła w tej pozycji. Długie rozpuszczone włosy okalały twarz lekko lśniąca od kremu, którego nie starła, nie zdążyła zetrzeć. Zapewne zapomniała w tej chwili o tym, jak wygląda.

— Ponieważ chcemy dokonać pewnych wstępnych ustaleń — dokończył Grant — obecny tu pan Joe Alex, współpracownik Scotland Yardu, zada państwu kilka pytań w moim imieniu, gdyż... — znowu urwał. — Proszę, oddaję panu głos — powiedział z wyraźną ulgą.

Joe wyciągnął z kieszeni notes i długopis.

— Czy byłaby pani uprzejma poprosić tu na chwilę radiotelegrafistę? — Spojrzał pytająco na Granta.

— Tak, na razie nic nie stoi na przeszkodzie. Na minutę lub dwie zawsze może zejść ze stanowiska. Poproś tu Neda, Barbaro...

Stewardesa ruszyła ku przodowi kabiny, ale w tej samej chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich niski krępy człowiek w białej koszuli o zawiniętych wysoko rękawach.

— To jest właśnie nasz radiotelegrafista — powiedział kapitan. — Chodź tu, Ned...

Krępy człowiek przeszedł kabinę powolnym, kołyszącym się krokiem i zatrzymał przed nim. Spojrzał na nakryte kocem zwłoki, ale zdawał się nie zdradzać większych emocji.

— Więc jednak... — powiedział. — Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że pogoda znowu zacznie się psuć. Mamy burzę na trasie, jeszcze jedną. Ale Jim prosił, żeby ci powiedzieć, że sam da sobie radę, dopóki nie załatwisz tu wszystkiego. Paskudna sprawa, co?

Znowu spojrzął na zwłoki, a później przeniósł pytające spojrzenie na Alexa, który stał obok jego kolegi.

— To jest pan Alex ze Scotland Yardu — powiedział Grant. — Chce, żebyś nadał depeszę do Johannesburga...

— Z prośbą o natychmiastową odpowiedź — dokończył Alex.

— Są zakłócenia przez te przekłete burze, ale spróbuję w najgorszym razie przez Nairobi, bo już dobrze ich słyszę, a oni chwycą Johannesburg radiotelefonem i przekażą mi odpowiedź. Czy zawiadomić Nairobi o wypadku?

— Oczywiście — Grant skinął głową. — Pan Alex jest pewien, że to morderstwo. Przekaż im to.

— Paskudnie — mruknął radiotelegrafista. — Będą czekali na lotnisku i mogą nas trzymać Bóg wie jak długo... — Mówiąc to zniżył głos, aby pozostali pasażerowie nie usłyszeli go.

Grant wymownie wzruszył ramionami. Radiotelegrafista zawrócił i zniknął

w drzwiach pomieszczenia załogi, zamykając je cicho za sobą. Joe zauważył, że wszystkie głowy z wolna odwracały się za nim, gdy przechodził.

Wszystkie, prócz jednej, gdyż owa zdumiewająca dama, która powracała z Kongresu Teozofów, odwróciła się tyłem do pilota i stojącego przy nim Alexa. Nieruchoma, wyprostowana, patrzyła w okno, za którym zaczęły wyrastać gęste czarne chmury, sięgające niemal skrzydeł.

Joe zwrócił się do stewardesy.

— Ma pani kopie biletów, prawda?

— Tak.

— Proszę mi je łaskawie przynieść.

Bez słowa wyszła. Była wciąż jeszcze bardzo blada, ale zdawała się odzyskiwać równowagę. Joe zwrócił się do pasażerów:

— Będziemy, proszę państwa, próbowali od razu, tutaj, dowiedzieć się tego wszystkiego, czego uda nam się dowiedzieć w tak krótkim czasie. Myślę, że tak będzie najlepiej, gdyż nie biorąc nawet pod uwagę najbardziej tragicznego aspektu tego ponurego wydarzenia, zdajecie sobie państwo na pewno sprawę z tego, że śledztwo w sprawie zabójstwa jest rzeczą nadrzędną i muszą się ugiąć przed nim wszelkie obligacje linii lotniczej wobec przewożonych przez nią pasażerów. Nie będą także brane pod uwagę problemy osobiste tych, którym bardzo się spieszy i muszą znaleźć się w Londynie, bądź w którymś z krajów tranzytowych, w jak najkrótszym czasie. Najprawdopodobniej samolot nasz zostanie zatrzymany w Nairobi wraz z całą załogą i wszystkimi pasażerami. Nikomu nie pozwolą odlecieć dalej, póki nie zostanie ukończony wstępny śledztwo. Dlatego wydaje mi się, że zrobimy wszyscy najrozsądniej, jeśli będziemy się starali skrócić te nieprzyjemne formalności. Ponieważ pan kapitan Grant udzielił mi zezwolenia, abym na pokładzie tego samolotu mógł zadać państwu kilka...

Przerwała mu nagle młoda gwiazdka music-hallu. Oderwała dłonie od twarzy i uniosła je ponad głowę rozpaczliwym gestem.

— Ale ja przecież jutro muszę być w Londynie! Mój kontrakt przewiduje pierwszy występ w sobotę i nikogo nie obchodzą w takich sprawach żadne przeszkody ani tłumaczenia! To najlepszy kontrakt, jaki miałam w życiu! Nie mogę go przecież zerwać zupełnie bez powodu! Przecież ja nic nie wiem, spałam i mogłabym równie dobrze być wtedy o tysiąc mil stąd!

— Była pani wówczas prawdopodobnie więcej niż o tysiąc mil od miejsca, w którym się znajdujemy obecnie — powiedział Alex.

W tej samej chwili młody olbrzym uniósł się, dotykając niemal głową półokrągłego sufitu kabiny.

— Chwileczkę, panie... — Zwrócił się do małego człowieka: — Samuelu, co ten człowiek mówi? Czy on chce powiedzieć, że nie polecimy do Londynu?

— Słyszałeś przecież. — Trener nie usiłował nawet zniżyć głosu. — Wszyscy jesteśmy wplątani w to, bo byliśmy na miejscu zbrodni. A ten pan to tajniak. Słyszałeś przecież, że ze Scotland Yardu, tyle że w cywilu... — Zerwał się nagle i wymierzył w Alexa wskazujący palec wyciągniętej ręki. — Hej, panie, czy pan to mówi serio?

— Jak najbardziej. Sam pan to wyjaśnił bardzo rozsądnie, choć może niezupełnie precyzyjnie, swojemu podopiecznemu. Wiecie już panowie, że na pokładzie samolotu popełniono morderstwo i wszyscy, jak pan to określił, jesteśmy i będziemy wplątani w tę sprawę, póki nie zostanie ona wyjaśniona.

— A cóż to nas może obchodzić? — Mały człowieczek wybiegł zza fotela, przeszedł szybko kilka kroków w kierunku Alexa i zawrócił. Później zrobił nagły zwrot na pięcie i uderzając czubkami palców jednej ręki w czubki palców drugiej, co wprawiło jego drobną postać w zdumiewający rytm, jak gdyby był tamburynistą, powiedział ze złością: — Ciągle, w każdym mieście, co dzień i co noc ktoś kogoś zabija! Człowiek ociera się bez przerwy o takie rzeczy. Wystarczy otworzyć byle jaką gazetę każdego rana i zobaczy pan sto zdjęć z wyprutymi flakami, odciętymi głowami, trupami w bagażnikach samochodów i inne najgorsze okropności. Taki jest nasz świat, prawda? I nikt jakoś nie umie go zmienić. Ludzie mordowali się, mordują i będą mordowali. Ale czy ten tu Fighter Jack ma mieć zakłócony cały cykl treningowy i tkwić w jakiejś dziurze pod równikiem tylko dlatego, że znowu ktoś kogoś zabił? On naprawdę musi być jutro w Londynie, żeby zaaklimatyzować się jak najszybciej i przygotować do walki. Dla niego przylot do Londynu bez opóźnienia jest o wiele ważniejszy niż dla tej panienki, która nam tyle o tym zdążyła powiedzieć! Cały świat czeka na ten mecz! Tu chodzi o wielką sławę i wielkie pieniądze. A to byłaby prawdziwa zbrodnia: trzymać zawodnika w takim klimacie, na samym równiku, tylko dlatego, że jacyś ludzie nie mogą załatwić swoich porachunków na ziemi, jak to robią przyzwoici mordercy, ale przystępują do mokrej roboty w powietrzu, zatruwając życie innym niewinnym podróżnym! W końcu nawet wariat nie uwierzyłby, że to my wykończyliśmy tego grubasa, bo chyba to o niego chodzi? — rozejrzał się. — Był tu wieczorem, a teraz nie widzę go...

Joe skinął głową.

— Więc widzi pan! — Mały trener cofnął się i usiadł ciężko na swym nadal rozłożonym płasko fotelu. — Ani Jack, ani ja nie widzieliśmy go nigdy przedtem. I już go nigdy nie zobaczymy... Więc dlaczego mielibyśmy cierpieć z jego powodu?

— Zapewne ma pan słuszność. Dlatego właśnie będę prosił wszystkich tu obecnych o pomoc.

— Jak możemy wam pomóc? — Mały trener znowu zerwał się z miejsca. — To nie nasza sprawa, ale policji! Jeżeli pan jest z policji, niechże pan siedzi sobie w Nairobi nawet rok i zastanawia się, kogo aresztować! Ale my nie możemy tam zostać nawet przez jeden dzień i jeżeli jest pan przyzwoitym człowiekiem, to pan nam pomoże, a nie

my panu!

— Proszę mi wierzyć, że tylko o to mi chodzi. Ale czy muszę panu tłumaczyć, że sławny bokser i jego trener są w oczach prawa takimi samymi obywatelami jak wszyscy pozostali i nie można stworzyć dla nich żadnych przywilejów w podobnych okolicznościach? Wierzę więc, że wszyscy państwo mi pomożecie. Wszyscy, prócz... — Joe na chwilę zawiesił głos — mordercy, bo on jeden z pewnością nam nie pomoże do oświecenia prawdy. A przecież wszyscy chyba już rozumiemy, że morderca tego biedaka znajduje się nadal na pokładzie samolotu i musi być nim ktoś z nas!

Zamilkł i przyglądał im się spokojnie pośród nagłego milczenia, które zapadło w kabinie. Przerwał je niespodziewanie profesor. Siedział do tej pory nie mówiąc słowa i wpatrując się z wyraźnym zainteresowaniem to w małego człowieka, to w Alexa. Teraz uśmiechnął się pogodnie i powiedział:

— A wie pan, że to ciekawe! Nie przyszło mi to w ogóle do głowy. Tak, rzeczywiście! Jeżeli tego człowieka zamordowano, a samolot przez cały czas od owej chwili znajduje się w powietrzu, morderca musi być tu nadal. I, oczywiście, musi być jednym z nas. Zadziwiające!

Pokiwał głową z wyraźną aprobatą, jak gdyby sytuacja ta wydała mu się godna podziwu, i rozejrzał się wokół, pragnąc najwyraźniej przyjrzeć się wszystkim współtowarzyszom podróży. Pudło kryjące czaszkę trzymał teraz na kolanach, obejmując je dłońmi.

— Och, morderca jest na pewno pośród nas... — Joe także rozejrzał się. — Co do tego nie może być najmniejszych wątpliwości. Ale przecież nie możemy liczyć na to, że sam przyzna się do popełnienia tej zbrodni. A może możemy?

Znowu przesunął wzrokiem po ich twarzach i dostrzegł jedynie siedem par oczu wpatrzonych w niego i pełnych oczekiwania.

Weszła stewardesa, zbliżyła się do Alexa i w milczeniu podała mu bilety.

— Dziękuję bardzo. Może zechce pani łaskawie usiąść tutaj — wskazał jej oczyma fotel w przedzie, dwa rzędy przed miejscem, gdzie leżał umarły. Później zwrócił się do Granta:

— Czy może pan pozostać z nami teraz, kapitanie? Pana obecność wydaje mi się niezbędną ze względu na funkcje, które sprawuje pan na pokładzie samolotu, i płynące z nich uprawnienia.

— Oczywiście, jeśli to konieczne. Zostanę do chwili, kiedy zaczniemy przygotowywać się do manewru poprzedzającego lądowanie. W tym czasie muszę być przy sterach maszyny. — Wyrzwał przez okno, za którym rozciągało się morze ciemnych chmur, aż po granice widnokągu w dole. — Sygnalizowano nam nową burzę. Gdybyśmy zbliżyli się do niej, także będę musiał stąd odejść. Ale na razie niech pan rozpoczyna. Jesteśmy już blisko Nairobi. — Usiadł w fotelu obok stewardesy i rozpiął marynarkę

— Proszę państwa — powiedział Alex. — Sadzę, że najlepiej pomożecie nam państwo, odpowiedziawszy krótko na kilka zasadniczych pytań. Będę kolejno odczytywał wasze nazwiska z książeczek biletowych i przy okazji sprawdzimy, czy nie ma w którejś z nich jakiejś omyłki. To także może przyspieszyć pierwsze formalności po wylądowaniu, proszę więc o uwagę.

Wziął pierwszą, leżącą na wierzchu książeczkę.

— A więc pan... — urwał i potrząsnął głową. Później podjął: — Natrafiłem od razu na bilet zmarłego. — Przesunął po nim oczyma. — Z biletu tego dowiadujemy się, że nazwisko ofiary brzmiało Richard Knox, że był najprawdopodobniej, choć wiem to od niego, a nie wyczytałem tego tutaj, przedstawicielem kopalni diamentów, a zamówił i zakupił ten bilet przedwczoraj, to znaczy pierwszego czerwca. Bilet jest powrotny: Johannesburg — Londyn „et retour”, przy czym powrót nie jest zaznaczony „open”, ale zamówiony na dzień siódmego czerwca, odlot o godzinie ósmej trzydzieści rano. A więc pan Knox wiedział, że spędzi nie więcej i nie mniej niż nieco ponad trzy dni w Londynie. To wszystko... — Zwrócił się do Granta: — Panie kapitanie, czy samoloty z Johannesburga do Londynu i z Londynu do Johannesburga odlatują codziennie?

— Tak. W niektóre dni jest nawet więcej lotów niż jeden, gdyż linię tę obsługuje kilka towarzystw lotniczych, których samoloty poruszają się po nieco innych trasach.

— To wspaniale — powiedział Joe, zdając sobie równocześnie sprawę, że jego wybuch entuzjazmu nie może być zrozumiany przez słuchaczy. — Nigdy nie przypuszczałem, że istnieje tak znakomita komunikacja lotnicza pomiędzy Wyspami Brytyjskimi a Południową Afryką. To nam, być może, pozwoli wiele zrozumieć...

Zamyślił się na chwilę, obracając w palcach drugą książeczkę biletową. Wreszcie zajrzał do niej.

— Pan profesor John Barclay. Wyruszył pan z Londynu i znajduje się pan teraz w podróży powrotnej do Anglii. A bilet wykupił pan przed dwoma tygodniami w Londynie. Czy wszystko się zgadza?

— Najzupełniej, z wyjątkiem pewnego drobiazgu. Bilet kupiłem szesnaście dni temu, o ile dobrze sobie przypominam.

Joe raz jeszcze zerknął do książeczki.

— Tak, ma pan słuszność, panie profesorze. Zaokrągliłem to po prostu, nie wdając się w zbyt precyzyjne obliczenia. Maj ma trzydzieści jeden dni, a w tej chwili jest rano trzeciego czerwca. Przepraszam bardzo i dziękuję. Jeszcze jedno tylko pytanie: co prawda słyszałem pana rozmowę z celnikiem na lotnisku, ale może byłby pan łaskaw powiedzieć mi, w jakim dokładnie celu odwiedził pan Unię Południowej Afryki?

John Barclay przetarł szkła i nałożył je ponownie. W chwili gdy nie spoglądał na świat spoza nich, oczy jego straciły gigantyczny wymiar i wydały się Alexowi podobne do oczu królika. Ale nie był to zbytnio przestraszony królik.

— Jestem antropologiem i odbywam tę podróż na zlecenie Królewskiego Towarzystwa Archeologicznego, a także, oczywiście, na zaproszenie moich południowoafrykańskich kolegów, prowadzących od wielu lat niezwykle owocne wykopaliska w Transvalu. Jak wiadomo, Południowa Afryka uważana jest przez olbrzymią większość badaczy za kolebkę naszego gatunku. Ostatnio uczeni tego kraju wykopali cały szereg zupełnie zdumiewających szczątków praludzi. Odkrycia te najprawdopodobniej przesuną wstecz okres początków człowieka afrykańskiego o mniej więcej sto tysięcy lat, sądząc z pokładów, z których je wydobyto, i pewnych cech, stanowiących nie znane dotąd wczesne ogniwo w rozwoju kości czaszki. Chodzi tu głównie o zęby i sklepienie. Ale ostatnio prasa, nawet niespecjalistyczna, wiele o tym pisała i zapewne jest to ogólnie wiadome. Chciałbym tylko dodać, że w Cambridge istnieje najdoskonalsze w świecie laboratorium wyspecjalizowane w badaniu tego rodzaju znalezisk, a czaszka, którą mam z sobą, jest naprawdę bezcenna dla nauki ze względu na stosunkowo dobrze zachowane zębodoły lewej strony górnej szczęki i dwa tkwiące w nich zęby trzonowe o wyjątkowym wprost znaczeniu.

— Dziękuję bardzo — Joe otworzył następną książeczkę. W tej samej chwili usłyszał głos Fighter Jacka, który pochylił się do małego człowieczka i powiedział półgłosem, lecz tak wyraźnie, że w absolutnej ciszy, jaka zaległa po wypowiedzi profesora, wszyscy go usłyszeli:

— Czy słyszałeś, Samuelu? Sto tysięcy lat?... Jak to możliwe?

Mały człowieczek szybko zakrył mu ręką usta. — To profesor! Wie, co mówi! W każdym razie wie, co mówi, bardziej niż ty! Siedź cicho i pomyśl o stu tysiącach funtów, które mogą nam przelecieć koło nosa, a nie o stu tysiącach lat, które nic nas nie obchodzą!

Młody olbrzym otworzył usta, żeby odpowiedzieć. Joe odczytał głośno:

— Panna Isabella Linton... — uniósł głowę.

— To ja — powiedziała właścicielka czerwonej parasolki.

— Pani także kupiła bilet powrotny w Londynie mniej więcej przed dwoma tygodniami i od razu zarezerwowała pani samolot odlatujący wczoraj wieczorem z Johannesburga, czy tak?

— Tak.

Była już opanowana i, co wydało się Alexowi zupełnie zdumiewające, umalowana i upudrowana. Włosy miała upięte w szeroki węzeł na tyle głowy. Po kremie nie pozostało ani śladu. Kiedy ona zdążyła to zrobić? — pomyślał zadając jej następne pytanie:

— Była pani tu na występach artystycznych, prawda?

— Tak. Przed miesiącem mój agent podpisał dla mnie kontrakt na trzy występy w Capetown i trzy w Johannesburgu. Kiedy już znalazłam się w Afryce, chciano ze mną po pierwszym występie podpisać dodatkowy kontrakt na przedłużenie pobytu w Unii

Południowoafrykańskiej, ale miałam inne zobowiązania i wcześniej zawarłam umowę z dyrekcją londyńskiej „Alhambry”, więc nie mogłam się zgodzić.

— Tak... — Joe zawahał się. — Dziękuję pani, na razie.

Wziął do ręki następną książeczkę, ale studiował ją nieco dłużej, nim odczytał:

— Pan Horace Roberts... To pan spóźnił się wczoraj, prawda? I podwieziono pana samochodem, kiedy mieliśmy wystartować?

— Tak, ja. — Młody człowiek nadal stał oparty plecami o przednią ścianę kabiny. Nie poruszył się. — Ale cóż ten fakt może mieć wspólnego z przesłuchaniem, które pan tu prowadzi? — W głosie jego nie było zdenerwowania ani gniewu, a jedynie umiarkowana ciekawość.

— Wcale nie twierdzę, że te dwie sprawy mają z sobą coś wspólnego, jeśli ma pan na myśli swoje spóźnienie i popełnione tu w nocy morderstwo. Zapytałem pana po prostu, czy to pan jest tym pasażerem, który wczoraj nieomal spóźnił się. Interesuje mnie to, bo gdyby przybył pan na lotnisko o dwie minuty później, odlecielibyśmy bez pana i nasza obecna rozmowa nie miałaby miejsca.

Młody człowiek skinął głową.

— Tak, to byłem ja. Ale chyba i pan, i pozostali tu obecni widzieliście mnie wsiadającego, gdyż pojawiłem się, gdy samolot był gotów do odlotu, i skupiłem na sobie waszą uwagę. Dlatego wydaje mi się, że pytanie to było nieco bezprzedmiotowe.

Alex nie odpowiedział. Ponownie zerknął do książeczki.

— Bilet dla pana zamówiono i opłacono w Londynie przed tygodniem, z określeniem startu na dzień wczorajszy, czy tak?

— Tak.

— Czy pan sam opłacił koszt przelotu?

Młody człowiek wzruszył ramionami.

— A cóż to ma do rzeczy? Nie widzę najmniejszego powodu do odpowiadania na pańskie pytanie. Nie może to mieć nic wspólnego z tą sprawą i, szczerze mówiąc, jest to wtrącanie się do prywatnego życia pasażerów tego samolotu, przekraczające, jak mi się wydaje, pańskie uprawnienia.

— Niestety, tam gdzie zostaje popełnione morderstwo, zwykle następuje po nim to, co nazywa pan wtrącaniem się do prywatnego życia osób mających nieszczęście znajdowania się w pobliżu miejsca wypadku. Obawiam się, że i teraz nie da się tego uniknąć. Zresztą, jeśli zechce pan odpowiedzieć na moje pytanie, dowie się pan, że nie było ono spowodowane zbyt dużą ciekawością. A jeśli nie zechce pan odpowiedzieć, nie będę mógł oczywiście pana zmusić.

Umilkł i czekał przez chwilę. Młody człowiek ponownie wzruszył ramionami.

— Jeśli aż tak bardzo panu na tym zależy... — powiedział z ostantacyjną obojętnością — mogę panu odpowiedzieć. Nie ma w tym zresztą żadnej tajemnicy. Policja do-

wiedziałyby się w Londynie tych szczegółów w ciągu pięciu minut. Bilet ten zakupił dla mnie mój ojciec. Czy i ten fakt może zawierać coś podejrzanego?

Alex westchnął. Denerwowała go zaczepna nutka w głosie rozmówcy.

— W samym fakcie nie ma absolutnie niczego podejrzanego. I jeszcze jedno małe pytanie. Wczoraj byłem świadkiem pańskiego dialogu z tą tu obecną stewardesą, panną Slope. Staliście tuż obok mnie i trudno było nie słyszeć treści waszej rozmowy. Panna Slope zapytała, czy cały pański bagaż został przekazany do pomieszczenia bagażowego. Z pana odpowiedzi wynikało wyraźnie, że nie ma pan żadnego bagażu. Jeśli odpowie mi pan, że i ten fakt nie może być przedmiotem zainteresowania policji, chciałbym dodać w formie wyjaśnienia, łatwo zrozumiałego dla każdego przeciętnie inteligentnego człowieka, że w tych okolicznościach musi budzić zaciekawienie każdy, najdrobniejszy nawet, fakt odbiegający od przyjętych ogólnie norm i codziennej praktyki. Oczywiście wystarczy tu każde pańskie sensowne wyjaśnienie, a ciekawość moja zostanie natychmiast zaspokojona.

Roberts wzruszył ramionami i Joe doszedł do wniosku, że gest ten jest w znacznie mniejszym stopniu wywołany chęcią okazania obojętności, a w znacznie większym pragnieniem zyskania na czasie.

— Pytania pana zadziwiają mnie coraz bardziej. Czy istnieje jakikolwiek zakaz podróżowania bez bagażu?

— Zakaz taki nie istnieje, ale...

Joe urwał, gdyż drzwi prowadzące do pomieszczenia załogi otworzyły się i wszedł radiotelegrafista. Zbliżył się do Alexa i podał mu kartkę gęsto pokrytą linijkami równego, wyraźnego pisma.

— Jest odpowiedź z Johannesburga... — powiedział i zwrócił się do kapitana — Nairobi zawiadomione. Czekają już na nas w pełnej gali... — pokiwał głową i dodał ciszej — o ile dobrze zdołałem poznać kolonialnych urzędników, będą przeciągali wszystkie formalności w nieskończoność.

Grant nie wstając rozłożył ręce, jak gdyby chciał powiedzieć, że człowiek nie powinien sprzeciwiać się przeznaczeniu, nawet jeśli występuje ono pod postacią kolonialnej policji.

— Czy będzie coś jeszcze do nadania? — zapytał radiotelegrafista Alexa.

— Na razie, nie. Dziękuję bardzo — Joe odczytał kartkę i wsunął ją do kieszeni. Później, kiedy radiotelegrafista wyszedł, zwrócił się ponownie do Roberta. — O czym to mówiliśmy? A tak, o pańskim bagażu. Przecież nie uzna pan chyba za niestosowne pytania o przyczynę tak dziwnego sposobu podróżowania. Nieczęsto zdarza się, żeby człowiek wybierał się w podróż wzdłuż niemal całej kuli ziemskiej, nie zabierając z sobą najkonieczniejszych przyborów osobistych, takich jak maszynka do golenia, zapasowa bielizna czy szczoteczka do zębów. Dlaczego tak się stało?

Młody człowiek nie odpowiadał przez chwilę, wpatrując się uważnie w Alexa.

— Ten lotnik powiedział panu, że jest odpowiedź z Johannesburga. Czy pytał pan o mnie?

— Tak.

— Więc nie muszę chyba niczego dodawać. Wie pan już najprawdopodobniej to wszystko, co mogło pana zainteresować w mojej, jakże skromnej osobie.

— Niezupełnie, bo fakt, że na dwie godziny przed odlotem wypuszczono pana z więzienia, a rodzina uprzedzona przez adwokata o postanowieniu władz i terminie zwolnienia zakupiła dla pana bilet w Anglii, nie tłumaczy jeszcze wszystkiego.

Urwał, gdyż w kabinie pociemniało nagle. Spojrzał w okno. Samolot wszedł w chmury i teraz rwał końcami skrzydeł ich strzepy, kołysząc się nieco bardziej niż poprzednio. Grant także wyrzwał przez okno. Zapłonęły światła elektryczne pod sufitem. W tej samej chwili o szyby bluznął deszcz. Nagły blask rozjaśnił kabinę i za oknami nastąpiła niemal ciemność.

PROSZĘ ZAPIĄĆ PASY!

Napis na przedniej ścianie zapalił się, zgasł i znów zapłonął.

Młody człowiek zrobił krok ku swojemu miejscu i usiadł ciężko, rzucony przechylem maszyny.

— Muszę odejść! — Grant wstał i szybko ruszył ku drzwiom pomieszczenia pilotów. Stewardesa uniosła się z fotela i z wolna, trzymając się poręczy, ruszyła wzdłuż kabiny, by sprawdzić, czy wszystkie pasy zostały dokładnie zapięte.

Znowu błysnęło i samolot zakołysał się tak gwałtownie, że jedna z kobiet krzyknęła. Joe stał nadal pośrodku przejścia, trzymając się obu dłońmi za poręcze sąsiadujących foteli. Patrzył na mroczne, skłębione fale przelatujące wzdłuż kadłuba samolotu. Wszyscy umilkli. Siedzący przed Alexem profesor, ściskając mocno uchwyt swego nesesera, uniósł głowę odwracając się.

— A cóż to za przedstawienie! — zawołał, starając się przekrzyczeć łoskot wichury i grzmot silników, który zdawał się wpadać do kabiny z wszystkich stron, jak gdyby przestała działać osłona izolująca ją od dźwięków z zewnątrz. — Czy mógłby ktoś wymyśleć coś podobnego? Zwłoki zamordowanego człowieka przykryte całunem, naokół garstka ludzi miotana wicherą w świetle bijących piorunów, a pomiędzy nimi mordera!

Joe chciał odpowiedzieć, ale nagły podmuch cisnął samolotem w bok tak gwałtownie, jak gdyby nie był on wielotonową, zaopatrzoną w gigantyczne silniki konstrukcją stalową, ale wyschniętym liściem zabłąkanym w wysokie rejony nieba. Kiedy położenie maszyny znów się wyrównało na chwilę, uśmiechnął się.

— Ma pan słuszność, panie profesorze. Trudno byłoby wymyślić coś podobnego.

— Myli się pan! — powiedział profesor wyraźnie nie poruszony burzą za oknami sa-

molotu, zapadaniem i wznoszeniem się kabiny, a nawet obecnością ciała zamordowanego człowieka. Twarz jego odbijała spokojne zadowolenie. — Shakespeare, który wymyślił wszystko, wymyślił także i to! Czy zna pan ten fragment *Króla Leara*:

*Wielcy bogowie, którzy nad głowami
Naszymi gromy burzy rozdarli...*

Urwał, gdyż nowy ostry blask rozświetliłabinę i samolot zanurkował ciężko jak trafiony pociskiem, aby po chwili z jękiem silników pracujących na pełnych obrotach wspiąć się na nadlatującą falę skłębionego, gnanego wichurą powietrza.

Alex szybko wypuścił z rąk uchwyty przy poręczach dwu foteli, pomiędzy którymi stał, opadł na miejsce obok profesora i zdążył zapiąć pas bezpieczeństwa, nim nowe uderzenie burzy targnęło maszyną.

— Dalej jest niemal dokładnie to, co musi nastąpić tutaj! — zawołał Barclay, pochylając się ku niemu. — Dokładnie!

I przysunawszy się jeszcze bliżej, ściskając swój beczenny neser i tuląc go do piersi przy każdym większym przechyle kadłuba samolotu, ciągnął dalej głosem ucznia recytującego na wieczorku szkolnym:

*Niechaj odnajdą teraz swoich wrogów.
Zadrzyj, nędzniku, tający przed prawem
Swe zbrodnie...*

Urwał nagle i spojrzał na Alexa z wyraźnym zakłopotaniem.

— Zdaje się że zapomniałem dalszego ciągu... *Swe zbrodnie...*?

— *Skryj się, ręko krwią splamiona!* — dokończył Alex.

— A tak, oczywiście! Jak mogłem tego nie pamiętać?

Wycie wichury za oknami tłumilo niemal ich głosy. Joe zerknął w lewo, gdzie siedziała młoda dziewczyna, która, jak to dobrze pamiętał, zajęła najpierw miejsce w przodzie kabiny, a później, nim samolot ruszył, przesiadła się do rzędu foteli znajdującego się tuż przed siedzeniem zajmowanym przez pana Knoxa. Teraz najwyraźniej znowu przesunęła się o dwa lub trzy rzędy ku przodowi. Ale to było zrozumiałe, a w każdym razie usprawiedliwione. Przyjrzał się jej przelotnie. Była bardzo blada i siedziała z zamkniętymi oczyma zaciskając dłonie na poręczach fotela. Najwyraźniej albo bała się tej burzy przeżywanej kilkanaście tysięcy stóp nad ziemią, albo walczyła z atakiem choroby morskiej, którą foldery niektórych towarzystw lotniczych nazywają niemal tkliwie „słabością powietrzną”.

Innych pasażerów nie dostrzegął, siedząc zbyt daleko za ich plecami. Zauważył tylko,

że stewardesa pochyliła się nad kimś, na pewno pomagając mu w znalezieniu papierowej torby.

Odwrócił się ku profesorowi, którego cera nie straciła świeżości. Najwyraźniej kołysanie nie szkodziło mu ani trochę.

— Czy pamięta pan, co mówi Szatan w *Raju utraconym*, gdy przeleciawszy nad niezmierną otchłanią, zbliża się ku ziemi i dostrzega pierwszych ludzi, których pragnie zniszczyć? Myślę, że w tej chwili nasz morderca mógłby powiedzieć niemal to samo.

— Nie przypominam sobie tego dokładnie... — Barclay potrząsnął głową. — Milton zawsze nudził mnie trochę, jeśli mam być szczery.

— Lęka się — powiedział Joe pochylając się blisko ku niemu i mówiąc głośno wprost do jego ucha. — Lęka się, gdyż wie, że sprawiedliwość dosięgnie go wszędzie! I dlatego, choć jest pozornie wolny, pojmuję, że nie ma dla niego bezpiecznej kryjówki ani prawdziwej ucieczki:

*Gdziekolwiek zwrócę lot, tam czekać będzie
Gniew nieskończony, nieskończona rozpacz!
Gdziekolwiek zwrócę lot, tam wszędzie piekło.
Piekło jest we mnie, a na dnie otchłani.
Głębsza, ziejąca czeluść się otwarta,
Przy której piekło dręczące jest niebem.
Zmiłuj się wreszcie! Czyż nie ma już miejsca
Dla mej pokuty i dla wybaczenia?
Nie ma, zostało jedynie poddanie
I lęk przed hańbą, która mnie okryje
Wśród duchów w dole...*

Alex zamilkł.

— Tak, teraz przypominam sobie — Barclay skinął głową. Spowaźniał nagle. — To straszne... — powiedział tak cicho, że Joe przyglądający mu się spod oka, mógł pojąć jego słowa jedynie odczytawszy je z ruchu warg.

Profesor wyprostował się i przesunawszy wyżej leżący na kolanach neseser, oparł na nim lekko ręce, jak gdyby zapominając o tym, że dotąd piastował go jak niemowlę. Oczy jego powędrowały ku oknu i pozostały w nie wpatrzone.

Joe znowu się rozejrzał. Dziewczyna po lewej nie zmieniła pozycji. Wydawało się, że cierpi, twarz jej stała się jeszcze bledsza, ale najwyraźniej walczyła wytrwale, nie wiedział tylko, czy z atakiem hysterii, czy z falą mdłości. Stewardesa podeszła ku niej i pochyliwszy się, powiedziała coś.

Dziewczyna otworzyła oczy i próbowała się uśmiechnąć. Skinęła głową, zapewne na

znak, że nie trzeba się o nią martwić, bo da sobie radę.

Joe znowu zerknął ku profesorowi, który nadal wyglądał przez okno, jak gdyby straciwszy chęć do dalszej rozmowy. Przymknął oczy. Burza trwała dalej, ale odniósł wrażenie, że podmuchy jej są nieco łżejsze. Zbyt długo sam był pilotem, aby nie wyczuć, że maszyna wydostała się już z wewnętrznej strefy nawałnicy. Bezwiednie niemal powtórzył w myśli cytat z Milтона. Trudno mu było nawet powiedzieć, kiedy się to rozpoczęło. Ale w pewnej chwili zaczął doznawać uczucia niepokoju... Musiało to chyba dotyczyć czegoś, co stało się tuż po odkryciu zbrodni albo w czasie przesłuchiwania tych dwojga... A może to było wcześniej...?

Siedząc nieruchomo na rozkołysanym fotelu zacisnął jeszcze mocniej powieki i zaczął zastanawiać się gorączkowo. Tak, na pewno czyjeś słowa albo jakieś fakty uderzyły go jako nieprawdziwe... A może to było wczoraj wieczorem? I czy było coś, co ktoś powiedział? Jakieś słowa? A może coś co dostrzegł...? Coś, na co świadomość nie zareagowała, ale co zostało zanotowane w mrocznych komnatach podświadomości, w owym niezależnym od woli człowieka królestwie, mieszczącym się w głębi jego istoty? Wiedział, że te słowa, czy te obrazy, są ukryte tuż, tuż, na krawędzi pamięci i jeśli potrafi je przywołać, ukażą się ostro i wyraźnie wraz z towarzyszącymi im okolicznościami.

Samolot zanurzył się nagle w niemal nieprzenikniony mrok. Deszcz siekł ostro, ale wichur nie uderzał już tak gwałtownie.

Joe otworzył oczy i przymknął je ponownie. Profesor odwrócił twarz od okna i uśmiechnął się do niego. Alex oddał uśmiech, ale otworzywszy klamrę pasa, wstał. Chciał być teraz sam, póki... Wkrótce powinni być w Nairobi, jeśli samolot nie zmienił nieco kursu w czasie burzy. Nim to nastąpi, chciał zrozumieć, jak to się stało.

Przeszedł ku tyłowi kabiny i opadł na swój fotel. Pan Knox nadal leżał tam, gdzie dosięgło go ostrze sztyletu, ale koc zsunął mu się z twarzy, a jedna z rąk opadła i kołysała się teraz lekko i zgodnie z ruchami kabiny.

Joe wstał, ujął tę zimną rękę i zgiąwszy ją z trudem, wsunął pod koc, który na powrót naciągnął na twarz umarłego. Wrócił na miejsce.

Zaledwie usiadł, o mało nie podskoczył do góry! Wiedział już! Wszystko pojawiło się przed nim niespodzianie, jak gdyby ktoś rzucił snop światła na leżącą w mroku otwartą książkę.

Zmarszczył brwi i uniósł je ku górze ruchem, jakim młodzi niedoświadczeni aktorzy zwykle wyrażają na scenie zdumienie. Ale nie był zdumiony. Tak, to miało znaczenie. Musiało mieć znaczenie. Ale jakie? Odpowiedź była prosta: jeżeli to miało znaczenie, mogło ono być tylko jedno.

— Ale to jeszcze nie są dowody — mruknął. — To nie są żadne dowody...

Nagle mrok za oknami zaczął się przecierać. Rozjaśniło się i w pewnej chwili samolot

wypłynął z ciemnej, skłębionej, otaczającej go masy i znalazł niespodzianie pomiędzy białymi, postrzępionymi obłoczkami. Jeszcze chwila i zabłysło słońce, jak gdyby wynurzyli się z tunelu.

Joe zerknął na zegarek. Nie do wiary, ale minęło dopiero dziesięć minut od chwili, gdy rozpoczęła się burza! Kołysanie ustało niemal zupełnie, tak nagle, jak się rozpoczęło. Zgasły światła nad przejściem. Kabina była pełna słońca.

Alex na pół uniósł się z miejsca i rozejrzał. Napis nad drzwiami kabiny zgasł. Z ulgą sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę papierosów. Ale zanim zdążył zapalić, drzwi od pomieszczenia pilotów otworzyły się i wszedł Grant.

— Już po wszystkim! — powiedział pogodnie. — Teraz nie będzie żadnych atmosferycznych niespodzianek do samego Nairobi, tak przynajmniej podają stacje meteo z ziemi. Mam nadzieję, że wszyscy państwo dobrze zniesli tę burzę. Nie była wielka ani długa, ale kołysało dość ostro, jak zwykle między zwrotnikami.

Urwał, jak gdyby przypominając sobie, że przyszedł tu, aby być świadkiem śledztwa dotyczącego morderstwa na pokładzie tego właśnie samolotu. Podeszedł do Alexa i usiadł przed nim.

— Panie Roberts... — powiedział Joe unosząc się z miejsca. — Kiedy wybuchła burza, zaczęliśmy mówić o depeszy z Johannesburga...

Młody człowiek, usłyszawszy swoje nazwisko, wstał z wolna i zajął poprzednie miejsce, wsparty plecami o przednią ścianę kabiny.

— ...Wiem z telegraficznego raportu, który mi tu wręczono, i nie mam powodu ukrywać tego przed panem, że niemal spóźnił się pan, po pierwsze dlatego, że choć wyznaczono dzień zwolnienia pana na wczoraj, to jednak ktoś w zarządzie więzienia nie dopełnił na czas jakichś formalności, a po drugie, ponieważ urzędnicy celni na lotnisku otrzymali rozkaz przeprowadzenia dokładnej rewizji pana osoby. Został pan skazany pod zarzutem popełnienia kilku kradzieży nie szlifowanych diamentów, których później w większości nie odnaleziono. A zwolniono pana pod warunkiem natychmiastowego opuszczenia Unii Południowej Afryki. Ponieważ rodzinie pana przekazano wszystkie przedmioty znajdujące się w zajmowanym przez pana mieszkaniu w Johannesburgu jeszcze w czasie pańskiego uwięzienia, wolno panu było mieć przy sobie jedynie to, co wychodząc podjął pan z więziennego depozytu plus czek podróżny na sumę trzydziestu funtów angielskich, który doręczono panu w kancelarii. Został on przesłany tam z Londynu przez pańskiego ojca. W depeszy otrzymałem wykaz przedmiotów, które znajdowały się w pańskim posiadaniu, gdy poddano pana rewizji na lotnisku: prócz czeku, o którym była już mowa, miał pan przy sobie zapalniczkę, grzebień, chustkę, paczkę papierosów i zegarek na rękę marki „Chronos”. Czy się zgadza?

— Najzupełniej. Mogę tylko podziwiać sprawność tych panów i ich niezawodną pamięć, chociaż, gdyby pozwolono mi wyrazić zdanie w tej materii, wolałbym, żeby ją

ćwiczyli na sonetach Shakespeare'a na przykład, a nie na mojej osobie, którą oglądali zresztą po raz ostatni w życiu.

Powiedział to bez wyraźnej ironii, obojętnym, rzeczowym tonem.

— Bardzo wysoko cenię sonety Shakespeare'a, dlatego trudno mi polemizować z pana propozycją wobec celników, mister Roberts. Chciałbym jedynie zapytać jeszcze, za co dokładnie został pan skazany na karę więzienia przez sąd południowoafrykański, skoro nie znaleziono u pana większości przedmiotów, o których kradzież pana oskarżono? Jest pan Anglikiem, prawda?

— Tak, jestem Anglikiem...

Roberts umilkł i zastanawiał się przez chwilę. Kiedy ponownie zaczął mówić, głos jego stracił ów nieco arogancki, uprzejmie prowokujący ton, który do tej pory tak drażnił Alexa.

— Czy pierwsze pytanie także należy do śledztwa? Mogę pana upewnić, że nie zostałem skazany za morderstwo ani nawet za usiłowanie pobicia kogokolwiek. Skazano mnie, jak pan już wie, za zwykłą kradzież i wypuszczono przedterminowo na skutek mego dobrego zachowania i najprawdopodobniej, starań mej rodziny, która pokryła poszkodowanym wszelkie straty wynikłe z mego uczynku i złożyła gwarancje mogące spowodować wiarę sądu w to, że nie wrócę już nigdy na drogę przestępstwa.

Roberts pokiwał głową.

— Muszę się panu przyznać, że wychodząc z więzienia miałem jeszcze odrobinę dziecinnego przeświadczenia mówiącego mi, że potrafię zataić tę sprawę przed światem i wrócić bez większych przeszkód do normalnej egzystencji. Teraz widzę, że już pierwszego dnia po wyjściu z więzienia zostałem zmuszony do publicznej spowiedzi, a rzecz ta będzie mnie zapewne ścigała do końca życia.

Sięgnął do kieszeni i zapalił papierosa.

— Nie — Alex potrząsnął przecząco głową. — Myli się pan. Nie zdążyli mi tego zadepeszować. Zdążył mi to natomiast powiedzieć Richard Knox na godzinę lub dwie przed śmiercią z ręki mordercy. O ile dobrze pamiętam, słowa dotyczące pana były ostatnimi słowami, jakie wypowiedział w życiu. Gdy zobaczył pana wchodzącego do kabiny, przestraszył się tak bardzo, że zaczął prosić mnie, abym zwrócił na pana szczególną uwagę. Wiedział, że jestem ekspertem Scotland Yardu, i liczył na to, że ochronię go przed panem. Bał się, że może mu pan wyrządzić jakąś krzywdę. A jeśli mam być zupełnie szczery, bał się, że może pan zaatakować go nawet na pokładzie tego samolotu.

Roberts nie poruszył się. Ku zdziwieniu Alexa przez rysy jego przemknął grymas bardzo podobny do lekkiego uśmiechu, ale rozplynął się tak szybko, że trudno było sądzić, czy słowa Joe'ego rozbawiły go rzeczywiście.

Natomiast komentarz do słów Alexa nadszedł z zupełnie innej strony.

Fighter Jack gwizdnał cicho przez zęby, a później z dobrodusznym zdumieniem za-

pytał:

— I na co ci to było, przyjacielu? Trzeba mieć pecha, żeby zadźgać faceta właśnie wtedy, kiedy na sąsiednim fotelu śpi ekspert ze Scotland Yardu.

Roberts spojrział na niego i nie odpowiedział, ale tym razem uśmiechnął się wyraźnie, choć nie był to wesoły uśmiech.

— Fighter Jacku — powiedział Alex, starając się mówić równie pogodnie. — Jestem przekonany, że jako bokser wywiązuje się pan ze swoich obowiązków doskonale i zdobędzie pan wielką i zasłużoną sławę. Ale pozwoli pan jednak, że to śledztwo, jeśli można tak nazwać naszą rozmowę, będę prowadził ja, i to bez przeszkód ze strony innych pasażerów.

Bokser spojrział na niego i wzruszył szerokimi barkami.

— A któż chce panu przeszkadzać? Niechże je pan sobie prowadzi. I niech się to już skończy. Nawet śniadania nie dostaliśmy jeszcze, chociaż ta panienska obiecała mi je jeszcze wczoraj dokładnie takie, jakie przepisał mi lekarz.

— Za chwilę wylądujemy w Nairobi, prawda, kapitanie? I tam wszyscy będziemy mieli dość czasu, żeby coś zjeść.

Grant zerknął na zegarek.

— Burza zmusiła nas do zboczenia z kursu, ale za mniej więcej dwadzieścia do trzydziestu minut powinniśmy być na miejscu.

— Doskonale — powiedział Joe. — Wróćmy więc do naszej sprawy. Dlaczego Knox obawiał się pana, panie Roberts? Jeśli liczył się z tym, że może pan napaść go w samolocie, musiał chyba znać jakiś ważny powód, który mógł skłonić pana do tego?

Roberts zaciągnął się głęboko i zgasił papierosa w popielniczce przytwierdzonej do poręczy fotela. Robił to przez dłuższą chwilę, niezwykle dokładnie, najwyraźniej zwlekając z odpowiedzią. Kiedy wyprostował się, był nadal bardzo spokojny. Mimo to jego pierwsze słowa wprawiły słuchających w osłupienie.

— Sadzę, że Knox wiedział, co mówi do pana, twierdząc, że boi się mnie. Na jego miejscu lękałbym się nawet o życie przy spotkaniu ze mną. Pojmował aż za dobrze, że mogę go zamordować gołymi rękami, jeśli zobaczę go niespodziewanie i nie opanuję się na czas...

Zamilkł i zastanawiał się przez chwilę. Alex czekał, nie przerywając mu nawet gestem. Był bardzo skupiony. Z wolna wszystko zaczęło układać się w logiczną całość. Należało tylko jeszcze wyjaśnić parę drobiazgów, dotąd niezrozumiałych.

— Ojciec przysłał mnie przed dwoma laty do Unii Południowej Afryki na praktykę — rozpoczął Roberts. — Jestem, jak powiedziałem, Anglikiem i urodziłem się w Londynie, gdzie mieszkam. Ojciec mój, a przed nim mój dziadek, pracowali przy obróbce drogich kamieni. Dlatego właśnie ojciec życzył sobie, żebym spędził rok w sortowni diamentów którejs z południowoafrykańskich kopalni. „Flora” była kopalnią, z którą

utrzymywał najbliższe stosunki od wielu lat. Jeszcze w czasach, kiedy mój dziadek założył szlifiernię była ona jego głównym dostawcą. Dlatego zacząłem pracę właśnie tam, gdy uzyskałem ich zgodę, oczywiście. Po przyjeździe wszystko szło przez kilka miesięcy zwykłym trybem. Ale po upływie tego czasu pewnego dnia straż ochronna kopalni zatrzymała mnie w bramie, gdy wychodziłem po pracy. Zarządzono rewizję i znaleziono kilka dość cennych kamieni w kieszeni mojego płaszcza, który niosłem przerzucony przez ramię, bo dzień był bardzo ciepły, chociaż rano padał deszcz. Na rozprawie nie przyznałem się do winy i zaprzeczyłem, jakobym włożył tam te kamienie. Mimo to skazano mnie. Otrzymałem stosunkowo niski wyrok: trzy lata więzienia. Myślę, że za wdzięczam to memu ojcu, który od lat pozostawał w zażyłych stosunkach z kopalnią. To wszystko, jeśli chodzi o mój pobyt w więzieniu. Bo przecież o to mnie pan pytał.

— Tak... — Joe wyciągnął odruchowo z kieszeni plik książeczek biletowych i zaczął uderzać nimi lekko o grzbiet dłoni. — Wiem już, za co pana skazano. Ale nadal nie wiem, jaki to ma związek z panem Knoxem, jego lękiem na pana widok i pańskim oświadczeniem, że mógłby go pan zamordować gołymi rękami. A to przecież jest, przynajmniej dla nas, najważniejsze.

— Ma to o tyle związek z panem Knoxem... — odparł Roberts bez żadnych oznak wzruszenia — że on najlepiej wiedział o mojej niewinności. A wiedział o tym dlatego, że to nie ja ukradłem te diamenty, lecz on.

Po tym zdumiewającym oświadczeniu zapadła zupełna cisza. Alex spoglądał na daleki świat w dole za oknem. Musieli jednak bardzo zmienić kurs w czasie burzy, gdyż samolot leciał teraz ku wschodowi. W dole widać było ogromne, lśniące w słońcu jezioro o powyginanej linii brzegów. Na prawo przed samolotem wznosił się na krańcu widnokręgu olbrzymi, samotny szczyt górski.

— Kilimandżaro... — powiedział półgłosem Grant. — Jesteśmy nieco dalej od Nairobi, niż myślałem. Ale będziemy tam za pół godziny.

Joe spojrzął na zegarek, a później uniósł głowę.

— Zdaję sobie sprawę z tego, że gdyby pan mógł udowodnić to oskarżenie, przedstawiłby je pan sądowi, aby zdjąć z siebie karę za niezawinione grzechy. Czy można więc wierzyć, że teraz podejmie się pan udowodnienia nam winy pana Knoxa, zważywszy w dodatku, że oskarża pan umarłego człowieka, który nie może powiedzieć słowa na swoją obronę?

— Ma pan słuszność — Roberts lekko wzruszył ramionami. — Gdybym był w stanie udowodnić, kto wsunął mi te kamienie do kieszeni płaszcza, nie siedziałbym przecież w więzieniu. To chyba logiczne, prawda? Ale nie prosił mnie pan o dowody, a jedynie pytał pan, dlaczego Knox mógł się mnie obawiać. Odpowiedziałem panu zgodnie z prawdą. To wszystko.

— Niezupełnie... — Alex rozłożył ręce przepraszającym ruchem. — Pana opowieść

nie posuwa, na razie, ani o włos naszego dochodzenia. Myślę, że istotne byłoby, gdyby zechciał nam pan powiedzieć, skąd pan wie, że to właśnie Knox podrzucił panu te diamenty i dlaczego miałby tak zrobić?

— Nie jest to dla mnie żadną tajemnicą. Knox był zagranicznym przedstawicielem kopalni i jak inni nasi przedstawiciele miał dostęp do sortowni, aby móc orientować się na bieżąco w produkcji i wiedzieć z grubsza, jak wygląda towar, który będzie proponować nabywcom. W każdej kopalni przedstawiciele należą do najbardziej zaufanych ludzi. W kilka miesięcy po moim przystąpieniu do pracy dokonano na terenie „Flory”, a ściślej biorąc sortowni, dwóch kradzieży. Sortownia jest tak dobrze strzeżona przez straż i systemy alarmowe, że nie mogło być mowy o wtargnięciu złodziei z zewnątrz i niepostrzeżonym ich wymknięciu się. Złodziejem więc mógł być albo jeden z sortowników, albo któryś z przedstawicieli, bądź też dyrektorów kopalni. To ostatnie należało od razu odrzucić jako zupełnie nieprawdopodobne. Rozpoczęto drobiazgowo dochodzenie, bardzo niemiłe dla wszystkich zainteresowanych, ale sprawa utknęła w martwym punkcie ze względu na absolutny brak śladów, które prowadziłyby w jakimkolwiek kierunku. I na tym prawdopodobnie skończyłoby się, gdyby nie to, że jako młody i bardzo głupi człowiek zapragnąłem na własną rękę wykryć sprawcę. Ponieważ wiedziałem, że to nie ja jestem złodziejem, a pozostali dwaj sortownicy nie byli kolejno obecni podczas obu kradzieży, więc żaden z nich nie mógł być winien w obu wypadkach. A że trudno było przypuścić, aby w sortowni działało dwóch nie wiedzących o sobie nawzajem złodziei, więc zwróciłem uwagę na zagranicznych przedstawicieli kopalni. Drogą eliminacji doszedłem do wniosku, że tylko Knox był na terenie kopalni podczas obu dni, gdy popełniono kradzieże. W czasie obu tych wizyt zaglądał do sortowni. Wydarzenia te były odległe od siebie o ponad miesiąc, więc odtworzenie wszystkiego zajęło mi trochę czasu. Na moje nieszczęście nie zawiadomiłem dyrekcji o tych wnioskach, bo... — znowu urwał i uśmiechnął się z ironią, której ostrze kierował przeciw sobie samemu — ...chciałem pokazać wszystkim, jakim jestem inteligentnym, spostrzegawczym i godnym zaufania młodym człowiekiem. Miałem wielkie aspiracje, przyjechałem tu, żeby się doksztąpić klasyfikując setki i tysiące diamentów. Wiele się nauczyłem zresztą. To bardzo ważne wiedzieć, co pozostanie po oszlifowaniu z wielkiego surowego diamentu. Oczywiście nigdy nie ma pewności, ale dobry fachowiec może wiele przewidzieć. Przepraszam, nie o tym miałem mówić, ale chcę wyjaśnić przyczyny, dla których wszystko odbyło się tak, jak się odbyło. Gdy doszedłem do wniosku, że najprawdopodobniej udało mi się wykryć złodzieja, choć nie złapałem go za rękę i nie mam żadnych bezpośrednich dowodów przeciw niemu, ucieszyłem się. Pomyślałem o ojcu i o tym, jak będzie ze mnie dumny. Mieliśmy nieposzlakowane nazwisko, nasz zakład obróbki drogich kamieni równy jest, gdy chodzi o jakość wykonania, najlepszym domom szlifierskim Amsterdamu. I zawsze uchodziliśmy za uczi-

wych kontrahentów. Zależało mi na tym, aby kierownictwo kopalni „Flora”, tak blisko z nami związanej, pamiętało mnie jako bystrego młodzieńca, na którym można polegać. To powinno być przynieść owoce w przyszłości... Mój Boże! — machnął ręką. — I właśnie kiedy siedząc samotnie w sortowni rozważałem to wszystko, drzwi otworzyły się i wszedł pan Richard Knox, który tego dnia powrócił z jednej ze swych zagranicznych podróży. Powiesił swój płaszcz obok mojego na wieszaku, a później obszedł wraz ze mną stoły sortownicze, oglądając kamienie. Braliśmy je do ręki, pokazywałem mu sam niektóre, godne uwagi. Udawałem, oczywiście, że nie interesuję się jego poczynaniami, ale nie spuszczałem oka z jego rąk. Najbardziej zdumiewające jest to, że nawet dziś gotów byłbym przysiąc, że nie udało mu się ukryć żadnego, najmniejszego nawet kamienia. Wreszcie odszedł w stronę wieszaka, a kiedy wkładał płaszcz, ja jeszcze przez chwilę zajęty byłem układaniem na stołach poruszonych przez nas i już przesortowanych kamieni. Był to jedyny moment, kiedy mógł mi włożyć — i z całą pewnością włożył — do kieszeni te diamenty, które później tam znaleziono... To ten sam płaszcz, który tu wisi w tej chwili. Wyszliśmy razem. Zamknąłem drzwi, uruchomiłem system alarmowy i trzymając klucz w ręce, a płaszcz przerzucony przez ramię, ruszyłem wraz z Knoxem korytarzem do pokoju strażników, gdzie oddałem klucz do kasy pancерnej, z której braliśmy go każdego ranka. Chciałem pojechać na późny lunch do śródmieścia, ale Knox zaprosił mnie do małej restauracyjki tuż za bramą kopalni. Zgodziłem się oczywiście. Zależało mi na zawarciu z nim bliższej znajomości. Był jowialny, uśmiechał się i żartował przez cały czas, gdy szliśmy ku bramie przez podjazd dla aut. Zawsze lubił wiele mówić. Gdy doszliśmy do bramy, strażnicy poprosili mnie do pokoiku wewnątrz wartowni. Wyrzykowe rewizje były w kopalni dość częste i nikt nie traktował ich jako objawu braku zaufania. W końcu „Flora” była dość niecodzienną kopalnią i rządziła się od dnia powstania własnymi prawami. Dlatego nie powziąłem — w pierwszej chwili najmniejszych podejrzeń. Jeden ze strażników wziął mój płaszcz do ręki, wsunął dłoń do kieszeni i wyjął z niej garść nie oszlifowanych diamentów!... Później, już w czasie procesu, dowiedziałem się, że Knox podejrzewał mnie od pierwszej chwili i dał o tym znać dyrekcji, a poza tym śledził mnie na własną rękę... I to właśnie było okropne... On przedstawił całą sprawę dokładnie tak, jak ja mogłem, chciałem przedstawić, zamieniwszy nasze role! Z tą różnicą, że diamenty znaleziono przy mnie, a nie przy nim! W mojej obecności zeznał, patrząc w oczy zasłuchanych sędziów, że wziął sobie za punkt honoru odkryć sprawcę obu kradzieży, które pośrednio obciążały honor jego i wszystkich uczciwych pracowników kopalni, póki sprawca znajdował się na wolności. Do owej chwili niczego jeszcze nie rozumiałem. Wydawało mi się, że śnię, a Knox jest także ofiarą jakiejś okropnej pomyłki, która pogrążając mnie, zmusza go do mylnych wniosków. Ale gdy powiedział w końcu, że zauważył, jak chowałem ukradkiem te diamenty, a później umówionym znakiem zaalarmował strażników, pojąłem wszyst-

ko. Knox był swego rodzaju geniuszem: kradł i równocześnie stworzył złodzieja, który miał odpokutować za jego winy i zapewnić mu zupełną bezkarność. Wybór jego padł na mnie, który byłem młodym, głupim cudzoziemcem, a więc idealną ofiarą. Na procesie nie powiedziałem ani słowa o tym, co myślę naprawdę. Nikt by mi zresztą nie uwierzył, a obrona moja wyglądałaby na naiwną i obrzydliwą próbę przerzucenia występku na barki uczciwego pracownika kopalni, który wytropił moje łotrostwo... — roześmiał się cicho. — Jak mogliby mi uwierzyć? Pogorszyłoby to jeszcze moją sytuację w oczach sędziów. Przecież nie zawiadomiłem nikogo wcześniej o moich podejrzeniach, a to właśnie było moim pierwszym obowiązkiem. Po aresztowaniu było więc za późno na jakiegokolwiek przeciwdziałanie. Na szczęście uwierzył mi mój ojciec, gdy przyjechał tu i uzyskał widzenie ze mną. Opowiedziałem mu o wszystkim. Obiecał, że postawi ziemię i niebo na głowie, a oczyści moje imię. Ale jak się wydaje, jowialny pan Knox był znacznie sprytniejszy niż my obaj... do czasu, oczywiście, bo albo odnalazła go któraś z jego ofiar, albo natrafił na kogoś o wiele gorszego niż on sam.

Fighter Jack znowu zabrał głos, a w tonie jego wypowiedzi zabrzmiał autentyczny szacunek i zrozumienie:

— Nic dziwnego, żeś go dzisiaj załatwił, przyjacielu, i mniejsza o to, jak to tłumaczysz! Może to i przestępstwo, ale gdyby mnie ktoś tak urządził, zrobiłbym chyba to samo. Kark bym mu skręcił!

I uniósłszy ogromne dłonie zacisnął je w powietrzu, a później potrząsnął niewidzialnym wrogiem i odrzucił go ze wstrętem od siebie.

— Dziękuję! — powiedział Roberts uprzejmie i uśmiechnął się ze znużeniem. — Zdaje się, że mam jeszcze większego pecha, niż sądziłem początkowo — dodał zwracając się do Alexa. — Bo czy mogłem nawet w najkoszmarniejszym śnie przypuszczać, że moje pierwsze spotkanie z nim będzie tak wyglądało? Knox nie żyje, zamordowano go w ciemności, a jednym z kilku ludzi, którzy mogli tę zbrodnię popełnić, jestem właśnie ja, chociaż nie miałem oczywiście pojęcia, wchodząc na pokład tego samolotu, że go spotkam. Jak zresztą mógłbym o tym wiedzieć? I oto mogę zostać skazany za następne nie popełnione przestępstwo, choć wtedy kto inny ukradł, a teraz kto inny zabił, nie ja! Ale obawiam się, że przyszedłem na świat po to jedynie, żeby odpowiadać za cudze zbrodnie!

Alex skinął głową.

— To prawda. Czegokolwiek by pan nie powiedział, sytuacja, w tej chwili przynajmniej, jest tego rodzaju, że Richard Knox nie żyje i zginął zamordowany skrytobójczo, a jak dotąd, pan jest jedyną osobą pośród tu obecnych, która miała wyraźny motyw zabójstwa. Motywem tym jest zemsta.

Roberts otworzył usta, ale Joe powstrzymał go ruchem uniesionej dłoni. Otworzył następną książeczkę.

— Pan Samuel Hollow. Zamówił pan bilet przed miesiącem w Johannesburgu i leci pan do Londynu. Mieszka pan w Capetown, czy tak?

— Tak, to ja. I wszystko inne też się zgadza. Nie rozumiem tylko, czego pan jeszcze szuka. Czy jeden zabójca to dla pana za mało? Wygląda na to, że w pańskim przekonaniu ten facet padł ofiarą lynchu i zabiło go co najmniej pół tuzina osób równocześnie! Zaraz wylądujemy i wszystko zacznie się od nowa. Przecież policja w Nairobi nie poprzestanie na pańskiej relacji, ale sama będzie chciała wszystkich przepyttać. Więc po co mamy tę całą hecę przeżywać dwa razy? Jeśli o mnie chodzi, nie widzę powodu do uprawiania takiej zabawy.

Alex przyglądał mu się uważnie, a później szybko przesunął oczyma po twarzach wszystkich obecnych.

— Pozwalam sobie na tego rodzaju zabawę, jak pan ją nazywa, gdyż mam przeświadczenie, że w chwili gdy samolot wyląduje, morderca będzie już znany, co uprości wiele spraw, między innymi dla pana i pańskiego podopiecznego. Sam pan przecież powiedział, że martwi pana bardzo możliwość przedłużenia postoju w Nairobi.

— Więc dobrze! — Hollow rozłożył ręce, jak gdyby biorąc wszystkich obecnych na świadków, że dyskusja ta przekracza jego siły. — Jeżeli nie wie pan jeszcze o tym, to jestem trenerem tego chłopca i wychowałem go na mistrza świata albo prawie na mistrza, bo musi jeszcze stoczyć walkę z drugim pretendencem, zanim stanie do walki o tytuł. Mistrzem jest ciągle jeszcze Murzyn Billy Tights, a drugim pretendencem jest także Murzyn, Johnny Siles. Chociaż chcieliśmy, żeby walka odbyła się u nas w Johannesburgu, bo mogła ona ściągnąć ponad sto tysięcy ludzi wkoło ringu pod gołym niebem, ale nie udało się tego dokonać i musimy lecieć do Europy. Te przekłete przepisy, które nie pozwalają u nas białym walczyć z kolorowymi, kosztują Jacka grube pieniądze. Ale władze nawet słyszeć o tym nie chciały. I to jest nasze jedyne zmartwienie obok faktu, że droga zaczyna się komplikować przez to idiotyczne zabójstwo! Czy to panu nie wystarcza?

— Niemal tak. Jeszcze jedno tylko pytanie: czy nie znał pan Richarda Knoxa albo czy nie spotykał się pan z nim kiedykolwiek przy załatwianiu spraw finansowych lub innych?

— Nie widziałem go nigdy w życiu aż do wczorajszego wieczora.

— Dziękuję panu. — Alex skinął głową i otworzył następną książeczkę.

— Pan Jack Brake? — Uniósł brwi. — Kto z państwa nosi to nazwisko?

— To właśnie on — powiedział szybko mały człowieczek, uprzedzając olbrzyma, który otworzył usta. — To jego prawdziwe nazwisko, a Fighter Jack to oczywiście pseudonim, który dla niego wymyśliłem, kiedy rozpoczynał występy na ringu. Brzmi chyba o wiele lepiej, prawda?

— O wiele lepiej... A więc pan Brake także zamówił bilet tego samego dnia, co pan

Hollow. Mieszka pan w Capetown, tak? I nie widział pan nigdy przedtem Richarda Knoxa?

Młody olbrzym wzruszył ramionami.

— Pochodzę z małej farmy w okolicach Transwalu i przyjechałem do Capetown, żeby się bić, bo zawsze chciałem być bokserem. A żadne kamyki mnie nie interesują... Ten Knox mógł mnie znać, jeżeli ciekawił go sport, ale ja go nie znałem. Południowa Afryka to nie jakiś europejski kraik, w którym wszyscy się znają. To duży kraj.

— A więc twierdzi pan, że nie spotkał pan go nigdy przed wejściem na pokład tego samolotu?

— Mówię przecież, że nie.

— Dziękuję... — Joe wsunął jego książeczkę biletową do bocznej kieszeni marynarki i wziął następną. Kiedy otworzył ją, na twarzy jego pojawił się nagle wyraz zdumienia.

— Pani Agnes... Knox! — powiedział głośno. — Która to z pań?

— Ja! — padła krótka odpowiedź. Wyprostowana dama, po raz pierwszy, odkąd ją ujrział, uniosła rękę i mimowolnym ruchem poprawiła krótko przycięte, siwiejące już nieco włosy.

— Czy ta zbieżność nazwisk to przypadek, proszę pani, czy też jest pani krewną zmarłego?

Joe zbliżył się nieco, idąc pomiędzy fotelami ku przodowi kabiny. Uniosła na niego oczy i poczuł nagle, niczym nie usprawiedliwione onieśmielenie. Było w jej wzroku coś, czego nie umiał określić, ale odczuł bardzo ostro: przejmujący chłód i obcość tak wielka, jak gdyby spoglądała na otaczający świat przez bryłę przezroczystego lodu, którego nic nie mogłoby stopić.

— Zapytał mnie pan, czy jestem krewną tego umarłego człowieka... — odpowiedziała, odmierzając równo wyrazy, jak gdyby wysypywała je z klepsydry. — Nie jestem jego krewną, gdyż w naszych żyłach nie płynęła ani kropla krwi pochodząca od wspólnych przodków.

— A czy nie spotkała go pani nigdy?

— Tak. Spotkałam go. Przed dwudziestu pięciu laty byłam jego żoną.

Milczenie, które zapadło po jej słowach, było jeszcze pełniejsze niż cisza, która nastąpiła po oświadczeniu Roberta. Ponownie przerwał je Fighter Jack:

— Słyszałeś, Samuelu? A to heca, zupełnie jak na filmie!

Agnes Knox uniosła się nieznacznie i wyprostowała, zwracając ku niemu spojrzenie swych nieruchomych, zimnych źrenic. Przyglądała mu się przez króciuteńką chwilę i powiedziała spokojnie, nie podnosząc głosu:

— Pan będzie łaskaw zachowywać dla siebie tego rodzaju uwagi dotyczące innych, nie znanych panu osób. Jest pan na pewno źle wychowany. Ale nie to jest najważniejsze, gdyż pana wychowanie nie interesuje mnie. Znacznie ważniejsze jest pana wielce

niestosowne zachowanie w obecności umarłego człowieka, które świadczy nie tylko o pana nieokrzesaniu, ale również o braku serca.

Skończyła i usta jej „zatrzasnęły się”, jak pomyślał Joe, choć sam nie wiedział, dlaczego mu to określenie przyszło do głowy. Czekwała, nie spuszczać oczu z młodego boksera. Fighter Jack otworzył usta, zamknął je, przełknął ślinę, a kiedy Alex pomyślał, że młody olbrzym rzuci jej jakieś nieparlamentarne wyzwisko, mruknął niemal niedo-słyszalnie:

— Przepraszam panią... — i odwrócił głowę ku oknu.

Dopiero wtedy wzrok kobiety ześlizgnął się z jego twarzy. Patrzyła teraz na Alexa.

— Słucham pana?

Joe z trudem ukrył rozbawienie. Widok tego kolosa, tak zupełnie bezradnego i osadzonego w miejscu, jak gdyby był kilkuletnim chłopcem, pozwolił mu na parę sekund zapomnieć, gdzie jest i do czego zmierza. Ale szybko powrócił do rzeczywistości:

— Z biletu pani wynika, że zamieszkuje pani w Birmingham, w Anglii. Przed miesiącem zamówiła pani bilet powrotny z określonym ściśle dniem powrotu. Miejsce dla pani w samolocie, na którego pokładzie znajdujemy się, zarezerwowano zgodnie z pani życzeniem natychmiast w dniu wykupienia biletu. Czy wszystkie te szczegóły są prawdziwe?

— Tak, proszę pana.

— Więc wiedziała pani dokładnie, że powróci pani z Południowej Afryki pewnego określonego dnia, mianowicie dzisiaj?

— Oczywiście. Przecież stwierdził pan to sam przed chwilą.

— Oznacza to, że miała pani dokładnie określony plan pobytu w Unii Południowej Afryki. Czy może nam pani opowiedzieć o tym.

— Zostałam zaproszona jako gość honorowy na Światowy Kongres Unii Teozofów Wyzwolonych. Znałam datę rozpoczęcia i zakończenia kongresu i zgodnie z tym zaplanowałam dzień przybycia i odlotu z Johannesburga.

— Tak... Oczywiście... — Joe przez chwilę przyglądał się otwartej książeczce biletowej, jak gdyby szukając w niej odpowiedniego sformułowania pytań, które chciał jeszcze zadać:

— Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jaka jest różnica pomiędzy teozofami wyzwolonymi, a ludźmi interesującymi się teozofią i nazywającymi się potocznie teozofami?

Oczy jej nagle zabłysły i weszło w nie życie.

— Teozofia wyzwolona, w przeciwieństwie do dawnego ruchu teozoficznego, którym kierowała jego czołowa teoretyczka, pani Blawatsky, a później Anna Besant, jest prądem mniej spokrewnionym z naukami okultystycznymi Wschodu, bardziej natomiast doceniającym rzeczywisty kontakt ze światem, zwanym przez laików „nadprzyrodzonym”, i z rozumnymi emanacjami duchowymi zamieszkującymi ów świat.

— Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, a nawet trudno mi rościć pretensje do choćby powierzchownego rozumienia tak skomplikowanych spraw, więc proszę mi wybaczyć nieco naiwne, być może, pytanie: czy można byłoby panią określić jako zwolenniczkę poglądu uznającego aktywne życie pozagrobowe zmarłych i możliwość uzyskania z nimi kontaktu przez żywych?

— Pytanie pana nie wyczerpuje nawet w drobnej części bogactwa teozofii wyzwolonej, która jest, jak pan to określił, „poglądem” przeze mnie wyznawanym. Tym niemniej, na tak sformułowane pytanie muszę odpowiedzieć twierdząco.

— W takim razie, idąc dalej, czy można byłoby powiedzieć, że Unia Teozofów Wyzwolonych zajmuje się między innymi także i wywoływaniem duchów osób zmarłych?

— Skłamałabym, odpowiadając, że świat pozamaterialny nie jest przedmiotem naszego zainteresowania. Lecz sformułowanie użyte przez pana jest wulgarnie i nie do przyjęcia z naukowego punktu widzenia. Duchów nie można wywoływać. Można z nimi jedynie nawiązać kontakt, jeśli, oczywiście, uzyska się ich zgodę na to, albowiem dysponują one wolną wolą, jak pan i ja. Najchętniej poinformowałabym szczegółowo, zarówno pana, jak i pozostałe, znajdujące się tu osoby, o tym jak wygląda ukryta dotąd przed wami prawda. Ale wydaje mi się, że nie jest to dla osób zupełnie nie przygotowanych najstosowniejszy czas do zgłębiania spraw tak trudnych, a poza tym sądzę, że teozofia wyzwolona nie interesuje pana w ogóle, a rzecz ta zajmuje pana jedynie w związku z moją osobą, noszonym przeze mnie nazwiskiem i morderstwem, które zostało tu popełnione dzisiejszej nocy.

Umilkła.

— Użyła pani określenia „przed dwudziestu pięciu laty byłam jego żoną”. Czy to oznacza, że rozwiodła się pani z Richardem Knoxem przed dwudziestu pięciu laty, pozostawiając sobie jego nazwisko?

— Zostałam wychowana w rodzinie i środowisku, które uznawały rozwód za sprzeczny z prawami boskimi i ludzkimi. Oczywiście, moja zdecydowana dezaprobata dla rozwodu jako środka trwałej rozłąki pomiędzy ludźmi, którzy kiedyś byli małżonkami, nie przeszkodziła mi opuścić domu pana Knoxa, w chwili gdy dowiedziałam się, że podczas swych licznych wyjazdów służbowych oddaje się on regularnie rozpuście w towarzystwie osób płci żeńskiej, które bardzo niechętnie chciałabym obdarzyć dumnym mianem kobiety.

— Tak... Można to zrozumieć doskonale, proszę pani... Czy pochodzi pani z Południowej Afryki? — Joe miał minę tak poważną i wyraz twarzy tak skupiony, jakiego nie miewał niemal nigdy. Zadając pytanie pomyślał przelotnie o tym, co zapewne usłyszałby, gdyby usiłował zażartować. Fighter Jack stał mu się nagle znacznie bliższy.

— Nie, nie pochodzę z Południowej Afryki! — Po raz pierwszy głos jej stracił meta-

liczne, chłodne brzmienie i zabrzmiała w nim cieplejsza nutka. — Nie wyobrażam sobie nawet, że mogłabym stamtąd pochodzić! Pan Knox poznał mnie w moim rodzinnym Birmingham jako bardzo młodą dziewczynę, dziecko nieomal. On także był w owych latach bardzo młodym człowiekiem. Na swoje nieszczęście, a na szczęście dla niego, zostałam wówczas sierotą... posażną sierotą. Knox już wtedy zdradzał wielkie talenty jako komiwojażer. Między innymi potrafił tak zręcznie przedstawić niezwykle zalety swojej osoby i charakteru nie znającej dobrze życia zamożnej sierocie, że wywarł na mnie wielkie wrażenie. Wydał mi się człowiekiem uczciwym, zrównoważonym i głęboko zainteresowanym problemami niedostrzegalnego, choć otaczającego nas świata, którym już wówczas zaczęłam się szczerze interesować. W konsekwencji uległam jego gorącym namowom. Wzięliśmy ślub i opuściłam Birmingham, udając się wraz z nim do jego ojczyzny. Na szczęście, pomimo jego perswazji i dowodzenia, że niepotrzebnie zachowuję część majątku w odległej Anglii, udało mi się nie sprzedać dwóch pozostałych po rodzicach nieruchomości, w stosunku do których nie zostało jeszcze ukończone postępowanie spadkowe. Dzięki temu prostemu przypadkowi mogę nadal żyć w umiarkowanym dobrobycie. Reszta mego posagu rozpląnęła się w rękach tego zręcznego oszusta, któremu oby Bóg wybaczył ten i wiele innych jego czynów... a także i ów ostatni, o którym opowiedział obecny tu młody człowiek nazwiskiem Roberts. Gdyż jestem przekonana, że w opowiadaniu pana Roberta nie ma ani słowa przesady.

— Jestem pani niezwykle zobowiązany za szczerłość... — Joe zastanawiał się przez chwilę. — Pozwoli więc pani, że i ja będę zupełnie szczerzy. Otóż zwróciłem na panią uwagę już wczoraj. Siedziałem w poczekalni dworca lotniczego w Johannesburgu naprzeciw stolika, przy którym usiadł pani mąż, i rozmawiałem z nim o błahostkach, jak to zwykle robią nie znający się ludzie zmuszeni do wspólnego przebywania przez krótki przeciąg czasu. W pewnej chwili pan Knox zauważył panią. Najwyraźniej widok pani zaskoczył go bardzo, choć starał się nie dać tego poznać po sobie. Oczywiście byłem dla niego jedynie nieznanym współpasażerem, więc nie było najmniejszego powodu do zwierzeń z jego strony. Ale zaskoczenie to musiało chyba oznaczać, że nie wiedział o pobycie pani w Południowej Afryce? Nie spotkaliście się tam państwo, prawda?

— Nie przypuszcza pan chyba, że pragnęłam odszukać go po przyjeździe na kongres? Nie byłam w Południowej Afryce niemal ćwierć wieku. Od wielu lat straciłam kontakt z Knoxem i zanim zobaczyłam go niespodziewanie na lotnisku, nie wiedziałam nawet, czy żyje, czy też umarł. Szczerze mówiąc, fakt, czy żyje, czy też nie, był mi najzupełniej obojętny. Mimo to, zobaczywszy go, doznałam wstrząsu, choć nie dałam poznać po sobie, że go dostrzegłam. Powiedziałam sobie natychmiast, że jeśli spróbuje podejść do mnie lub odezwać się, nie odpowiem i nie zareaguję, jak gdyby był powietrzem, a nie żywym człowiekiem.

— Zobaczyła go pani wczoraj po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat, czy tak?

— Tak. Od dwudziestu czterech, jeśli mamy być ściśli.

— Ciekawe, czy poznała go pani na pierwszy rzut oka?

— Tak... — po raz pierwszy zawahała się lekko. — Zastanawiałam się nawet nad tym dzisiaj... przed chwilą. Zmienił się bardzo, ale pod pewnym względem pozostał taki sam. Głos był ten sam i sposób bycia. Ale utył bardzo. Oczy też pozostały niezmienione...

— I, oczywiście, nie zabiła go pani? — zapytał Joe niemal swobodnie, bez żadnego nacisku na słowo „zabiła”.

— A po cóż miałabym go zabijać? Dla mnie umarł już przed dwudziestu pięciu laty. Od tamtego dnia nie istnieje w moim życiu do tego stopnia, że nie będę nawet próbowała skontaktować się z jego duchem, gorzko pokutującym w krainie sprawiedliwości, i nie zamienię z nim ani jednego słowa. Nie zasługiwał na to za życia i bardzo wątpię, czy śmierć mogła go radykalnie przemienić. Zbyt wiele było w nim nikczemności i ciężkich, zbrukanych pierwiastków przyziemnych.

— Jestem przekonany, że postąpi pani co najmniej konsekwentnie, nie próbując już nigdy nawiązać kontaktu ze swoim byłym mężem... — Joe wsunął bilet pani Knox do kieszeni, zerknął do następnego, odczytał swoje nazwisko, więc ujął ostatnią książeczkę.

Spojrzał na młodą dziewczynę, która skinęła głową, rozumiejąc, że do niej zwrócone będzie następne pytanie.

— Pani Elizabeth Crowe, prawda?

— Tak... — odpowiedziała cicho. Najwyraźniej ona właśnie najgorzej zniosła gwałtowne kołysanie samolotu podczas burzy.

— Mieszka pani w Johannesburgu i zakupiła pani bilet pierwszego czerwca, to znaczy tego samego dnia, kiedy zakupił go zmarły pan Knox... — Wyjął z kieszeni plik książeczek, odszukał w nich bilet Knoxa i porównał je szybko z sobą. — Na datowniku biletowym są zaznaczone nie tylko dni, ale i godziny sprzedaży. Pan Knox kupił bilet i dokonał rezerwacji miejsca w dniu pierwszego czerwca o godzinie dziesiątej rano... to znaczy najprawdopodobniej pomiędzy godziną dziesiątą a jedenastą, gdyż datownik zapewne przesuwają się automatycznie po upływie każdej pełnej godziny. Ze stempla na pani bilecie wynika, że dokonała pani zakupu o godzinie trzeciej po południu, to znaczy w kilka godzin później. Jest pani jedyną z tu obecnych osób, która dokonała rezerwacji po nabyciu biletu przez pana Knoxa. Czy może pani powiedzieć, jaki jest cel pani podróży do Anglii?

Dziewczyna milczała przez chwilę. Kiedy odpowiedziała wreszcie, Joe pomyślał, że, być może, Fighter Jack ma słuszość i cała ta upiorna podróż z trupem leżącym na jednym z foteli najbardziej przypomina film sensacyjny, o scenariuszu zupełnie odbiegającym od wszelkiej możliwej rzeczywistości. Bowiem dziewczyna powiedziała:

— Wybrałam się do Anglii jedynie dlatego, że wybrał się tam pan Knox. Kiedy ustaliłam, że wyjeżdża, natychmiast wykupiłam bilet na ten samolot, a datowniki, które trzyma pan w ręku, po prostu potwierdzają ten fakt...

Alex otworzył usta. Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Oczywiście chce mnie pan teraz zapewne zapytać, dlaczego chciałam towarzyszyć panu Knoxowi. Jeżeli milczałam przez chwilę, kiedy zadał mi pan pierwsze pytanie, zrobiłam tak dlatego, gdyż pańskie publiczne dochodzenie na pokładzie samolotu wprowadziło mnie w rozterkę wewnętrzną. Otóż nie powinnam rozgłaszać celu mojej podróży, gdyż jestem z racji mojego zawodu zobowiązana do ścisłej dyskrecji. Wydaje mi się jednak, że z chwilą śmierci pana Knoxa nie tylko że nie mogę już wykonać mojego zadania, ale cała sprawa musi zostać odłożona na zawsze do akt po prostu dlatego, że mogłyby ją wyświecić jedynie działania pana Knoxa. A pan Knox nie podejmie już nigdy żadnych działań.

Zamilkła. Joe czekał w milczeniu.

— Opowiadanie moje ułatwione jest odpowiedziami pana Robertsa na zadane przez pana pytania — podjęła dziewczyna. — Otóż ojciec po widzeniu się z nim w więzieniu doszedł do wniosku, że syn jego mówi prawdę, i postanowił, nie szczędząc żadnych kosztów i największego wysiłku, zdemaskować Knoxa. Ponieważ syn jego został skazany legalnie i nie wniósł apelacji, ojcu trudno było zwracać się do policji angielskiej lub południowoafrykańskiej. Udał się więc do jednej z największych prywatnych agencji detektywistycznych w Wielkiej Brytanii, która rozpoczęła drobiazgową obserwację życia i poczynań pana Knoxa. Było to kilka miesięcy temu. Po pewnym czasie agencja doniosła panu Robertsonowi-seniorowi, że Knox rzeczywiście kilkakrotnie sam sprzedał zaufanym jubilerom diamenty pochodzące z Południowej Afryki, a nawet już oszlifowane brylanty. Poufność tych transakcji, jak również dość podejrzana opinia, jaką cieszyli się nabywcy, zdawała się świadczyć o tym, że Knox przemycił na własną rękę drogie kamienie z Południowej Afryki do Anglii. Wówczas operująca w imieniu pana Robertsa-seniora agencja londyńska zwróciła się do najpoważniejszej agencji detektywistycznej w Johannesburgu, aby wspólnie z nią przeprowadzić rzecz do końca. Od tej chwili każdy krok pana Knoxa był notowany także na terenie jego ojczyzny. Ale czy popełniono jakiś błąd, czy też Knox przewidywał, że może znajdować się pod obserwacją, a może po prostu doszedł do wniosku, że tak będzie najwygodniej działać, sam zainscenizował, bo tak to można nazwać, maleńką aferę przemytniczą w komorze celnej lotniska w Johannesburgu. Było to bardzo inteligentne posunięcie, ponieważ w walizce swej położył, niemal na wierzchu, kilka prawie zupełnie bezwartościowych kamieni, które celnicy natychmiast znaleźli bez najmniejszego trudu. Z jednej strony nie można było wyciągnąć żadnych konsekwencji w stosunku do kogoś, kto znając się doskonale na diamentach chciał przewieźć ich niewielką ilość, i to takich, których zapewne nie mógłby

w ogóle sprzedać, a jeśli by to uczynił, to otrzymałby za nie sumę niewystarczającą nawet na opłacenie kilkudniowego pobytu w przyzwoitym hotelu. Z drugiej strony natomiast fakt ten obudził czujność władz celnych, które od tej chwili, jak Knox przewidział, poddawały go ścisłej rewizji osobistej wraz z prześwietlaniem bagażu. Po trzech jego następnych podróżach pracownicy obu agencji analizujący sprawę doszli do wniosku, że panu Knoxowi chodziło o to, aby jego bagaż i osoba były poddawane jak najdokładniejszej kontroli, gdyż w tak prosty sposób uzyskiwał przy każdej podróży nie dające się niczym obalić alibi! To nie on, ale urzędnicy celni musieliby przysięgać przed sądem, że pan Knox z całą pewnością żadnych drogich kamieni nie wywozi z terytorium Unii Południowej Afryki. Było to posunięcie na swój sposób genialne... — Umilkła na chwilę, a później dodała: — A jednak pan Knox w dalszym ciągu oferował do sprzedaży drogie kamienie nieznanego pochodzenia i uzyskiwał za nie bardzo poważne sumy, które lokował systematycznie w jednym z banków londyńskich. Ponieważ każdemu człowiekowi w Anglii wolno posiadać diamenty, wolno je sprzedawać i, oczywiście, wolno odkładać uzyskane za nie pieniądze do banku, więc nie można było liczyć na współpracę policji brytyjskiej, która nie miała żadnych podstaw do rozpoczynania jakiegokolwiek śledztwa. Zresztą nie była to ich sprawa. Policja południowoafrykańska byłaby bardziej zainteresowana, ale, po pierwsze, nie miała żadnego dowodu na to, że pan Knox wywiózł kiedykolwiek chociażby jeden diament z kraju, a po drugie, nie można było liczyć na to, że osoby lub firmy, które zakupiły od niego te kamienie, zdradzą bez nakazu sądowego choćby najmniejszy szczegół tych transakcji, nie mówiąc już o nazwisku sprzedawcy. Tak więc pan Knox mógł działać zupełnie bezkarnie, a wszelkie nieoficjalne informacje, zdobyte przez pracowników obu agencji detektywistycznych, nadal nie były do niczego przydatne panu Robertowski-seniorowi, który był ich klientem. Oczywiście udowodnienie, że pan Knox jest przestępcą w oczach prawa południowoafrykańskiego, nielojalnym pracownikiem kopalni, która go zatrudniała, dawałoby podstawę do ponownego otwarcia sprawy pana Roberta-juniora. Gdyż zupełnie czym innym jest oskarżenie przedstawione przez uczciwego człowieka, a czym innym zeznania przestępcy, który chce pogrążyć niewinnego człowieka i uczynić go kozłem ofiarnym swych knowań. Ale do tego niezbędna była jedna decydująca informacja, dla zdobycia której obie agencje połączyły swe siły. Chodziło o wytropienie sposobu, w jaki Knox przewozi diamenty do Anglii. Z drobiazgowego dochodzenia i przetrząśnięcia życiorysów kilku jego znajomych można było przypuszczać, że skupuje on od czasu do czasu kamienie bądź ukradzione przez robotników w kopalniach, bądź też znalezione przez amatorów. W Johannesburgu istnieje podziemie diamentowe i można było stwierdzić, że pan Knox odbył kilka niewinnych spotkań w barach i restauracjach z ludźmi podejrzanymi o tego typu machinacje. Oczywiście musiał to robić z największą ostrożnością, gdyż będąc przedstawicielem poważnej kopalni wiedział, że żaden cień nie może paść

na jego reputację... I rzeczywiście, jeśli mam być zupełnie szczerą, ani agencja londyńska, ani południowoafrykańska nie ustaliły nawet hipotetycznie, w jaki sposób diamenty, które pan Knox sprzedaje w Londynie, opuszczają Południową Afrykę.

— A jaka jest pani rola w tym wszystkim? — zapytał Alex, choć przewidywał jej odpowiedź.

— Ponieważ pan Roberts–senior w żadnym wypadku nie chciał dać za wygraną, a stwierdzono, że Knox trudnił się sprzedażą diamentów w Londynie na własną rękę, postanowiono pomnożyć środki dochodzeniowe i spróbować dotrzeć do pana Knoxa wszelkimi dostępnymi sposobami. Jak zauważyła tu już pani Knox, miał on jedną wielką słabość: kobiety. Czysto zawierał przygodne znajomości. Postanowiono więc, że pracownice agencji spróbują dotrzeć do niego w ten sposób. Oczywiście mógł przewidzieć, że ktokolwiek ma go pod obserwacją, użyje tego środka. Dlatego dziewczyna, która miała zawrzeć znajomość z panem Knoxem, nie powinna była być wyzywająca i prowokująca, lecz raczej nieco zagubiona. I w żadnym wypadku nie powinna była próbować zawrzeć z nim znajomości, ale raczej stworzyć sytuację, w której jemu, przy jej wielkich oporach i wahaniach, uda się zawrzeć z nią znajomość.

— I to pani jest tą dziewczyną?

— Tak, Mr. Alex, ja. Dlatego właśnie, choć wiedziałam, że Knox wszedł do poczekalni, nie poszłam tam, gdyż nie chodziło o szybkie zawarcie znajomości. Ponieważ spacerując po dworcu i zaglądając od czasu do czasu przez szybę dostrzegłam, że rozmawia on z innym mężczyzną, a później zauważyłam, że usiadł pan w tym samym rzędzie co on, choć po przeciwnej stronie, przysiadłam się bliżej was, żeby móc słyszeć, o czym mówicie. Miałam nawiązać znajomość z Knoxem podczas postoju w Nairobi, ot, taką zwykłą znajomość ludzi lecących razem jednym samolotem przez długi czas. Miałam nadzieję, że jeśli będę postępowała inteligentnie i z umiarem, pan Knox zechce mnie zaprosić w Londynie na lunch, a ja ulegnę po dłuższym przekonywaniu go o niestosowności jadań posiłków z obcymi panami w miejscach publicznych. Oczywiście, w tej chwili nie ma to już najmniejszego znaczenia, a jeśli wspominam panu o tym, czynię to jedynie dlatego, że popełniono tu morderstwo i nie mogę zatajać prawdy bezpośrednio dotyczącej zamordowanego.

— Tak. Dziękuję pani... koleżanko... — Joe uśmiechnął się. — Jeszcze tylko jedno: czy ma pani przy sobie licencję zawodową?

— Oczywiście! — sięgnęła do torebki, wyjęła z niej mały portfelik z czarnej skóry, a z niego wąską, zieloną kartę, zaopatrzoną w fotografię. Podała kartę Alexowi, który przesunął po niej oczyma. Było to zaświadczenie agencji GLOBE o zatrudnieniu panny Elizabeth Crowe jako samodzielnego pracownika uprawnionego do działania w imieniu i z polecenia agencji. Zaświadczenie było potwierdzone podpisem i pieczętą prezydenta policji miasta Johannesburga.

Joe oddał pannie Crowe legitymację, wsunął ostatnią z książeczek biletowych do kieszeni marynarki i stał nadal z wyrazem tak głębokiego zamyślenia na twarzy, jak gdyby zapomniał, gdzie się znajduje. Nagle odwrócił się i spojrzał na pierwszego pilota zapalającego właśnie papierosa.

— Jedno pytanie do pana, panie kapitanie...

— Słucham? — Grant przysunął zapalniczkę do papierosa, zaciągnął się i zgasił ją.

— Czy pan nie zetknął się nigdy przedtem ze zmarłym panem Knoxem?

— Chyba nie... — pilot z powątpiewaniem potrząsnął głową. — Nie sędzę, żeby widział go kiedykolwiek przedtem. A jeżeli nawet leciał kiedyś ze mną, twarz jego nie utkwiła mi w pamięci. Na ziemi nie spotkałem go nigdy, a w czasie lotu rzadko zaglądam do pomieszczeń dla pasażerów. Podczas postojów na tranzytowych lotniskach też mam zwykle masę roboty. W każdym razie mogę ręczyć, że Knoxa nie przypominam sobie w ogóle. Ani twarz jego, ani nazwisko nic zupełnie mi nie powiedziały... choć od dziś będę je zapewne pamiętał do końca życia! — Uśmiechnął się niewesołym, zmęczonym uśmiechem.

— Od jak dawna lata pan na tej linii?

— Stosunkowo niedawno, od dwu miesięcy. Jestem w tej chwili po raz ósmy na tej trasie.

— A mieszka pan w...

— W Anglii. Liverpool. To znaczy, tam mieszka moja żona i dzieci, bo ja sam jestem w domu, niestety, tylko gościem, jeśli nie liczyć okresu urlopu.

— Tak, dziękuję panu. A pani? — zwrócił się do stewardesy. — Czy pani także nie przypomina sobie zmarłego? Pełniąc swoje funkcje ma pani znacznie większe szansę poznawania ludzi niż reszta załogi.

Zastanawiała się przez chwilę, a później rozłożyła ręce.

— Nie. Nie mogłabym co prawda przysiąc, że nigdy go nie widziałam. Mam nawet niejasne wrażenie, że twarz ta jest mi znajoma. On... on był dość charakterystyczny. Ale nie jestem pewna... Nie, nie mogłabym także przysiąc, że go już z pewnością widziałam. Przecież w ciągu jednego tylko miesiąca przewijają się przede mną setki osób, a tłumy ludzi wsiadają i wysiadają na różnych lotniskach po drodze. W samolocie, wbrew pozorom i wbrew temu, co myślą dziewczęta pragnące zostać stewardesami w przeświadczeniu, że jest to praca, gdzie nie ma prawie żadnej roboty, a za to wiele się podróżuje w zgrabnym mundurku — jest bardzo wiele najrozmaitszych zajęć, pochłaniających niemal cały czas, gdyż muszą być one wykonane bezbłędnie i co do minuty. Prócz tego, jak pan wie, stewardesy mają ściśle instrukcje dotyczące kontaktów z pasażerami mężczyznami. Mamy być, oczywiście, uprzejme dla wszystkich, ale nie wolno nam zawierać znajomości z pasażerami, nie mówiąc już o prywatnych rozmowach z nimi w jakiegokolwiek formie i pod jakimkolwiek pretekstem. Gdyby stwierdzono coś podobnego, mo-

głoby to grozić utratą posady.

Umilkła.

— Rozumiem doskonale... — powiedział Joe. — Chciałbym jeszcze wiedzieć, żeby skompletować sobie obraz tego, co działo się na pokładzie samolotu dziś w nocy, gdzie była załoga i jak przebiegała służba?

Pilot skinął głową ze zrozumieniem.

— Przyznaję, że czekałem na to pytanie. Zwykle to wygląda tak, że jeden z pilotów prowadzi, a drugi drzemie na ceratowej kanapce, stojącej naprzeciw stanowiska radiotelegrafisty. Ale dziś w nocy było nieco inaczej. Choć pasażerowie nie zostali o tym dokładnie poinformowani, przelatywaliśmy przez obszar gwałtownych burz tropikalnych, które staraliśmy się wymijać w miarę możliwości. Są to burze przechodzące zwykle nad niewielkim obszarem, ale dość ruchliwe. Byliśmy w nieustannym kontakcie z ziemią, biorąc namiary i notując lokalizację zaburzeń atmosferycznych. W tej sytuacji obaj piloci i radiotelegrafista musieli być bez przerwy na stanowiskach, przynajmniej w ciągu trzech pierwszych godzin lotu. Później...

— Pan Knox został zabity mniej więcej podczas drugiej godziny lotu lub na początku trzeciej... — przerwał mu Alex. — Co prawda nie jestem lekarzem, ale kiedy zbudziłem się po czterech godzinach od startu, pan Knox nie żył już z pewnością od mniej więcej dwóch godzin. Wskazywały na to pewne symptomy.

Urwał. Nie chciał mówić przy kobietach o stężeniu i barwie plamy krwi na koszuli i o temperaturze martwego ciała.

— Jeśli jest pan tego absolutnie pewien — uśmiechnął się Grant — zdejmuję mi to kamień z serca, ponieważ przez pierwsze trzy godziny lotu żaden z nas nie mógł ani na chwilę opuścić swego miejsca. Zresztą, szczerze mówiąc, żaden z nas nie usnął i nikt z nas trzech nie położył się do chwili, gdy Barbara... to znaczy panna Slope, zawiadomiła nas o wypadku. A później trudno było nawet myśleć o śnie. Jeśli chodzi o stewardesę, to śpi ona w pomieszczeniu w tyle samolotu, obok bufetu, lodówki i innych gospodarczych urządzeń. Nad jej posłaniem znajduje się dzwonek i słuchawka telefoniczna, dzięki której może w każdej chwili połączyć się z nami, a my z nią, bez konieczności wędrowki przez całą długość samolotu.

— Tak, rozumiem — Joe zwrócił się do panny Slope. — A czy zaglądała pani nocą do kabiny pasażerskiej?

— Nie. To znaczy uchyliłam drzwi mniej więcej w godzinę po zgaszeniu światła. Nadśluchiwałam przez chwilę, ale żadna z lampek przy fotelach nie paliła się i było zupełnie cicho. Doszłam do wniosku, że wszystko jest w porządku i pasażerowie śpią. Było to nawet do przewidzenia po tak długo przeciągającym się oczekiwaniu na dworcu lotniczym i tak gorącym dniu. Wróciłam do siebie, zdjęłam pantofle i nastawiwszy budzik, położyłam się i nakryłam kocem. Byłam bardzo zadowolona, mogąc złapać trochę snu.

Sama nie wiem, kiedy usnęłam, ale chyba niemal od razu. Obudziłam się, kiedy budzik zadzwonił. Samolot wystartował niemal pusty, a to oczywiście oznaczało, że będę miała znacznie mniej pracy związanej z przygotowaniem śniadania. Bywają przecież przeloty, gdy nie mogę nawet zmrużyć oka na całej trasie z Londynu do Johannesburga.

— Dziękuję pani... — Joe minął ją i kapitana, kierując się ku środkowi kabiny.

— I co teraz? — zapytał Fighter Jack. — Bardzo to było ciekawe! Wie pan już tyle o nas, ile chcieliśmy o sobie powiedzieć. Ale czy taka rozmowa może pomóc w śledztwie? Przecież nikt się nie przyznał do wyprawienia tego Knoxa na tamten świat. Trudno zresztą wymagać, żeby się nam zwierzył z tego. A jak pan sam stwierdził, morderca musi tu być. Więc ktoś kłamał.

— Ależ tak! — Joe uśmiechnął się pogodnie i skinął głową, lecz spojrzawszy w kierunku ogona maszyny i zauważywszy podłużny, zakryty kocem kształt, spoważniał natychmiast. — Na szczęście wszyscy niewinni pomogli mi niezmiernie! Wydaje mi się, że w tej chwili chyba wszystko jest zupełnie jasne, prawda?

— Jasne?... — powiedział Fighter Jack. — Jak to jasne? Czy chce pan przez to powiedzieć, że pan wie?! Że pan wie, kto zabił tego biedaka?

Joe przez chwilę nie odpowiadał. Stał wpatrzony w ogromną, bezchmurną przestrzeń za oknami maszyny. Słońce przeszło już kawałek nieba i znajdowało się nieco poniżej lśniącego krańca skrzydła. Wreszcie Alex oderwał wzrok od równo zarysowanej, czystej linii widnokregu i spojrzął na profesora. Jeszcze przez ułamek sekundy w oczach jego zdawał się kryć wyraz niepewności, ale zniknął, ustępując natychmiast miejsca ponuremu błyskowi.

— Tak... — powiedział cicho. — Myślę, że nie będziemy zbyt długo zatrzymywali się w Nairobi. Pan Samuel Hollow miał słuszość: ten klimat jest zabójczy dla Europejczyków.

— To znaczy, że pan nie ma żadnych wątpliwości! — zawołał Fighter Jack. — Słyszysz, Samuelu? On wie!

— On mówi, że wie... — odpowiedział spokojnie mały człowieczek. Ale jego bystre oczka ani na chwilę nie oderwały się od twarzy stojącego.

— Tak powiedziałem? — Joe kiwnął głową. — Tak, chyba tak można byłoby to określić. Wszyscy przecież wiedzieliśmy, że morderca znajduje się wśród nas. Jedynym problemem stojącym przede mną było oddzielenie go od pozostałych pasażerów.

— Boże, kto?... — powiedziała zdławionym głosem Isabella Linton. Zamilkła przesłaniając wargi dłonią. W słońcu zabłysnął krwistoczerwony lakier jej paznokci.

Alex rozłożył ręce.

— Zaraz postaramy się dojść do tego, ale najpierw spróbujemy się zastanowić, co będzie dla nas podstawą do oddzielenia czarnej owieczki od niewinnego, białego stada. Jak zwykle, gdy rozważana jest sprawa zabójstwa, istnieją dwie zasadnicze ewentualno-

ści: albo mogło być ono zaplanowane z góry i przygotowane przez mordercę, albo też dokonano go pod wpływem nagłego impulsu. Oczywiście, gdy bierzemy pod uwagę obie te ewentualności, najistotniejszym z tak zwanych ogólnych, nie związanych bezpośrednio z zabójstwem faktów jest to, że samoloty z Londynu do Johannesburga i z Johannesburga do Londynu odlatują codziennie, a w niektóre dni nawet kilkakrotnie. To chyba jasne, prawda?

Zawiesił głos.

— Być może dla pana, ale nie dla mnie — Grant potrząsnął głową. — Dlaczego miałyby to mieć nie tylko decydujące, ale w ogóle jakiegokolwiek znaczenie?

— Zaraz dojdziemy i do tego. Ale najpierw, żeby nie było już żadnych luk w naszym rozumowaniu, musimy ustalić jeszcze jedno, choć, jak sądzę, będzie to tylko prosta formalność. Panie kapitanie, czy mógłby pan poprosić tu jeszcze, tylko na krótką chwilę, waszego radiotelegrafistę?

Grant bez słowa wstał, podszedł do drzwi, uchylił je i zawołał:

— Ned, przyjdź tu na chwileczkę, jeżeli możesz! Cofnął się i czekał, póki przysadzi-sta sylwetka radiotelegrafisty nie pojawiła się w kabinie.

— Miejsce, w którym pan pracuje, znajduje się pomiędzy stanowiskiem sterowniczym obu pilotów, a kabiną pasażerską, prawda?

— Tak.

— Z miejsca tego widzi pan nieustannie plecy obu pilotów, jeśli siedzą za sterami?

— Tak, oczywiście.

— A każdy z nich może, odwróciwszy głowę, dostrzec pana, prawda? Miejsce, w którym pan pracuje, jest dobrze oświetlone?

— Oświetlony jest mój stół i aparaty, przy których pracuję. Kabina nie może być zbyt jasna, bo przeszkadzałoby to pilotom, rzucając refleks na przednią szybę ich pomieszczenia. W związku z tym musieliby trzymać drzwi prowadzące do mnie zamknięte. Dlatego nie zapalam nigdy górnego światła.

— Ale, mimo to, obaj panowie widzicie swego kolegę?

— Tak, widzimy. — Grant potwierdził zdecydowanym skinieniem głowy. — Nie jest tam przecież nigdy ciemno, bo na radiotelegrafistę pada nieustannie odbicie światła skierowanych na znajdujące się tuż przed nim instrumenty. Jeśli rozumiem dobrze cel pańskich pytań, chce się pan dowiedzieć, czy może zaistnieć sytuacja, w której radiotelegrafista jest dla nas niewidzialny? Nie. Widzimy go stale, jeśli nie zamkniemy dzielących nas drzwi. A drzwi tych nie zamykaliśmy w ogóle tej nocy.

— Dziękuję. O to mi właśnie chodziło... — Joe zwrócił się do radiotelegrafisty:

— Czy po starcie pierwszy lub drugi pilot przechodzili obok pańskiego stanowiska?

— Nie.

— Czy jest pan tego absolutnie pewien?

— Tak.

— Nie spał pan ani nie zdrzemnął się pan choćby przez chwilę?

— Nie. Pracowałem przez cały czas i niemal przez cały czas rozmawialiśmy. Odbierałem bez przerwy meldunki z ziemi o zaburzeniach w atmosferze na trasie lotu. Później zbaczaliśmy dwukrotnie z trasy i robiłem moc pomiarów nawigacyjnych. Była to dość niespokojna noc dla nas wszystkich.

— Czy mógłby pan zeznać pod przysięgą, że nie stracił pan obu pilotów ani na chwilę z oczu?

— Tak, bez żadnego wahania. Obaj nie opuścili nawet na sekundę swoich miejsc za sterami, to znaczy co kilkanaście minut to jeden, to drugi wstawali i przychodzili do mnie, żeby spojrzeć na wykres lotu i sprawdzić inne techniczne sprawy. Ale natychmiast wracali z powrotem. A myślę, że i oni mogliby przysiąc, że także ja nie opuściłem swojego stanowiska, co zresztą jest zgodne z prawdą. Jak myślisz, Howard?

Pytanie to było zwrócone do Granta.

— Mogę odpowiedzieć tylko w swoim imieniu. Przysięgłbym także bez wahania, bo nawet teraz, słuchając, tej rozmowy, zastanawiałem się nad przebiegiem lotu i wiem na pewno, że nie było takiej chwili, w której stracilibyśmy kontakt. Myślę, że drugi pilot potwierdzi w całej rozciągłości moją opinię. Na szczęście, choć nie wiedzieliśmy o tym, była to jedna z tych nocy, kiedy załoga nie może zmrużyć oka, a praca całego zespołu prowadzącego maszynę trwa bez przerwy. Ale myślę, że najlepiej będzie, jeśli pan sam zapyta drugiego pilota.

Joe skinął głową i ruszył ku drzwiom prowadzącym do kabiny nawigacyjnej. Nie było go dłuższą chwilę. Wszyscy milczeli. Nawet Fighter Jack nie podzielił się ze swym trenerem nurtującymi go wątpliwościami i wrażeniami. Wreszcie Alex powrócił i zatrzymał się pośrodku kabiny.

— Kolega potwierdza w całej rozciągłości słowa panów. W związku z tym trzeba przyjąć, że wszyscy macie, jak powiadają pisarze sensacyjnych powieści, niezbite alibi. Oczywiście, moglibyście być w zмовie i wspólnie zabić pana Knoxa, ale tę hipotezę odrzucam jako absurdalną i nie prowadzącą do żadnych sensownych wniosków. Powróćmy więc do naszego podstawowego zagadnienia: z góry zaplanowany mord z premedytacją czy też zabójstwo pod wpływem impulsu? Zajmijmy się najpierw pierwszą ewentualnością.

1) Otóż mord z premedytacją, popełniony przez jednego pasażera samolotu pasażerskiego na drugim z pasażerów, wymaga pewnego podstawowego warunku... — zawiesił na chwilę głos. — Nie domyślacie się państwo? Jest to warunek niezwykle prosty: morderca musiał wykupić bilet wiedząc, że ofiara będzie z pewnością leciała tym, a nie innym samolotem. Albowiem żeby zabić człowieka w samolocie, trzeba lecieć razem z nim. Otóż pan Knox nie latał regularnie do Londynu, ale od przypadku do przypad-

ku, wówczas gdy wymagały tego interesy kopalni „Flora”. Ponieważ samoloty, jak już wiemy, odbywają loty na tej trasie codziennie, a czasami nawet częściej niż raz na dzień, morderca nie mógł nawet w przybliżeniu liczyć na szczęśliwy dla siebie zbieg okoliczności i wykupić bilet przed panem Knoxem. Fakt ten eliminował pannę Linton, która wykupiła powrotny bilet z Anglii na kilka tygodni wcześniej i sprecyzowała już wówczas dzień opuszczenia Johannesburga. Eliminował dla tej samej przyczyny panią Knox, profesora Braclaya, panów Jacka Fightera i Samuela Hollowa, a także pana Horace Robertsa, bo nie sposób poważnie brać pod uwagę możliwości, że siedząc w więzieniu i czekając na przedterminowe zwolnienie, mógł w cudowny i sobie tylko znany sposób przewidzieć, że na pokładzie samolotu, którym będzie powracał do Anglii, spotka człowieka, którego nienawidził najbardziej z wszystkich ludzi. Jeśli mam uściślić tę listę, zwalnia to od podejrzenia także i mnie, gdyż i ja wykupiłem bilet powrotny w Londynie i jest na nim z góry oznaczony dzień powrotu z Johannesburga. Oczywiście każdy może łatwo sprawdzić to w mojej książeczce biletowej, choć nie zajmowałem się swoją osobą rozpoczynając to dochodzenie. Pozostaje nam jedynie panna Elizabeth Crowe, która wykupiła bilet po panu Knoxie. Ale panna Crowe jest pracownikiem agencji detektywistycznej. Legitymacja jej nosi pieczęć prezydenta policji w Johannesburgu i jego podpis, którym poświadcza on jej autentyczność. Agencja GLOBE jest poważną firmą, o której słyszałem już kilka razy, a uzyskanie od policji prawa do uprawiania zawodu detektywa wymaga oczywiście nieposzlakowanej opinii. Zresztą, relacja pani Crowe jest prosta i wydaje mi się absolutnie prawdziwa. Pan Knox nie znał jej najwyraźniej, a nie sadzę, aby panna Crowe mogła podać nam jakiegokolwiek fałszywe dane lub przekręcić fakty dotyczące jej zadania, wiedząc, że wszystkie zeznania tu obecnych zostaną już w Nairobi poddane szczegółowemu i drobiazgowemu sprawdzeniu przez policję, zanim ktokolwiek z pasażerów będzie mógł udać się w dalszą podróż. Tak więc, jeśli przyjmiemy, że panna Crowe mówi prawdę o sobie i o przyczynie swej obecności pośród nas w tej chwili, a jej legitymacja nie jest sfałszowana, to właśnie ona jedna spośród wszystkich obecnych nie mogła wykupić biletu, zanim uczynił to pan Knox. To chyba jasne, prawda? Chcąc zawrzeć z nim znajomość podczas lotu, musiała przecież czekać, aż pan Knox wykupi bilet, a dopiero potem mogła to zrobić sama.

— Słucham pana bardzo pilnie... — powiedział Grant — ale przyznaję, że zagubiłem się trochę. Skoro udowodnił pan, że nikt z nas nie mógł zabić pana Knoxa, można byłoby wyciągnąć z tego tylko jeden wniosek: że pan Knox żyje. A wiemy wszyscy, że, niestety, to nie prawda.

— Tak, pan Knox został zamordowany, co do tego nie może być najmniejszych wątpliwości. Zajmuję się tak drobiazgowo określeniem wszystkich za i przeciw dotyczących tu obecnych, żeby w drodze dość mozolnych, choć niezbędnych, eliminacji udowodnić pełną niewinność wszystkich niewinnych i wskazać zabójcę. O to nam przecież

jedynie chodzi, prawda? Tym, co powiedziałem poprzednio, chciałem udowodnić, że zbrodnię z premedytacją mogła popełnić jedynie osoba, która wiedziała, że Knox odleci właśnie tym, a nie innym samolotem. A mógł to wiedzieć jedynie ktoś, komu Knox powiedziałby o tym, lub ktoś, kto uzyskał tę wiadomość z innego źródła. Oczywiście, osoba taka musiałaby kupić bilet po panu Knoxie, bądź tuż przed nim, gdyby wiedziała już, że tym samolotem ma on zamiar lecieć. Jak powiedzieliśmy, jedynie panna Crowe mogłaby pasować do tej sytuacji, ale z kolei rola panny Crowe jest zupełnie inna i nie mamy najmniejszego powodu, aby jej nie wierzyć, o ile nie okaże się, że w ogóle kłamie, w co ja z kolei nie wierzę, gdyż byłoby to kłamstwo zupełnie samobójcze, obciążające ją już na wstępie dochodzenia i przemieniające zaplanowany mord z premedytacją w głupią, nieodpowiedzialną aferę, którą najbardziej tępy funkcjonariusz policji musiałby rozwiązać w ciągu pięciu minut po uzyskaniu podstawowych informacji. A muszę przyznać, że nie uważam naszego mordercy za głupca, choć nie jest on mordercą doskonałym... Popełnił kilka omyłek... Ale o tym później.

Odetchnął głęboko i podjął:

— Przejdźmy teraz do drugiej ewentualności, mianowicie do tej, że mogło to być zabójstwo w ogóle nie zaplanowane. A więc:

2) Zabójstwo pod wpływem nagłego impulsu. Na przykład pan Roberts mógł dostrzec Knoxa wchodząc do samolotu.

— Nie dostrzegłem go jednak — powiedział Roberts. — Mówiłem już panu o tym.

— Tak, pamiętam doskonale, że zaprzeczył pan temu. Ale przecież rozważając sprawę morderstwa, mamy do czynienia jedynie z pańskim gołosłownym zaprzeczeniem, którego nie może pan poprzeć żadnymi dowodami. Musiałem więc hipotetycznie założyć, że mógł go pan rozpoznać natychmiast po wejściu tutaj. Dalej mogło to przebiec tak, że widok tego człowieka oszołomił pana na chwilę zupełnie, ale gdy usiadł pan na swoim miejscu, nienawiść wybuchła straszliwym płomieniem w pana duszy! Przepraszam za melodramatyczną nutkę, ale oto nadeszły pierwsze godziny wolności i już na samym wstępie los styka pana z człowiekiem, którego, jak sam pan stwierdził, mógłby pan zadusić gołymi rękami! Siedzi pan na swoim miejscu, dławiąc się tą nienawiścią, ludzie kolejno gaszą lampki przy fotelach, wreszcie pozostaje pan sam: jako jedyny nie uspiiony człowiek w tej kabinie. Czy jest rzeczą możliwą, że korzystając z uspienia wszystkich ewentualnych świadków, gnany straszliwą nienawiścią i nie myśląc nawet o tym, co może później nastąpić, wstał pan i skradając się cicho podszedł pan do jego fotela, a później widok uspionego wroga, zamiast ostudzić pan wściekłość, wzmógł ją tylko? Bo proszę pomyśleć: odsiedział pan ponad rok w więzieniu i wyszedł pan właśnie stamtąd z piętnem hańby i złamanym życiem, a ten, którego nikczemne, fałszywe świadectwo było przyczyną pana tragedii, znajduje się oto zupełnie bezbronny na pańskiej łasce! Proszę mi szczerze powiedzieć, czy przyjąwszy tego rodzaju przebieg wypadków,

można uznać za rzecz niemożliwą, że zabił pan Richarda Knoxa?

— To straszne... — Roberts opuścił głowę, a kiedy podniósł ją, oczy jego były niemal bez wyrazu. — Pyta pan, czy dokonanie przeze mnie zabójstwa Knoxa było rzeczą możliwą? Chociaż nie zabiłem tego człowieka, rozumiem pana. W świetle tego, co pan nam przedstawił, było ono rzeczą możliwą i prawdopodobną...

Joe potrząsnął głową.

— Myli się pan. Popęlnienie przez pana tego morderstwa było zarówno niemożliwe, jak i w konsekwencji, nieprawdopodobne.

— Jak to? — Fighter Jack podniósł się z miejsca wsparty o grzbiet znajdującego się przed nim fotela i pochylił się ku Alexowi. — Panie, czy pan to mówi serio?

— Nie jest to pora ani okoliczności najbardziej stosowne do żartów, jak już panu była uprzejma wytknąć pani Knox — powiedział Joe tłumiąc uśmiech, choć wcale nie był rozbawiony. — Wracając zaś do mojego oświadczenia, proszę sobie przypomnieć, że pierwszą moją czynnością było wysłanie depeszy do urzędu celnego w Johannesburgu. Wiedziałem, że jeśli pan Roberts nie będzie miał wyjątkowego szczęścia w tej sprawie, może znów ponieść karę za cudze grzechy. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem jeszcze wówczas, kto zabił, chociaż od pierwszej chwili podejrzania moje były skierowane raczej w słusznym kierunku. Ale pan Roberts naprawdę mógł zabić. Miał potężny motyw i okazję do spełnienia tego czynu. Była jednak szansa stwierdzenia jego alibi, bądź upewnienia się, że to on jest mordercą. Na szczęście w depeszy, którą przesłano mi z Johannesburga, znajdowało się żelazne i absolutnie nie do obalenia alibi pana Roberts'a. Alibi tak potężne, że on jeden z nas wszystkich na pewno nie mógł być mordercą i należało go wykluczyć już w chwili rozpoczęcia dochodzenia. A jeśli pozwoliłem sobie dręczyć go przez pewien czas pytaniami i pozostawić w niepewności, zrobiłem tak jedynie dla dobra sprawy, aby uzyskać jak najwięcej informacji o życiu i charakterze zamordowanego, o którym pan Roberts powiedział nam przecież bardzo wiele niezwykle interesujących rzeczy.

Otóż sprawa jest niesłychanie prosta: Richard Knox zamordowany został ciosem długiego sztyletu, który morderca ze zrozumiałych względów musiał podrzucić przy zwłokach. Musiał, gdyż było dla niego sprawą jasną, że cały samolot i wszystkie obecne na pokładzie osoby zostaną poddane ścisłej osobistej rewizji, jeśli broń się nie znajdzie. A tego nie pragnął w żadnym wypadku. Zresztą, było dla mordercy sprawą pierwszorzędnej wagi, aby nie poruszać się po ciemku z zakrwawionym sztyletem w ręce. Narzędzie mordu mogło pozostawić przypadkowy ślad na jego ubraniu czy też stać się wskazówką innego rodzaju. Poruszenie się z tym sztyletem było niezwykle ryzykowne, a ponieważ niemal każde dziecko w naszych czasach czyta powieści kryminalne, wszyscy prawie wiedzą, że analizy chemiczne wykonywane w laboratoriach policyjnych czynią cuda. Jakkolwiek zresztą rozumował morderca, wsunął on po zabójstwie sztylet pod

koc, którym okryty był Knox. W ten sposób, działając w rękawiczkach, gdyż pewien jestem, że nie był na tyle nierozsądny, aby pozostawić na rękojeści sztyletu odciski palców, o których wiedza jest teraz przedmiotem dyskusji w niższych klasach szkół średnich, natychmiast po zabójstwie pozbył się morderczego narzędzia. Najprostsze i najbezpieczniejsze było pozostawienie go przy zwłokach. Morderca był przekonany, że od tej chwili wszelkie ślady zostały zatarte i nikt w żaden sposób nie będzie mógł mu udowodnić tej zbrodni, cokolwiek później nastąpi. Pozornie rozumowanie to było słuszne. Ale w ten sposób morderca wykluczył spośród grona podejrzanych osobę najbardziej podejrzaną: pana Robertsa! Albowiem pan Roberts nie miał sztyletu, którym zamordowano Richarda Knoxa. Poznaliście państwo wszyscy treść depechy z urzędu celnego. Wyliczono w niej wszystkie bez wyjątku przedmioty, które pan Roberts miał przy sobie, Z pedanterią godną prawdziwych celników urzędnicy z Johannesburga poinformowali mnie nawet o zapalniczce, którą znaleziono w jego ubraniu. Wyobrażam sobie, z jaką gorliwością donieśliby nam o tym sztylecie! I oto na każde żądanie obrońcy pana Robertsa celnicy z Johannesburga musieliby zeznać pod przysięgą, że wsiadając na pokład samolotu nie miał on przy sobie sztyletu, którym zamordowano Knoxa! A skoro nie miał, to gdzie miał go zdobyć po zgaszeniu świateł? A więc pan Roberts nie mógł zamordować, gdyż w żaden sposób nie mógł dysponować narzędziem zbrodni, którym dokonano mordu! Wykluczone było także, aby mógł przeszmugłować długi nóż o szerokiej, solidnej rękojeści podczas rewizji osobistej. Nie można było też przypuścić, że po zapadnięciu ciemności zaczął poszukiwać narzędzia zbrodni w cudzych torbach i neseserach, błędząc po omacku po całej kabine. Jest to oczywisty nonsens z wielu powodów, z których pierwszym jest ten, że skąd Roberts, który wszedł ostatni i usiadł w pierwszym rzędzie, mógł w ogóle orientować się, kto i gdzie złożył swoje rzeczy. I czy mógł w ogóle liczyć na to, że znajdzie tak wielkie, konieczne do zadania ciosu narzędzie? Nonsens i jeszcze raz nonsens! Żaden sąd na świecie nie zgodziłby się rozpatrywać sprawy opartej na tak absurdalnych i niemożliwych w rzeczywistości przesłankach. I miałyby słuszność. Tak więc pan Roberts może sobie pogratulować, że mimo pozornie niesprzyjającego zbiegu okoliczności jest poza wszelkim podejrzeniem.

— Doskonale zrozumiałem, czym się pan kierował budując moje alibi — Roberts wyprostował się, dotykając niemal głową sufitu kabiny — ale obawiam się, że jeśli nie udowodni pan w równie sugestywny sposób, że mordercą jest kto inny, policja będzie chciała przykleić to do mnie!

— Proszę nie mieć najmniejszych obaw — Alex zdecydowanie potrząsnął głową. — Chciałbym teraz przejść do pani Agnes Knox, drugiej osoby, którą pan Knox skrzywdził ongi poważnie. Tu rozumowanie moje biegło po nieco innym torze. Los nie był tak łaskawy dla pani Knox, jak dla pana Robertsa. Celnicy nie przetrząsnęli jej bagażu i nie dokonali osobistej rewizji, która w prosty sposób mogłaby świadczyć, że pani

Knox także nie dysponowała narzędziem zbrodni, którym został zabity jej były mąż. Wiedziałem jednak, że pani Knox zakupiła swój bilet w Anglii i zarezerwowała miejsce w tym właśnie samolocie już przed kilku tygodniami, nie mając najmniejszego pojęcia, że jej były mąż znajdzie się wraz z nią na pokładzie. Można było przypuścić, że choć pani Knox zaprzecza temu, ale jednak spotkała się ze swym mężem w Johannesburgu i dowiedziała od niego, że będą odbywali podróż wspólnie. Ale zaprzeczało temu zdecydowanie i kategorycznie świadectwo moich własnych oczu. Byłem wraz z panem Knoxem w poczekalni dworca lotniczego, gdy dostrzegł on i rozpoznał swą żonę. Zaniemówił wówczas ze zdumienia i nie mógł odzyskać równowagi przez dłuższą chwilę. Jej obecność w tym mieście była dla niego prawdziwym zaskoczeniem. A ponieważ wiem z jej książeczki biletowej, że i pani Knox nie zmieniła dnia odlotu, aby znaleźć się w jego towarzystwie, mogłem więc z góry odrzucić ewentualność zaplanowanego morderstwa i ukrycia przez panią Knox sztyletu, którym miała zamiar je wykonać. A jak powiedziałem, nie jest to mały sztylecik-cacko, który można ukryć w torebce damskiej, lecz solidny, długi obosieczny nóż, jeden z tych, które sprzedaje się turystom jako broń używaną przez myśliwych podczas safari w buszu. Nie mogłem sobie wyobrazić, aby pani Knox mogła nosić tego rodzaju rzecz przy sobie bez powodu! A gdyby nawet wiozła ją dla kogoś jako pamiątkę, nie znajdowałaby się ona przecież ukryta w zupełnie niejasny dla mnie sposób, na jej osobie, ale na dnie walizki. Poza tym jak mogła pani Knox, zobaczywszy po latach swego męża w poczekalni dworca lotniczego, wiedzieć, że a) będą lecieli jednym samolotem, b) że samolot ten będzie niemal pusty, c) że uda jej się jednym uderzeniem zabić śpiącego człowieka tak, aby nawet nie krzyknął czy nie wydał z siebie głośnego jęku? Mógłbym mnożyć tego rodzaju znaki zapytania. W sumie myśl o tym, że pani Knox, choć nie mogła zaplanować tego mordu i leciała dokładnie w tym samym czasie, w jakim postanowiła lecieć niemal miesiąc wcześniej, mogła zaopatrzyć się w magiczny sposób w narzędzie zbrodni tych rozmiarów, przewidzieć okoliczności, w jakich dokona zbrodni, i dokonać jej wreszcie z tak zadziwiającą sprawnością, wydała mi się absurdalna. Wystarczyło przecież, aby Knox krzyknął, a wówczas na pewno ktoś z nas obudziłby się, a może nawet zerwalibyśmy się wszyscy. Morderca zostałby natychmiast rozpoznany, bo gdzie mógłby ukryć się w samolocie? Nie, pani Knox w zbyt wielu punktach nie pasowała do tej zbrodni. Jakkolwiek próbowałbym szeregować jej możliwości i postęпки, nie pasowały one do siebie i nie układały się w logiczny łańcuch. Z jednej strony wiedziałem, że nie mogła zaplanować z góry tego morderstwa, a z drugiej miałem pewność, że jeśli go nie zaplanowała, nie mogła go dokonać i nie miałaby czym go dokonać. Postanowiłem więc skoncentrować się na osobie, która miałaby o wiele większe szanse zabicia Knoxa, miałaby silny motyw zabójstwa i przeciwko której dowody gromadziłyby się nieustannie, piętrząc niemal w miarę, jak z konieczności musiałem eliminować kolejno obecne tu osoby jedną po drugiej... Ale, jak powiedziałam-

łem już, w pierwszej chwili nie mogłem mieć absolutnej pewności, kto jest mordercą, choć wszystko wskazywało na to, że jest to zbrodnia dokładnie obmyślona i precyzyjnie zaplanowana...

— Jak to? — powiedział profesor Barclay. — Przed paru minutami powiedział pan, że trzeba wykluczyć tę ewentualność wobec nas wszystkich, dla takich czy innych powodów. A członkowie załogi gotowi są zeznać pod przysięgą, że nie opuszczali w nocy swego pomieszczenia i nie tracili się nawzajem z oczu.

— Tak, przypominam sobie dokładnie, że właśnie to powiedziałem. Ale w tym, co pan powiedział, tak jak i w moim rozumowaniu, nie mieszczą się dwie osoby...

— Co? — powiedział mały człowieczek. — Więc pan myśli, że na pokładzie jest jeszcze ktoś ukryty?!

— Ależ nie — Alex uśmiechnął się lekko. — Co prawda jestem autorem powieści sensacyjnych, ale nie oznacza to, że mam umiejętności wyciągania z rękawa dodatkowych dramatis personae, które, bez najmniejszego wysiłku z naszej strony, wypełzną spod foteli i przyznają się do winy, pozwalając nam kontynuować podróż z uczuciem, że choć przez godzinę czy dwie podejrzewaliśmy wszystkich naszych towarzyszy podróży, to jednak okazali się oni lepsi, niż przypuszczaliśmy. Niestety, prawda nie jest ani tak prosta, ani tak miła, jeśli wolno mi użyć tego określenia. Ale proszę już nie przerywać. Zaraz spróbujemy rozstrzygnąć całą sprawę.

Otóż, jak powiedziałem, doszedłem do wniosku, że mord ten nie mógł być wynikiem spontanicznego działania. Świadczyło o tym narzędzie zbrodni: przedmiot, którego nikt normalny i rozsądny nie wozi z sobą w podręcznej torbie czy neseserze, nie przewidując z góry, do czego będzie potrzebny. Ale ważniejsze było co innego:

to, że zbrodnia się udała.

A przecież jeśli którykolwiek z pasażerów znajdujących się w kabinie zapragnąłby dokonać tego morderstwa, byłby już od pierwszej sekundy narażony na olbrzymie trudności mogące w każdej chwili przemienić jego czyn w katastrofę, śmiertcionośną w równym stopniu dla mordercy, jak dla zamordowanego. Człowiek, który chciałby zamordować Knoxa, musiałby wstać, podejść do niego, rozpoznać w ciemności położenie ciała i zadać cios z absolutną pewnością, że zabije od razu, tak szybko, by ofiara nie mogła wydobyć głosu. Gdyby Knox został tylko zraniony lub gdyby żył nawet kilkanaście sekund, zbrodnia dokonana w tak małym pomieszczeniu, wobec tylu świadków, zakończyłaby się tragicznie dla mordercy. Przecież morderca ów nie mógł mieć nawet pewności, że wszyscy śpią! Fakt, że nie paliły się lampki, nie dawał przecież przeświadczenia, że tak jest. A jeśli choćby jeden z pasażerów nie mógł usnąć! Ten pasażer mógł rano przypomnieć sobie, ba, musiałby sobie przypomnieć, który z towarzyszy podróży wstał w nocy, by skradając się ruszyć wzdłuż przejścia. A jak mógł morderca sprawdzić, czy wszyscy śpią? Nie mógł przecież przejść całej kabiny, zatrzymując się nad każdym z nas

i nasłuchując, aby później spokojnie podejść do Knoxa i zabić go precyzyjnie, jednym uderzeniem! A jednak tak się stało i nikt z nas nie wiedział rano o niczym, nawet ja, który byłem tak blisko, bliżej niż ktokolwiek inny.

A więc kto mógł być tym mordercą? Morderstwo wykonane w tak trudnych warunkach musi być wynikiem potężnego odruchu woli. W końcu każdy, kto zabija, wie, co go czeka, jeśli zostanie schwytany. Jednym z hipotetycznych morderców, który miał uproszczone zadanie, gdyż nie musiał spacerować po kabinie i miał śpiącego Knoxa na odległość ręki, byłem ja sam. Ale ja wiedziałem, że nie popełniłem tej zbrodni. Była jeszcze druga osoba, która po dopełnieniu pewnych warunków mogła zmniejszyć do koniecznego minimum niebezpieczeństwo odkrycia jej czynu. Osobą tą była panna Barbara Slope, stewardesa na pokładzie tego samolotu.

Joe wypowiedział te słowa spokojnie, zwracając oczy ku siedzącej tuż za nim dziewczynie. Ale wzruszyła ona tylko ramionami i spojrzała nie na niego, lecz na Granta.

— Ten pan posunął się, jak sądzę, nieco za daleko... — powiedziała bez zdenerwowania. — Przykro mi, że moja osoba zajmuje w tej chwili główne miejsce w jego krzyżówce. Byłoby to nawet interesujące, gdyby nie... gdyby nie absurdałne w samym założeniu. Mój Boże, jakież mogłabym osiągnąć cel zabijając tego biedaka? — Spojrzała mimowolnie w kierunku leżącego nieruchomo ciała i wzdrygnęła się. Później jej wielkie, piękne oczy zwróciły się ku Alexowi. — Bez względu na to, czy jako autor powieści sensacyjnych bawi się pan dobrze układając tego rodzaju rebusy, prosiłabym jednak, aby nawet żartem, jeśli jest to stosowne słowo w tych okolicznościach, zechciał pan nie wprowadzać mojej osoby do tej tragedii! Sprawia mi to przykrość.

— Dobrze — odparł Joe. — Zrobię to, na razie. Powróćmy do zmarłego Knoxa. Otóż zarówno opinia urzędu celnego, jak i to, co powiedział nam pan Roberts i co dość autorytatywnie, na mocy dochodzenia dwóch wielkich agencji detektywistycznych, oświadczyła nam panna Crowe, świadczą o tym, że pan Knox był bardzo zainteresowany przetrucaniem nieoszlifowanych diamentów, bądź brylantów, z Południowej Afryki do Anglii. W świetle praw jego kraju było to grubym przestępstwem, ale, jak wiemy, ani jedna z osób, które dziś opowiadały nam o życiu pana Knoxa, nie nazwała go uczciwym człowiekiem. Wręcz przeciwnie. Wiemy zresztą, że dwie agencje detektywistyczne znajdujące się na dwóch krańcach ziemi wychodziły ostatnio ze skóry, aby dowiedzieć się, jaką drogą pan Knox przewozi drogie kamienie do Anglii. Bo było z jednej strony absolutnie pewne, że nie miał tych kamieni przy sobie udając się w podróż, z drugiej strony zaś, oferował je do sprzedaży po przybyciu do Londynu! Ponieważ kamienie nie mogły podróżować same, więc nasuwał się jeden, bardzo prosty wniosek. Pan Knox musiał mieć współnika. Dopiero mając go, mógł zainscenizować próbę przemyślenia bezwartościowych kamieni, aby uzyskać powtarzające się alibi. Tak więc, musiało to już trwać od kilku miesięcy. Wspólnikiem tym musiała być osoba stojąca

poza podejrzeniami, mająca swobodę poruszania się na lotnisku i w urzędach celnych, godna zaufania i zadowolająca się stosunkowo niewysoką opłatą za swe usługi tak, aby szmugiel drogich kamieni był nadal dla Knoxa opłacalny. Oczywiście, idealnym współnikiem dla pana Knoxa byłaby osoba należąca do jednej z załóg samolotów kursujących stale pomiędzy Londynem a Johannesburgiem. Jak wiemy, pan Knox miał dar wymowy i łatwość zawierania znajomości, której sam doświadczyłem na sobie. A teraz proszę mi powiedzieć, z jakim członkiem załogi pasażerowie mają najwięcej do czynienia? — Umilkł na sekundę. Nikt nie odpowiedział, ale wszystkie oczy skierowały się ponownie ku Barbarze Slope.

— Właśnie! — powiedział Joe swobodnie. — Widzę, że wszyscy państwo zgadliście. Otóż członkiem załogi, z którym najłatwiej jest zawrzeć znajomość, jest stewardesa.

— Czy pan naprawdę oskarża mnie o zabójstwo tego człowieka? — Barbara Slope potrząsnęła głową, jak gdyby chciała przebudzić się ze złego snu. — Pan jest chyba obłąkany... albo, albo... sama nie wiem, co powiedzieć...

— Ależ nie jestem obłąkany. To pani była nieco nieuważna.

— Nieuważna? — Uniosła cienkie, pięknie zarysowane brwi. — Przypuszczam, że nie tylko ja, ale wszyscy tu obecni chcieliby zrozumieć, co pan ma na myśli? Uprzedzam pana, że za kilka minut wylądujemy i będę zmuszona złożyć na pana zażalenie do policji w Nairobi. Nie mogę sobie pozwolić na to, aby być publicznym przedmiotem tak ohydnych oszczerstw. Jestem zresztą przekonana, że każdy sąd przyzna mi słusność.

— Jeśli wykaże pani, że jestem oszczercą. Ale proszę pamiętać, że będę się bronił. Powiem wówczas, dlaczego byłem absolutnie przekonany, że to właśnie pani, a nie kto inny, popełniła to morderstwo. A byłem o tym przekonany nie tylko dlatego, że udało mi się drogą prostego, logicznego rozumowania uwolnić wszystkie pozostałe osoby od zarzutu morderstwa z premedytacją. Nie można nikogo skazać na podstawie przeprowadzenia dowodu, że wszystkie pozostałe obecne na miejscu zbrodni osoby nie mogły jej popełnić. Trzeba udowodnić, że morderca zamordował. Zacznę więc od drobnej omyłki, którą pani popełniła. Nikt z nas nie jest absolutnie doskonały, więc i pani, planując zbrodnię, którą miała pani zamiar popełnić już za kilkadziesiąt minut, nie mogła skoncentrować się na nic nie znaczących pozornie szczegółach. Dlatego tak bardzo nieuważnie zachowała się pani wczoraj wieczorem podając panu Knoxowi herbatę bez cukru. A jeśli już zrobiła pani tak, nie trzeba było dzisiaj twierdzić, że nie przypomina go sobie pani. Wczoraj wieczorem, kiedy podała nam pani herbatę, powiedziałem do niego odruchowo: „Zdaje się, że nie dostał pan cukru do herbaty”, a on równie odruchowo odparł: „Nigdy nie pijam z cukrem”. Na jego usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że był bardzo przejęty wejściem pana Roberta. Inaczej zapewne i on nie chciałby się zdradzić z tym, że panią zna.

— Chyba nie chce mnie pan oskarżyć o morderstwo dlatego jedynie, że zapomnia-

łam podać cukier jednemu z pasażerów?

— Oczywiście, że nie! Chociaż ludzie, którzy się nie znają, zwykle nie znają także swoich nawyków, jednak mógł to być zwykły przypadek. Ale było i drugie wydarzenie, bodaj ciekawsze. Kiedy zapowiedziano samolot i wstaliśmy wszyscy z miejsc w poczekalni, pan Knox zapomniał na stoliku jednej z dwu małych paczuszek, które przyniósł z sobą, mając je uwiązane do guzika marynarki. Pamiętam, że choć nic mnie to wówczas nie obchodziło, pomyślałem przelotnie, że powinien je włożyć do teczki zawierającej tylko trochę papierów. Ale byłem przekonany, że najprawdopodobniej kupił je tuż przed odjazdem na lotnisku lub może w sklepie z pamiątkami znajdującym się tuż obok głównego wejścia dworca. Zresztą nie miałem wówczas żadnego powodu, żeby się nad tym zastanawiać. Ale wstając pan Knox pozostawił jedną z paczuszek na stoliku. Był już przy drzwiach, gdy pani podeszła i oddała mu ją. Jednocześnie niemal podała pani parasolkę pani Linton, która również była na tyle roztargniona, żeby ją pozostawić. Pozornie w tym wydarzeniu także trudno było dopatrzeć się czegoś nadzwyczajnego. Ale odruchowo zwróciłem uwagę na drobny, niemal nic nie znaczący szczegół. Wówczas zresztą w ogóle nie zdawałem sobie sprawy z jego ewentualnego znaczenia. Podczas kontroli celnej pan Knox, wskazując swoje małe paczuski, powiedział, że znajdują się w nich zabawki dla dzieci jego przyjaciół w Londynie: mała żyrafa i mały nosorożec. Po otwarciu pudełeczka okazało się, że nosorożec rzeczywiście jest w jednym z nich. Ale w drugim był hipopotam, który zajął miejsce żyrafy. Celnicy bawili się przez chwilę tymi zabawkami i potrząsali nimi, chcąc się upewnić, czy któraś z nich nie zawiera drogich kamieni. Oczywiście i do tego faktu nie przywiązywałem wówczas najmniejszego znaczenia, a zarejestrowałem go jedynie dlatego, że mam długoletni trening w notowaniu rozmaitych niezgodności. Dopiero dziś rano zacząłem się nad tymi drobiazgami zastanawiać, gdy przypomniałem sobie o nich. Oczywiście, to także mogło być zupełnie przypadkowe. Ekspedientka mogła zapakować inne zwierzątko, pan Knox mógł zapomnieć, co wybrał, mógł też po prostu przejęzyczyć się w obecności celników...

Ale dziś rano przypomniałem sobie, jak bardzo dokładnie rewidowany był pan Knox, w którego rękach było jeszcze na kilkanaście minut przed rewizją to pudełeczko, aby przejść do rąk innej osoby, pani właśnie, i znów do niego powrócić. A ponieważ udało mi się wyeliminować wszystkich pozostałych pasażerów, prócz pani, musiałem ułożyć następstwo okoliczności tak, aby zgadzały się one nie tylko z moją hipotezą o pani winie, ale aby pokrywały dokładnie wszelkie tego rodzaju drobne wydarzenia. W moim równaniu, jeśli była pani winna, wszystko musiało odbyć się w pewien ściśle określony sposób, dla ściśle określonych przyczyn, które musiały wywołać ściśle określone skutki, a z nimi i ściśle określone ślady, świadczące bezspornie o pani winie. Zaraz opowiem dokładnie, jak przebiegało moje rozumowanie. Wydaje mi się, że nie ma ono

żadnej luki i że inaczej morderstwo to nie mogło zostać popełnione. Jestem przekonany, że się nie mylę. A jeśli się mylę, będzie pani miała podwójną satysfakcję, gdyż nie tylko będzie mogła mnie pani oskarżyć o oszczerstwo, ale prokurator w Nairobi będzie musiał rozpocząć przeciw mnie dochodzenie o zabójstwo Richarda Knoxa! Albowiem po stwierdzeniu, że żadna z pozostałych na pokładzie osób nie mogła tego dokonać, pozostajemy już tylko my dwoje, panno Slope. Proszę więc, aby dała mi pani szansę dokończenia mojego teoretycznego wywodu. Otóż, jeśli Knox szmuglował diamenty i brylanty, co było stwierdzone przez obie agencje detektywistyczne, a pani była jego kurierem, nie mógł z pewnością spotykać się z panią w Johannesburgu dla wręczenia towaru, który miała pani przewieźć. Po pierwsze, musiał obawiać się, że może być obserwowany, a gdyby policja nabrała wobec pani podejrzeń i poddawszy panią rewizji, odnalazła drogie kamienie, mogła pani przecież sypnąć Knoxa. Musiałaby pani przecież powiedzieć, skąd je pani ma. Ale nawet gdyby wykluczyć tego rodzaju ewentualność, jasne było, że nikt nigdy nie może zobaczyć Knoxa w pani towarzystwie. Nie wolno mu było dekonspirować swego współnika. Dlatego szybka zamiana pudełeczek na lotnisku wydała mi się sensowna. Mniej niebezpieczeństw groziło w Londynie, gdzie odbierał od pani powierzony towar. Łatwiej jest skrycie spotkać się w tym olbrzymim mieście, a poza tym zapewne miała tam pani więcej czasu. A może Knox wymyślił także podobny sposób przekazywania kamieni bez zwracania na siebie uwagi? Mogła pani po prostu siedzieć na przykład na ławce w Hyde Parku, a na jego widok wstać i odejść, pozostawiając malutką paczuszkę, którą on z kolei wzięłby nieznaczące, siadając na miejscu opuszczonym przez panią. Nie chcę zresztą wchodzić w te hipotetyczne szczegóły. Być może przekazywała mu je pani jeszcze na terenie lotniska w Londynie już po rewizji celnej? Nie wiem i zapewne nieprędko się dowiem. Zresztą nie miało to dla mnie znaczenia. Pomyślałem jedynie, że w tego rodzaju sprawach nikt nie okazuje drugiej stronie nadmiernego zaufania, i wydało mi się wątpliwe, aby Knox chciał nazbyt długo przechowywać u pani brylanty. Nie jestem tego w stu procentach pewien, ale mam mocne przekonanie, że Knox bardzo niechętnie widziałby te kamienie podróżujące wraz z panią jednym samolotem, podczas gdy on sam leciałby innym, powiedzmy, następnego dnia. Dlatego sądzę, że kontrola list pasażerów i załóg na tej trasie wykaże, że najczęściej, a może wyłącznie, Knox latał do Londynu samolotami, na pokładzie których właśnie pani była stewardesą.

— I znowu chce pan powiedzieć, że fakt... że jakiś pasażer leciał ze mną kilka razy, a ja nie zapamiętałam dobrze jego rysów, może oznaczać... — Roześmiała się, ale Joe usłyszał po raz pierwszy w jej śmiechu ostrą, nerwową nutkę. — Pan w tej chwili po prostu wykorzystuje moje słowa o tym, że mgliście przypominam sobie jego twarz!

— Och nie! Sądzę, że powiedziała pani to, zdając sobie sprawę, że ktoś podczas śledztwa może zainteresować się podróżami pana Knoxa i napotkać pani nazwisko na liście

załóg. Ale w rzeczywistości to, co powiedziałem dotąd, nie oskarża pani w pełnym tego słowa znaczeniu. Są to tylko drobne hipotezy wynikające z mojego założenia. Myślę, że teraz przejdziemy do samej zbrodni. Kiedy odrzuciłem ostatecznie wszystkich pozostałych i znalazłem motyw pani zbrodni w postaci owych przewożonych przez panią drogich kamieni, ułożyłem to sobie tak:

1) Motyw: zysk. Zapewne kamienie te warte są bardzo wiele, a nikt, prócz Knoxa, nie wiedział oczywiście, że znajdują się one w pani posiadaniu. Po śmierci Knoxa mogła więc pani dysponować nimi bez ograniczenia... po upływie pewnego czasu, oczywiście.

2) Miała pani doskonałe dojście do śpiącego Knoxa, gdyż leżał on w pobliżu drzwi prowadzących do pomieszczenia stewardesy, i nie musiała pani wymijać nikogo, aby się przy nim znaleźć. Jedynym człowiekiem, który mógłby coś zauważyć, byłem ja, lecz i ja spałem dość daleko pod przeciwległą ścianą kabiny, choć w tym samym rzędzie.

3) Mogła pani wybrać dowolny moment do uderzenia, gdyż jako stewardesa może pani swobodnie poruszać się po kabinie. Gdyby po wejściu i zatrzymaniu się przy drzwiach usłyszała pani jakikolwiek ruch albo dostrzegła, że ktoś zapalił lampkę nie mogąc usnąć, mogła pani po prostu wycofać się i zaniechać zamiaru. Najtrudniejszym problemem był dla mnie fakt pani niezwyklej, szaleńczej wprost odwagi przy samym dokonywaniu zbrodni. Przecież, jak powiedzieliśmy, najmniejsza omyłka spowodowałaby dla pani nieodwracalną katastrofę. I wówczas dopiero nabrałem pewności absolutnej, że to pani zabiła. Albowiem w rzeczywistości pani była jedynym człowiekiem, który mógł zapewnić sobie względnie małe ryzyko. Nie wiem nawet, czy właśnie ta możliwość nie pchnęła pani na drogę zbrodni... Ale nie wierzę, aby przy tak olbrzymim ryzyku, które pani podjęła, mogło być inaczej. Musiała pani zaasekurować się przed dwoma ewentualnościami: po pierwsze, Knox mógł się obudzić, gdy stanie pani nad nim. Po drugie, musiała pani jakoś ubezpieczyć się przed jego krzykiem, gdyby pierwszy cios nie był zupełnie skuteczny. Dlatego jestem absolutnie przekonany, że Richard Knox otrzymał od pani silny środek usypiający w herbatce. Prawdopodobnie liczyła pani na to, że policja skonfrontowana z tak ewidentną przyczyną śmierci, jaką było uderzenie sztyltem, nie uzna za potrzebne przeprowadzenie analizy zawartości żołądka zmarłego. Nie jest to zresztą jedynie hipoteza teoretyczna. Wczoraj wieczorem Knox zachował się w pewnej chwili jak człowiek, któremu dano silny narkotyk. Był bardzo przerażony, kiedy zobaczył pana Robertsa. Przysiadł się do mnie i zaczął mi gorączkowo opowiadać, popijając herbatę, jakim to brutalnym i mściwym przestępcą może okazać się pan Roberts. Lecz gdy wypił ją do końca w zachowaniu jego nastąpiła nagła, zbyt szybka zmiana, gdyż niemal w okamgnieniu stracił całe zainteresowanie wobec tak przejmującego przed chwilą problemu. Sam byłem wówczas bardzo zmęczony i nie byłem w stanie zastanowić się, dlaczego tak nagle zobojętniał wobec niebezpieczeństwa, które wcale

nie wydawało mu się wyimaginowane? Ale dziś rano wróciłem myślą do tej sceny i nabrałem przekonania, że zmiana w jego zachowaniu nie była naturalna. Nastąpiła zbyt szybko. Oczywiście analiza wnętrzości zmarłego będzie przeprowadzona i jeśli wykaże, że otrzymał on wraz z herbatą silny środek usypiający lub ogłuszający psychicznie, sytuacja pani stanie się bardzo trudna.

Ale żeby stwierdzić z całą pewnością, że pani zabiła Knoxa, ważne jest naprawdę tylko jedno. W moim równaniu matematycznym sprawa ta jest bardzo prosta. Zakładam, że zabiła go pani dla zysku, konkretnie mówiąc, aby przywłaszczyć sobie diamenty, a najprawdopodobniej brylanty, które dał pani na przechowanie. Otóż, jeśli zaryzykowała pani aż tak wiele, żeby je uzyskać, zakładam, że nadal muszą one znajdować się teraz w pani posiadaniu. Policja przeszuka zapewne cały samolot. Ale nie sądzę, aby to było konieczne. Nie wierzę, aby ukryła pani te kamienie gdzieś w samolocie. Nie po to pani zabiła, aby narażać je na konfiskatę, a na pewno mogła pani przewidzieć, że policja będzie rewidowała wszystkie pomieszczenia, poszukując ewentualnych dodatkowych śladów pozostawionych przez zbrodniarza. Wychodząc z założenia, że jako członek załogi samolotu zejdzie pani bez przeszkód na ziemię, aby, być może, ukryć paczuszkę w jakimś miejscu, z którego będzie ją pani mogła, powiedzmy, po miesiącu zabrać, musi pani, jeśli rozumowanie moje jest słuszne, mieć te kamienie tu, przy sobie. Oczywiście istnieje niewielka szansa, że jednak przestraszyła się pani po zbrodni tak bardzo, że ukryła je pani w jakimś schowku. Ale widząc zimną krew, z jaką pani potraktowała moje oskarżenie, nie jestem skłonny do uważania pani za osobę tchórzliwą. Poza tym jesteśmy już niemal w Nairobi, a pani musiało zależeć na natychmiastowym usunięciu brylantów z samolotu. Wie pani dobrze, że w Nairobi czeka na nas policja, niemożliwe więc byłoby później wyjąć kamienie z jakiejś kryjówki...

— Pan kłamie!

— Być może. Ale nie pozwolę się pani ruszyć się stąd i nie pozwolę, aby wykonała pani choćby jeden niepotrzebny gest do chwili lądowania. Albowiem, jeśli nie kłamie, to jedynym pani pragnieniem musi być teraz, po zdemaskowaniu, pozbycie się za wszelką cenę tych brylantów. Jestem zresztą absolutnie przekonany, że analiza wykaże środek nasenny w żołądku Knoxa, a rewizja odkryje drogie, pochodzące z Południowej Afryki kamienie ukryte na pani osobie. Inaczej być nie może. Gdyby było inaczej, jedynym możliwym mordercą Knoxa byłbym ja. Ale obawiam się, że wszystko już sobie wyjaśnilśmy i w tej chwili nie ma już pani żadnych szans, panno Slope.

Skończył i spojrzał na dziewczynę, która siedziała zupełnie nieruchomo, wpatrując się w niego oczyma pełnymi niedowierzania i rosnącego przerażenia.

— Ale pan przecież nie może wiedzieć, że je mam przy sobie! — powiedziała nagle z rozpaczą. — Nikt przecież nie może wiedzieć takich rzeczy o innym człowieku! A nawet jeżeli kupiłam... — Umilkła nagle, gdyż głos jej się załamał.

— W moim przekonaniu nic innego nie mogło zajść na pokładzie tego samolotu — powiedział Joe zmęczonym głosem. — Po prostu, inaczej to się nie mogło odbyć. Wszystkie inne ewentualności odpadły. Została jedynie pani, a mogła pani postąpić jedynie tak, jak powiedziałem. Oczywiście, jeśli nie ma pani tych brylantów przy sobie lub w jakimś schowku, choć jestem niemal pewien, że ma je pani przy sobie, i jeśli w żołądku Knoxa nie znajdą śladów środka usypiającego, podanego wraz z herbatą, będzie to oznaczało, że się mylę. Ale wówczas staniemy przed bardziej może nawet przerażającą alternatywą. Będziemy mieli ofiarę, a nie będzie mordercy... żadnego mordercy. A przecież morderca musi istnieć, jeśli istnieją zwłoki jego ofiary. To było nieuchronne panno Slope.

Patrzyła na niego przez chwilę i pojął, że zrozumiała wreszcie pełne znaczenie jego słów.

Ukryła nagle twarz w dłoniach.

— Może lepiej będzie, jeśli odda mi pani teraz te kamienie... — powiedział Joe cicho. — Oszczędzi to pani wielu przykrości... Będzie pani mogła nie odpowiadać od tej chwili na żadne pytanie aż do momentu spotkania ze swoim obrońcą.

Uniosła głowę. Spojrzenia ich spotkały się. Wstała, jak gdyby chciała skierować się ku drzwiom prowadzącym do pomieszczeń gospodarczych.

Alex zrobił krok ku przodowi i ostrzegawczo uniósł rękę.

— Bardzo proszę... — powiedział. Ale nie dokończył.

Zanurkowała pod jego ręką, jednym skokiem znalazła się przy tylnych drzwiach kabiny, otworzyła je i zatrasnęła za sobą opuszczając zasuwę bezpieczeństwa, zanim Joe zdążył ich dopaść, gdyż zrywający się z miejsca Grant mimowolnie zatarasował mu drogę. Przez chwilę mocowali się z nimi.

— Uwaga! — powiedział Fighter Jack, który pojawił się tuż przy nich. — Odsuńcie się!

Podparł drzwi ramieniem i wyskoczyły z trzaskiem, padając w głąb małego korytarka, po lewej stronie którego były drzwi do umywalni i pomieszczenia stewardesy, a po prawej drugie, prowadzące na zewnątrz.

— Stać! — krzyknął Joe i chwycił młodego olbrzymia za ramię, widząc, że drzwi te powiewają szarpane wichrem. Zatrasnęły się z hukiem. Grant skoczył ku nim zabezpieczył je rygłem.

Wszystko to działo się w ułamkach sekundy. Alex przylepił nos do szyby.

Na niebie nie było ani jednej chmurki. W dole, pośród ciemnej zieleni, migotało w słońcu niewielkie jezioro.

— Tam... — zawołał Grant. — Tam!

Joe zdążył jeszcze zobaczyć maleńką, koziołkującą postać, zanim zniknęła na tle lasów w dole.

— Czy... czy to była ona? — zapytał Fighter Jack ochryłym głosem.

— Tak...

Alex odwrócił się i ze zwieszoną nisko głową wszedł do kabiny. Za oknami, pod skrzydła samolotu zaczęły wbiegać maleńkie, białe domki. Po chwili było ich więcej... Jeszcze chwila i ułożyły się wzdłuż ulic...

— Boże... — powiedział cicho Grant. — Nairobi... I ruszył ku kabynie pilotów.

Joe minął nieruchomą, nakrytą kocem postać i osunął się w głąb wolnego fotela. Przymknął oczy. Jak przez mgłę słyszał łkanie jednej z kobiet. Potarł podbródek, na którym zdążyły już wyrosnąć małe kielki zarostu. Z wysiłkiem otworzył oczy.

Na przedniej ścianie kabiny zapalił się świetlny napis:

PROSZĘ ZAPIĄĆ PASY

I

ZGASIĆ PAPIEROSY!

SAMOŁOT LĄDUJE!